

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 3/570

1995



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

A.M. PĘDZIWIOL: **STAN WOJENNY BIS?**
(ROZMOWA Z K. MODZELEWSKIM)

K. WOLICKI: **KRYZYS RZĄDOWY**

A. POSPIESZALSKI:
RACHUNEK SUMIENIA KOŚCIOŁA?

R. KACZMAREK: **SPOŁECZNE KOSZTY
REWOLUCJI TECHNOLOGICZNEJ**

SPIS RZECZY

Aureliusz M. Pędzioł:	<i>Stan wojenny bis? (Rozmowa z Karolem Modzelewskim)</i>	3
Zbigniew Florczak:	<i>Przemaalowywanie portretu</i>	11
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	26
Michał Heller:	<i>O pożytkach z Chazarów</i>	41
Eugeniusz Jewtuszenko:	<i>Druga wojna domowa</i>	50

ARCHIWUM POLITYCZNE

Stanisław Polaczek:	<i>Dyskretny urok kohabitacji</i>	52
Robert Kaczmarek:	<i>Spoleczne koszty rewolucji technologicznej</i>	61

KRAJ

Krzysztof Wolicki:	<i>Kryzys rządowy</i>	71
SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	82
Leszek Szaruga:	<i>Upadek prasy tygodniowej</i>	96

SPRAWY I TROSKI

Piotr Daszkiewicz:	<i>Historia i przyszłość Puszczy Białowiejskiej</i>	99
--------------------	---	----

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Antoni Pospieszalski:	<i>Rachunek sumienia Kościoła?</i>	105
-----------------------	--	-----

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i>	115
Z.S. Siemaszko:	<i>Sprawy wschodnie</i>	121

KRONIKA KULTURALNA

Karolina Lanckorońska :	<i>Podziękowanie</i>	130
Bohdan Osadcuk:	<i>Literatura i polityka na Ukrainie</i>	131
—	<i>Lubelskie „Spotkania Kultur”</i>	139
—	<i>Antologia poezji niemieckojęzycznej u schyłku XX wieku</i>	142

KSIĄŻKI

Sławomir Magala:	<i>Koniec z końcem</i>	143
M. Broński:	<i>Gruzy Wieży Babel</i>	151
P.D.:	<i>Tajemnica Beniowskiego</i>	154
Aleksandra Ziółkowska-Boehm:	<i>Wydawnictwo Hippocrene</i>	157

—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz kroniki: kanadyjska, londyńska i szwedzka</i>	163
---	---	-----

A. Bogusławski, A. Mietkowski, J. Piaskowski, Z. Stankiewicz, A. Vincenz, Z.T. Wierzbicki:	<i>Listy do Redakcji</i>	169
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	174

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Marzec/Mars 1995

INSTYTUT  LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Dr W.S. Adamus, Ingelheim (Niemcy), po raz 4-ty — DM 100,00	F. 330,00
Dr Irena Bieniecka, Montreal (Kanada) — zamiast kwiatów na grób wielkiego Polaka, mego Wuję i Chrzestnego Ojca, dr. Edwarda Pomorskiego, zmarłego w Brukseli 2 stycznia 1995 r. w wieku lat 94	F. 370,00
Tomira Buxell, Wellesley, MA (USA), po raz 20-ty — Dol. 213,00	F. 1.120,00
Beziennienie z Mediolanu, po raz 32-gi	F. 100,00
A. H. Cassel-Kokczyński, Londyn, £ stg 200 z czego:	
— na Fundusz Kultury £ stg 100,00	F. 800,00
— na pomoc Polakom w Rosji £ stg 100,00	F. 800,00
Czesław Deminet, Albuquerque, NM (USA), po raz 22-gi — Dol. 34,00	F. 180,00
Dyka Zygmunt, Menton, dla uczczenia pamięci nieślubnego zamożnej rodziny w Derarnem, pow. Równe (wymienionych jako ostatnia wpłata w nrze styczeń/luty br.) — na pomoc Polakom na Wołyniu dodatkowo F 100 (poprzednia wpłata F 500). Przepraszamy Pana za niepodanie nazwiska w numerze styczeń/luty	F. 100,00
Dla uczczenia pamięci ukochanej Żony i Matki Evi Małolepszej — Marian i Graziella, Rancho Palos Verdes, CA (USA) — Dol. 50,00	F. 265,00
Krystyna Dziembowska, Lafayette, CA — Dol. 20,00	F. 105,00
Danuta i Henryk Hiżowie, Cape May Point, NJ (USA) — zamiast kwiatów, których już nie możemy dać Iji Lazari-Pawłowskiej — Dol. 100,00	F. 525,00
Dr Jacek Jędruch, Summit, NJ (USA), po raz 21-szy — Dol. 21,00	F. 110,00
Zamiast serdecznych podziękowań p. Jerzemu Giedroycowi za Jego działalność — Maria Jodek-Jury z Bielska Białej w Polsce	F. 200,00
Dr Stanisław Judek, Ottawa (Canada), po raz 19-ty — Dol. can. 100,00	F. 375,00
Kazimierz Karwowski, Toronto (Kanada), po raz 3-ci	F. 70,00
Alina Kowarska, Auckland (N. Zelandia), po raz 11-ty	F. 100,00
Leszek Łabno, Nussbaumen (Szwajcaria), po raz 15-ty	F. 400,00
Eugeniusz S. Łazowski, Chicago, IL (USA) — w uznaniu zasług kolegi Włodzimierza Klonowskiego z Chicago, za Jego wieloletnią owocną i bezinteresowną pracę na stanowisku sekretarza zarządu Koła A.K. na Stany Zjednoczone — Dol. 20,00	F. 105,00
J.S. Masiewicz, Toronto, ON (Kanada), po raz 15-ty	F. 140,00
M.I. Mich., U.S.A. — Dol. 1.000,00, po raz 11-ty	F. 5.200,00
Mirosława Modelska-Creech, Beallsville, MD (USA) — Dol. 150,00 na Fundusz Kultury oraz zamiast kwiatów na grób śp. kuzyna Norberta Żaby zmarłego w Sztokholmie — Dol. 50,00 — razem Dol. 200,00	F. 1.050,00

Stan wojenny bis?

ROZMOWA Z KAROLEM MODZELEWSKIM

AURELIUSZ M. PĘDZIWOŁ: — *Po ponad pięciu latach przemian wiele w Polsce wygląda inaczej, niż wtedy oczekiwano. Dzisiejsza „wojna na górze” jest najlepszym przykładem tego, co się nie miało wydarzyć. Skąd się to wszystko bierze? Jak Pan to widzi?*

KAROL MODZELEWSKI: — Myślę, że zupełnie inaczej, niż się spodziewano, jest w całej postkomunistycznej Europie. W drodze od gospodarki nakazowo-rozdziałowej do rynkowej pozostawiono połowę społeczeństw za burtą. Stąd zaskakujące — bardziej na Zachodzie niż u nas — zwycięstwa wyborcze różnych formacji wywodzących się ze starego, komunistycznego porządku. To nie są komuniści, ale spadkobiercy komunizmu. W sensie rodowodu, nie zaś tego, co robią w tej chwili.

Rozumiem, że w Polsce to może szokować. Wprawdzie na Litwie czy w Bułgarii postkomuniści wygrali wyraźniej niż u nas, ale przecież nigdzie indziej nie było takiego zjawiska, jak Solidarność. W pięć lat po obaleniu komunizmu przy pomocy kartek wyborczych tym samym instrumentem — wyborczymi kartkami — te same społeczeństwa, rozczarowane społecznym bilansem przemian, a w szczególności rozmiarami socjalnej i materialnej degradacji, odsunęły od władzy te siły, które nadały kierunek reformom.

A.M.P. — *Ale przecież istniały dwa warianty reform: Balcerowiczowski szok i węgierski gradualizm. Oba przyniosły takie same negatywne skutki.*

K.M. — Wariant węgierski nie jest bynajmniej przykładem powolnej transformacji. Węgrzy byli może lepiej przygotowani, bo wcześniej zaczęli reformy, ale daleko skromniejsze. Jednakże po upadku władzy komunistycznej weszli na bardzo podobną drogę co Polska, tyle tylko, że ostrożniej, bo nie mieli tak skutecznej osłony politycznej dla szoku ekonomicznego. W Polsce, przez pewien, bardzo krótki czas, taką osłoną była Solidarność.

Również Czesi, z tego samego powodu, byli ostrożniejsi. I może na tej ostrożności lepiej wyszli.

A.M.P. — *Pan również popierał program Balcerowicza jako jedyne możliwe rozwiązanie w danej sytuacji, czyż nie?*

K.M. — Nie, ja się jemu sprzeciwiałem. Głosowałem przeciw kluczowej ustawie o blokowaniu wzrostu wynagrodzeń karowym podatkiem i wstrzymałem się od głosu przy ustawie o opodatkowaniu przedsiębiorstw państwowych. Głosowałem wtedy w Senacie przeciw popiwkowi i dywidendzie. I wypowiedziałem się dość wyraźnie; to wystąpienie można chyba znaleźć w książce „Dokąd od komunizmu?“, którą opublikowałem ponad rok temu.

Ale co innego sprzeciwiać się programowi Balcerowicza, a co innego odpowiedzieć na pytanie, czy możliwy był inny sposób przechodzenia od socjalizmu do gospodarki rynkowej. To trochę akademickie pytanie. Nie wiemy, czy była inna droga, bo nikt jej nie spróbował. Wygląda na to, że nie było politycznych sił, które mogłyby to uczynić.

Taka inna droga wymagałaby przemyślanej koncepcji, a nigdzie jej nie było. Nawet w Polsce, gdzie przecież istniała alternatywna klasa polityczna, nikt się nie spodziewał, że upadnie komunizm i że trzeba będzie wziąć odpowiedzialność za państwo i gospodarkę w swoje ręce.

Ci ludzie, na których spadła władza (bo trudno powiedzieć, że została zdobyta), byli programowo dosyć bezradni... To znaczy my byliśmy bezradni. Mogliśmy przyjąć jedynie gotowe rozwiązania proponowane przez modne wówczas na Zachodzie prądy umysłowe. A to był czas Ronalda Reagana i Margaret Thatcher, czyli neokonserwatyizmu politycznego i neoliberalizmu Milтона Friedmana.

Nie było sił politycznych, które mogłyby próbować innej drogi. Ale to nie zmienia postaci rzeczy: tak wysoki koszt reform musiał wywołać niezadowolenie i zwrot sympatii w stronę postkomunistów. To musi wywoływać również zagrożenie

nie autorytaryzmem, dlatego że istnieje pewien poziom napięć i konfliktów społecznych, którego demokracja nie jest w stanie wytrzymać. Kiedy wyczerpuje się przyzwolenie i możliwość uzyskania posłuchu obywatelskiego metodami demokratycznymi, rośnie pokusa, żeby to samo osiągnąć przymusem.

A.M.P. — *Czy to, czego jesteśmy dziś świadkami w Polsce, jest właśnie przejawem dążeń autorytarnych?*

K.M. — Każdy autorytaryzm musi szukać sobie także poparcia społecznego, a to oznacza powrót do filozofii populistycznej. Lech Wałęsa w obecnej kampanii politycznej, wprowadzając instrumentalnie, ale posługując się populistycznymi hasłami. Na przykład w walce z rządem poprzez kolejne weta wobec ustaw o budżecie i zapowiedziane już weto wobec budżetu, faktycznie domaga się obniżenia podatków, zwiększenia wydatków i zmniejszenia inflacji.

Takich cudów to ja jeszcze nie widziałem, i nie myślę zresztą, żeby Wałęsa w nie wierzył. To jest użytek instrumentalny z pewnych populistycznych posunięć.

Nie bardzo wierzę, żeby Wałęsie udało się osiągnąć autorytarną władzę w Polsce. On do tego dąży. Ułatwia Wałęsie tę grę okoliczność, że rząd i większość parlamentarna pochodzą ze starego układu. Wobec czego ciesząc się jeszcze jakim takim prestiżem ugrupowania wywodzące się z opozycji lat osiemdziesiątych czy siedemdziesiątych są skłonne popierać Wałęsę przeciw rządowi i większości parlamentarnej. Ale wojna Wałęsy to nie jest wojna z *tym* parlamentem ani z *tym* rządem, tylko z *parlamentem* w ogóle i z *demokracją parlamentarną* w ogóle.

Szczególnie niebezpieczna pod tym względem i bardzo charakterystyczna jest jego polityka wobec tak zwanych resortów siłowych, czyli wobec wojska i policji. On bardzo się stara uzyskać kontrolę nad telewizją, ale to mu się na razie nie udaje. Robi to metodą faktów dokonanych, działaniem — jak mówią prawnicy — na granicy prawa. Faktycznie: za granicą prawa. Przede wszystkim jednak wykorzystując prerogatywy, szerokie ale jednocześnie nieprecyzyjnie sformułowane prerogatywy, jakie zmiany konstytucyjne roku '89 przyznały powołanemu wówczas urzędowi prezydenta.

Po co przyznano te prerogatywy? Ponieważ spodziewano się, że prezydentem będzie Jaruzelski — żeby dać Moskwie gwarancje, że ona będzie trzymała palec na cynglu. To znaczy będzie miała kontrolę nad kluczowymi dźwigniami wła-

dzy — przynajmniej kontrolę negatywną — a więc nad wojskiem, policją i polityką zagraniczną. I bardzo walczono wtedy o telewizję. To jest zbliżony profil kompetencji do tych, które chce realizować Wałęsa i które chce rozszerzać.

Otóż w wojsku i w służbach specjalnych, a w szczególności w Urzędzie Ochrony Państwa, który jest spadkobiercą dawnej Służby Bezpieczeństwa, Belweder — nie kto inny, jak Belweder właśnie, bo tu koalicja nie ma wpływów, albo ma wpływy znikome — prowadzi politykę promowania starej, dyspozycyjnej kadry. To w Polsce już wywołało parę skandali, w związku z wywiadem. Ale ja na przykład wiem, że nie tylko w wywiadzie, lecz również w policji politycznej na kierownicze stanowiska awansowali — teraz, za polskiej demokracji — oficerowie śledczy, którzy mnie przesłuchiwali.

A jednocześnie usuwano stamtąd takich ludzi jak major Hodysz, szef UOP-u w Gdańsku, którzy siedzieli w więzieniu dlatego że pracując w SB potajemnie współpracowali z solidarnościowym podziemiem. Bardzo ciekawa była przy tym argumentacja Wałęsy: nie można ufać takiemu człowiekowi, który zdradził Służbę Bezpieczeństwa. Bo nie wiadomo, czy będzie lojalny wobec obecnych zwierzchników.

Tym natomiast, którzy zawsze byli dyspozycyjni, ufać można. Ja nie mam do nich — że tak powiem — stosunku agresywnego ale...

A.M.P. — Co to znaczy?

K.M. — To znaczy, że potrzebny jest w starym sensie dyspozycyjny aparat przymusu, aparat represji. Otóż taki aparat na ogół się szykuje, aby go użyć. Albo przynajmniej żeby grozić jego użyciem. A między groźbą użycia a użyciem granica bywa cienka. Ponadto w wojsku — co jest szczególnie niebezpieczne — Wałęsa poparł polityczne ambicje oficerów sztabu generalnego, a więc oficerów liniowych, do kierowania, albo do kręcenia ministerstwem, do decydowania, kto zostanie ministrem. To jest próba uczynienia z wojska instytucji politycznie niezależnej od władz demokratycznych, od władz wybieralnych. Próba bardzo niedobra, nie tylko ze względu na standardy obowiązujące w NATO, ale także dlatego, że może zaistnieć pokusa odwołania się do takich właśnie instrumentów, żeby zrobić *stan wojenny bis*, to znaczy, żeby użyć tego jako strzelby przeciw politycznym przeciwnikom.

To w tej chwili tak się złożyło, że tymi politycznymi przeciwnikami są ugrupowania wywodzące się z PRL. Bo one

rządzą. Ale nie o te ugrupowania chodzi, lecz po prostu o *instytucję parlamentu*. To, o czym mówią prawnicy Wałęsy, jest wizją państwa prezydenckiego. Ale w warunkach postkomunistycznej Europy państwo prezydenckie to jest zawsze państwo autorytarne. I to widać zarówno w Rosji, jak gdzie indziej.

A.M.P. — Gdzie w tym wszystkim jest polskie społeczeństwo, jego głos?

K.M. — Polskie społeczeństwo jest ogarnięte rozczarowaniem i niesmakiem. Myślę, że nastąpiło znaczne obniżenie społecznej aktywności. Owszem, istnieją partie polityczne, ale te partie są słabo zakorzenione w społeczeństwie. Istnieją związki zawodowe, ale nie ma porównania między tym, czym na przykład związek zawodowy Solidarność jest dzisiaj, a czym był kiedyś.

Ja już nie mówię, że to nie jest dzisiaj wielki ruch wyzwolicielski, tylko skromna centrala związkowa silnie związana z partiami radykalnej prawicy — nie konserwatywnej, lecz narodowo-katolickiej, czy rozliczeniowej, którą można by porównać z duchem maccartyzmu w Stanach Zjednoczonych w latach pięćdziesiątych. Przede wszystkim zakorzenienie społeczne tego ruchu jest słabiutkie. A druga centrala, mająca — co ciekawe — więcej członków, postkomunistyczna centrala OPZZ, jest po prostu dość silnie zbiurokratyzowana i ma swoje powiązania z partiami obecnie rządzącymi.

Czyli nie ma takich organizacji, które by ucieleśniały wielką aktywność społeczną, bo nie ma wielkiej społecznej aktywności. I to także sprzyja rozstrzygnięciom autorytarnym. A poza tym obecna tak zwana wojna na górze to jest specjalność naszego prezydenta Wałęsy. „Wojny na górze” to jest sposób na uzyskiwanie pozycji wyjściowej do walki o władzę, na przykład do kampanii prezydenckiej, albo na rozszerzanie faktycznego zakresu swojej władzy metodą blokowania działania instytucji państwowych.

Formalnie ministrów mianuje prezydent, ale faktycznie ma o tym decydować większość parlamentarna i premier. Prezydent odmawia mianowania ministra finansów, stosując obstrukcję przez miesiące. A dzieje się to w Polsce, gdzie finanse publiczne są w dramatycznej sytuacji, kraju, który jest w toku rokowań o redukcję swojego ogromnego zadłużenia zagranicznego. Mówię o wydarzeniach z wiosny ubiegłego roku.

To jest naprawdę zachowanie godzące w elementarny interes państwowy. Nie dlatego prezydent odmawia mianowania ministra finansów, że chce przeforsować kogoś innego, tylko dlatego że czyni z tego monetę przetargową dla uzyskania większej kontroli nad resortami, które uważa za prezydenckie, to znaczy nad wojskiem, policją i nad dyplomacją.

A.M.P. — *Panie Profesorze, pan wyraził wątpliwość, czy próba autorytarna Wałęsie się uda. Kto miałby mu przeszkodzić?*

K.M. — Żeby sprawować rządy silnej ręki trzeba mieć siłę. Wydaje się, że Wałęsa buduje sobie pozycję siły właśnie w dowództwie wojska. No ale nie wystarczy mieć generałów, trzeba mieć korpus oficerski. Tymczasem ja jestem przekonany, że polscy oficerowie hańbę stanu wojennego mają w kościach i nie tęsknią za następnym Pinochetem, żeby się nazywał Jaruzelski, czy jakkolwiek inaczej.

Wprawdzie żeby zamknąć gmach parlamentu na kłódkę, wystarczy jedna kompania wojsk MSW, ale nie można rządzić Polską opierając się na jednej kompanii MSW. A w Polsce, jakkolwiek nie ma wielkiej społecznej aktywności, ale są wielkie społeczne napięcia i konflikty. Tych napięć i konfliktów władza pozbawiona legitymacji, pozbawiona legalności, władza, która operuje instrumentarium zamachu, nie rozwiąże. Te instrumenty władzy autorytarnej są słabe. I to, że ta przeciwna strona też jest słaba, nie zmienia faktu, że tak się rządzić nie da. To jest rozwiązanie na bardzo krótką metę i prawdopodobnie skazane na fiasko.

Ale takie fiasko to nie jest żadna pociecha, bo sama próba ustanowienia władzy autorytarnej oznaczałaby niesłuchanie głęboki szok i destabilizację polityczną w Polsce.

W tej chwili mamy względną stabilizację. Ona jest jednak bardzo krucha i powierzchowna. Obecny konflikt między prezydentem, parlamentem a rządem bardzo tej stabilności zagraża. Tym bardziej, że po obu stronach mają miejsce nadużycia prawa. To jest gra w faule. Po obu stronach.

Prezydent wetuje ustawy okołobudżetowe. Sejm odrzuca weto. Wtedy prezydent zaskarża ustawy do Trybunału Konstytucyjnego tak, żeby Trybunał nie zdążył przed 1 stycznia. Gdy jednak Trybunał wyznacza posiedzenie na 29 grudnia, to przedstawiciel prezydenta po prostu nie stawia się na tę rozprawę, uniemożliwiając w ten sposób wydanie orzeczenia...

A.M.P. — *Pan mówi cały czas o prezydencie. A co druga strona?*

K.M. — A druga strona odpowiada na to prawem powielačowym i zarządza okólnikiem ministra finansów, że od 1 stycznia podatki mają być pobierane w takiej wysokości, jak to przewidywał rządowy projekt ustawy zawetowany przez prezydenta, podtrzymany przez Sejm ale nie rozsądzony jeszcze przez Trybunał Konstytucyjny.

Co na to robi prezydent i co robią działacze partii opozycyjnych? Ogłaszają, że nie będą płacić tych podatków. Że będą praktykowali coś w rodzaju sabotażu aktów normatywnych władz państwowych czyli cywilne nieposłuszeństwo.

Otóż trzeba pamiętać, że Polska jest takim krajem, który nie miał własnego państwa bardzo długo. W Polsce nie ma szacunku dla państwa i nie ma szacunku dla prawa stanowionego przez państwo. Przez ponad sto lat to państwo było obce, zaborcze. Potem, po dwudziestoletnim okresie niepodległości przyszło państwo okupacyjne, które było śmiertelnym wrogiem, a potem państwo komunistyczne z bardzo silnie ograniczoną suwerennością, również traktowane jako nie swoje.

Uchylanie się od obowiązków, jakie na każdego obywatela nakłada państwo, omijanie prawa jest silnie zakorzenione w polskiej kulturze politycznej. Dawniej mogło być to cnota patriotyczną. Teraz, gdy jest niepodległość, to jest po prostu zatrutym dziedzictwem niewoli. To mentalność niewolnika, który nie potrafi uszanować odzyskanej wreszcie wolności. Otóż, jeżeli nawet taka partia jak Unia Wolności, skądinąd głosząca zasadę poszanowania prawa i słynąca z pozytywistycznego, gospodarskiego stosunku do państwa, jeżeli działacze tej partii, ba, posłowie tej partii, jeden z czołowych jej prawników, z trybuny sejmowej nawołują do obywatelskiego nieposłuszeństwa, jeżeli prezydent powiada, że on nie zapłaci podatków w tej wysokości, bo jemu się to nie podoba, to co ma czynić zwykły obywatel?

To jest destrukcja wątych podstaw akceptacji cywilizowanych instytucji państwowych. Z chwilą, gdy odzyskaliśmy niepodległe państwo, nie wolno go — moim zdaniem — w ten sposób poniewierać. A poniewierają go niestety wszystkie strony obecnego konfliktu. I to musi budzić najgłębszy nieśmak w społeczeństwie w stosunku do wszystkich stron konfliktu.

A.M.P. — *Ani kropli optymizmu?*

K.M. — Dzięki tym pewnym populistycznym akcentom swojej kampanii prezydent zyskał kilka punktów w sondażach popularności. Ale ja myślę, że w rezultacie straci i on, i jego przeciwnicy. I może to dobrze, bo ja uważam, że w wyborach prezydenckich Polacy nie powinni być postawieni wobec konieczności wyboru mniejszego zła. Jeżeli do drugiej tury tych wyborów stanie na przykład Aleksander Kwaśniewski przeciwko Lechowi Wałęsie, to wtedy dla większości Polaków każdy wybór będzie wyborem mniejszego zła. Tego oby nam się udało uniknąć.

A.M.P. — *Panie Profesorze, dziękuję serdecznie za rozmowę.*

W Warszawie, 5 stycznia 1995 roku

Rozmawiał *Aureliusz M. PĘDZIWOŁ*

Przemalowywanie portretu

Roland Penrose w „Picasso. His Life and Work” opowiada, że w 1917 Modigliani jedno ze swoich dzieł ofiarował Picassowi, który zeszkrobał farbę i zamalował je po swojemu. Nałożył farbę tak grubo, aby nic spod niej nie przebijało i namalował martwą naturę z gitarą i butelką. Coś podobnego robi się dziś z obrazem PRLu. To prawda, że PRL w niczym nie przypominał cudownych kompozycji Modiego, wręcz przeciwnie. Ale operacja, której jesteśmy teraz świadkami jest taka sama, jakiej w stosunku do płótna młodszego kolegi dokonał fenomenalny zbireznik, Picasso. Nawet się odnosi wrażenie, że od pewnego czasu wszyscy przykładamy rękę do tej mistyfikacji. Czy to możliwe?

Wyolbrzymianie?

Na początku 1994, w nr 1/2 *Kultury* została opublikowana dyskusja, w której wzięli udział Włodzimierz Bolecki, Kazimierz Orłoś, Aleksander Małachowski, Tomasz Łubieński, Andrzej Więckowski i Kazimierz Wóycicki. Tytuł wymyślił Bolecki: „Przeszłość ocenia się myśląc o przyszłości”. Bardzo mnie obchodzi myśl w tym zawarta, choć mam do tego zastrzeżenie. Małachowski powiedział między innymi: „...Czy jest granica między PRL a III Rzeczpospolitą? Mnie się wydaje, że jej nie ma w życiorysach ludzkich, to znaczy, że życiorysy ludzkie przeciętnego obywatela w naszym kraju nie są życiorysami męczeństwa, tego wszystkiego, co spotkało nas, żołnierzy Armii Krajowej, co spot-

kało pewną grupę działaczy Solidarności. Przeciętny człowiek w Polsce tak znowu wiele przez te 45 lat nie ucierpiał. My to wyolbrzymiamy”.

Zastanawiałem się nad tym bardzo serio. Jednak to jest wybitnie bezfrasobliwa opinia. Co to znaczy: „Przeciętny człowiek przez te 45 lat tak znowu wiele nie ucierpiał”? Znaczyłoby to, że Polakom w PRL nie było w sumie tak źle, jak się wydaje. Komu się tak wydaje i wydawało? Przez całe 45 lat dowodziły tego wszystkie głosy uwolnione, choćby doraźnie, od cenzury. Tym bardziej na emigracji, w *Kulturze*, w Radio WE, w gazetach i pamiętnikach. Wędrowano do Maisons-Laffitte i składano tam w depozycie swoją moralną biedę. Pisarze szukali sposobów publikowania za granicą. „Listy Zygmunta Hertza do Czesława Miłosza” sprzed dwóch lat, na ogół złośliwe i bezpardonowe, są kapitalnym dokumentem tego exodusu po łyk świeżego powietrza. Zdaniem dzisiejszego parlamentarzysty wszyscy ci, w pewnym sensie, apatrydzi sprawę po prostu wyolbrzymiali. Tragedia Polski, totalna, bo i polityczna i ogólnożyciowa, została przez Małachowskiego naświetlona pod kątem reagujących na nią elit intelektualnych. Jako złudzenie znerwicowanych. Tylko oni (a nawet tylko ich część) cierpieli — na własny rachunek. Nie dotyczyło to przeważających rzesz narodowych, całej reszty zajętej pielęgnowaniem (bezcennego, to prawda) minimum bytowego...

Jak to się jednak można zapędzić raz fałszywie postawiwszy tezę. Sprzeciwił się Kazimierz Orłowski. Jego „Historię «Cudownej meliny»” pochłonąłem w Montrealu, w 1987. Orłowski zdaje się inaczej oceniać wrażliwość Polaków. Decydowały o niej swego czasu silnie zakodowane porozumienie i powszechnie znane wątki wewnętrznej solidarności. To na cały świat głośne i pisane z dużej litery słowo — nazwa ruchu społeczno-politycznego — nie wzięło się z niczego. Język często dostarcza doskonałych wskazówek merytorycznych, trzeba tylko umieć je dosłyszeć. Orłowski wyliczył (przykładowo) fakty ilustrujące opresję w poprzednim okresie. Tajemne mordy w ramach fikcyjnych procesów. Dwa tysiące na Rakowieckiej. Dwa miliony osób przeprowadzonych przez Mokotów. Poznań. Grudzień 1970. Dаты kolejne: 1976 i 1980. Stan wojenny. „Za każdym razem mniejsza czy większa ilość Polaków traciła życie. Już nie mówię o tej wielkiej zapaści cywilizacyjnej, moralnej, jaka nastąpiła w czasach PRL”.

Nie mogłem się powstrzymać przed wyspacjowaniem

tych słów. Stała się w moim rozumieniu wielka szkoda, że uczestnicy dyskusji nie zatrzymali się dłużej nad tą mniej wyrazistą stroną przeszłości. Zwłaszcza Kazimierz Orłowski był do tego powołany, jest on jednym z rzadkich pisarzy znających i wyczuwających tę Polskę drugą i trzecią, gdzie najgroźniej się odbiła „zapaść cywilizacyjna”. Jako przedmiot analizy jest to o wiele kłopotliwsze, zwłaszcza w ferworze dyskusji. Temat mroczny i nieuporządkowany. Zajmowałem się tym, w miarę swoich możliwości, w kilkunastu korespondencjach przemycanych w najgorszych latach do *Kultury*. Ta stosunkowo krucha warstwa rzeczywistości, trudna do wyodrębnienia, jest bogatym złożem informacji. Sumowały się tam dane mniej sensacyjne, ale nie mniej charakterystyczne od statystyki więzień i mordów, czy inwigilacji. Każda próba przedstawienia tego w ramach artykułu skazana jest na irytującą powierzchowność. Na przykład: ilu i jak długo musiało się ukrywać po tzw. amnestii? Ilu nie dostawało pracy, bo wróciło z zakazanego Zachodu? A jak skwalifikować stratę milionów emigrantów po świecie, ubytek żywych elementów narodu? Odczuwalismy to wszyscy jak ból po amputacji. Osobnym rachunkiem należałoby objąć Polaków w Sowietach (wciąż poza statystykami) już pod ziemią, albo — teraz — w nieznosnej sytuacji przejściowej, jaką jest wynarodowienie w pierwszym czy w drugim pokoleniu. Zawężanie zjawiska represji do przypadków osób aresztowanych, zakatowanych czy wywiezionych jest w ogóle bezmyślnością. Miało to wszystko swój dalszy ciąg o szerokim rozrzucie społecznym, trwają do dziś konsekwencje tego psychiczne i materialne — nie tylko w rodzinach. Wciąż jest to echo odzywające się w nerwach i uczuciach. Gdyby przystąpiono kiedyś do spisywania tych rzeczy, to pewnie musiałyby powstać odrębna nauka, na styku historii i patologii.

Szara strefa

„W życiorysach przeciętnego człowieka w naszym kraju nie było granicy między PRL a III Rzeczpospolitą”. To jest jakieś prześlizgnięcie się po najbardziej kanciastym grzbiecie świeżej historii i prowokuje do polemiki. Czy tej granicy nie było, czy teraz jej się nie chce dostrzegać? Od czasów pamfletów Swifta i „Prowincjałek” Pascala, od Frycza Modrzewskiego i Orzechowskiego polemika zasadza się na logice. Używa krwi i żółci, ale bez logiki nic nie jest warta. Logika

obowiązująca dziś publicystykę to oddanie sprawiedliwości historii — i tyle tylko (aż tyle!). Jakie to bliskie słynnego sformułowania Conrada: „*To render the highest kind of justice to the visible universe*”. Conradowi chodziło o sprawy sztuki. Ale i historia staje się sztuką, gdy się ją tłumaczy. W obchodzącym nas przypadku wystarczy zachować trzeźwość sądu. Z jednym uściśleniem. Chociaż oddanie sprawiedliwości PRLowi ma wartość samą w sobie (i to wielką: rodzaj psychoanalitycznej *katharsis*), jednakże w warsztacie publicystycznym inne zalety tego stanowiska — można je nazwać praktycznymi — wysuwają się na czoło. Zdystansowanie się od tamtego ustroju i okresu jest, po pierwsze, zajęciem krytycznej postawy wobec własnej tożsamości. Tożsamości przecież skomplikowanej, bo składa się na nią także i tamten okres, z całą jego patologią. Po drugie — przyda się jako doskonałe kryterium w zorientowaniu się, czy i jak ta kwestia jest teraz przeinaczona.

Wątpię, aby Aleksander Małachowski sam wierzył w to, co powiedział. Wygląda ta opinia na jakiś apokryf nie mieszczący się w księdze naszych prawd podstawowych! Zakrawa na próbę rozbrojenia zgodnych ze zdrowym rozsądkiem pojęć o tym, czym jest w ogóle represja i unieważnienia służących temu wyrazów. Nie wolno tępić narzędzi, które dotąd skutecznie służyły przy ujmowaniu tego problemu, utrzymując nas w określonej kondycji.

Czyż dopiero w przypadku mordu, tortur, więzienia na Mokotowie, albo łagru (czego zresztą nie zabrakło) natura opresji staje się widoczna? Wiek XX, to prawda, zbanalizował — według słynnego powiedzenia Hannah Arendt — pojęcie zła i jego miary. Mimo to, trzeba by w ogóle zgubić z oczu uznaną powszechnie skalę znaczeń, żeby aż takie normy opresji narzucać. Znika wówczas z pola widzenia bezcenna definicja *condition humaine* wyeksponowana przez Malraux. Kim i czym był w takich okolicznościach sfetyszowany przez Małachowskiego „człowiek przeciętny”: istotą bez odruchu godności, bez aspiracji do elementarnej swobody i głośnego wyrażania myśli? Na pewno nie zgodziłby się na tego rodzaju retorykę w obronie jego interesów.

Populację szarej strefy powinni się delikatnie zająć historyk, socjolog i polityk. Termin był dawniej stosowany tylko do nieuchwytniej codzienności gospodarczej, ale pasuje i do tego, co Orłowski nazwał degradacją czy zapaścią cywilizacyjną. W sztuce odbarwiania życia codziennego ustrój był nie do pokonania. Mało tego, z powszechnego systemu szarości

potrafił ciągnąć dla siebie polityczne korzyści. Nic bardziej nie sprzyja zacieraniu różnic między postępami i między dwiema rzeczywistościami, prawdziwą i podrobioną. Przynajmniej kilku najjaskrawszych tego przykładów nie może tu zabraknąć, jeżeli ma to być polemika, jak ją wyżej scharakteryzowałem.

Więc — nędznie opłacana robota, nie angażująca w ogóle zawodowych ambicji. „Czy się stoi, czy się leży, dwa tysiące się należy!” Szyderstwo to nie zostało wykoncypowane — proszę zwrócić uwagę! — w głowach inteligentnych, to jest szybka riposta ulicy, typowa proletariacka mowa, bystrzejsza od wszelkiej demagogicznej teorii. W 1987 pisałem w *Kulturze* („Burczy w brzuchu wieloryba...”), że czego nade wszystko nie można darować PRLowi, to zdeprawowania robotniczego stosunku do pracy, że ta krzywdą wyrażona krajowi przez reżim jest większa (bo trwalsza), niż najjadowitsze szykany wobec tzw. środowisk twórczych. A kto wymyślił zbitkę „mowa-trawa”? Założę się, że to też sukces dowcipu ludowego. Przez lat kilkadziesiąt podsuwano pod nos gazety o konsystencji makulatury, wypełnione treścią wartą tyle, co makulatura. W szkołach historię, kulturę, wiedzę o społeczeństwie podawano dzieciom w wyjąłowionych pigułach. Kolejną wersją nieśmiertelnej mowy-trawy było zapędzanie tzw. ogółu do czerwono przystrojonych urn. Przyzwyczajono się — w końcu — i do tych urn, tak samo jak do cuchnących moczem klatek schodowych, czy do kolejek przed pustymi sklepami. Dwie siły: inercji i nawyku dotrzymały paktu z ustrojem.

To wszystko przykro i po prostu nudno jeszcze raz wyliczać, ale skalkulowałem, że nie obejdzie się bez tego, jeżeli trzeba znowu uprzytomnić sobie niewiarygodny pejzaż RRLu. A że trzeba, tego już się nie da zaprzeczyć. Udowodniono w tym ustroju, że naród można podciąć i zedrzeć nie tylko politycznie, ale również — i to z jakimi rezultatami — atakując go od strony jego zdrowia. Chemikaliami i brudem. Tak, aby każda rzeka spływała przemysłowymi fekaliami. Żeby wyziewy fabryczne przegryzały zabytkowe mury. Aż się podda każda materialna tkanka, zachorują lasy, w trzech czwartych wyrabane. (Według obliczeń Instytutu Badań Leśnictwa 90% drzew utraciło życiodajną zielen). Niedorzeczna gospodarka miała w dodatku efekty dżumy. Nie można pominąć kosztów pobytu wojsk sowieckich: okupanci wpompowali w grunta tysiące ton ropy i smarów. Więc rachujemy: jak to się odbiło w społeczeństwie, nie tylko

w jego stanie posiadania, w jego poczuciu człowieczeństwa? To było spychanie w szarą strefę.

Doznawało się wtedy fizycznej sensacji, że jak u Shakespear'a to „ciemne niebo tylko burza może rozjaśnić” („*So foul a sky clear not without a storm!*”). A jednak obyło się bez burzy. Datą decydującą okazało się czerwcowe głosowanie 1989. Aż tyle łaskawości ze strony historii? Pierwszy raz od 1918 roku. Należę do tych, którzy nie tylko biorą na rozum tamten dylemat, tamten manewr (Okrągły Stół), ale i z wdzięcznością wobec historii go wspominają. I którzy w proporcji do siły tego przekonania — nie pomijają żadnej okazji, aby potępić kategorycznie każdą próbę rozmywania tych warstw stratygraficznych, na jakich współczesna historia państwa polskiego teraz stanęła i stoi. Każde wyjście z jakiegoś obrębu jest mniej czy więcej dramatyczne. W wielu kulturach istniały obrzędy cienia i progów. Symbolizowały one kryzys wychodzenia i wchodzenia. Zawiadywały nim u Rzymian specjalne bóstwa, Abeon i Adeon. Rok 1989 był wysłizgnięciem się z PRLu bez użycia gwałtu. Czym wyżej się ceni tamten tryb opuszczenia poprzedniej fazy, tym większe teraz przysługuje prawo do omawiania i podkreślania istoty owego kryzysu wejścia i wyjścia, do skonstruowania obu faz, obu sytuacji: sfalszowanej i tej autentycznej.

Rozmowy latem 1983 i co nastąpiło potem

Przeszłość i przyszłość — łańcuch dialektyczny. Związki między jego ogniwami budzą uparte zainteresowanie. Nie ulega wątpliwości, że czas jest głównym surowcem ludzkiego życia. Nigdy też nie straci ożywiającej sugestywności aż zbyt często cytowany aforyzm Norwida, że „przeszłość to dziś, tylko trochę dalej”. Pośrednio wysnuć z tego można własny stosunek do narodu, pojęcia przeciw abstrakcyjnego.

Czy ten stosunek, czy samo pojęcie są dla wszystkich jednoznaczne i zrozumiałe? W ciągu czterech dziesięcioleci z okładem nikt się nad tym nie zastanawiał. Któż mógł wtedy zaprzeczyć, że jesteśmy razem, że wiąże nas siatka tych samych napięć i niezawodne porozumienie. A potem to się jakoś skrzywiło, zmierzwiło — i już teraz nie jest ta sprawa ani jasna, ani prosta. Zadajemy sobie pytanie okrutne, na granicy masochizmu: A co, jeżeli było to tylko złudzenie? Jeżeli tak, to zastanawiającą żywotność miało to złudzenie. „Rozmowy polskie latem 1983” Jarosława M. Rymkiewicza

przysłano mi od razu z Maisons-Laffitte za granicą, i pamiętam delektację towarzyszącą tej lekturze. Teraz znowu jeden z publicystów wspomina: „Sierpień 1980 — prosta kobieta w kolejce elektrycznej, którą dojeżdżałem do strajkującej stoczni, mówi mi: — Może być głód, bieda i brud, byle już dłużej nie żyć w tym kłamstwie. — Mijałimy właśnie mury stoczni, gdzie stały i siedziały pikiety strajkujących, a malowane hasła na murach mówiły najbardziej banalnymi słowami o wolności i prawdzie, ale ani jedna z pokracznie pisanych liter nie była banalna, bo mur zdawał się zrobiony z żywego mięsa” (Smecz).

Nie można żałować miejsca na te cytaty. Odzyskanie dziś równowagi sądów byłoby wielkim osiągnięciem. Czy tamto już się nie liczy i nigdy odtąd nie będzie się liczyć? Jak do tego doszło, że ogarnęły nas takie wątpliwości?

Bardzo prawdopodobne byłoby następujące przypuszczenie: uniesiona „Solidarność” Polska w tamtych latach bardziej wyraziła to, czym chciałaby być, niż to, czym naprawdę być mogła, czym jest. „Solidarność” dlatego miała charakter eksplozji, bo po 35 latach przebrała się miara. Wówczas na wyżyny wydzwignięto naród. „Żeby Polska była Polską” śpiewał Jan Pietrzak w swoim kabarecie. Co brzmiało jak zawołanie bojowe. Niebawem miało się okazać, jak poważna rozciągła się różnica między hasłem a wymagającym prac i cierpliwości stanowiskiem. Różnica większa, niż wtedy sądziły (i dziś może sądzą) elity. I tak, na oczach wszystkich doszło do charakterystycznej reakcji, do wycofania się — które spowodowała interwencja decydującego w życiu czynnika: pospolitości. (Wciąż się echem odzywa poezja, „pospolitość skrzeczy” Wyspiańskiego; na wszystko są u nas odniesienia do poetów!). Dziennikarze wolą termin „normalność”. Dobrze. W każdym wypadku zjawisko ma co najmniej jedną złą, restrykcyjną stronę: poza horyzont odsuwa intensywne słowo Ojczyzna. Coraz gorzej ta idea funkcjonuje w dyskusjach, przestała być modna w mechanicznym żargonie polityków. To najmniejsze nieszczęście. Ale degradacja sięga dalej, ogarnęła wielki materiał ludzki, jego żywioł statystyczny — masy. Sygnały wewnętrzne, tak wyraźne we wszelkich Rozmowach lat 1980-tych i jeszcze niedawno, przestały dochodzić do uszu. Wszystko się da wytłumaczyć, powiedzmy sobie, w sposób przyrodniczy. Jako nieunikniony metabolizm w organizmie wielkiej zbiorowości ludzkiej, gdzie spalanie się energii ma przebieg gwałtowniejszy i więcej zostawia popiołu. Tylko 7% Polaków odebrało wyższe wykształcenie; średnie, przeważ-

nie techniczne — 30%; młodzież wychowuje się na reklamówkach i teledyskach... Cóż z tego, że to da się wytłumaczyć, dramat dobrowolnej amnezji nie przestaje być dramatem.

Stefan Zweig we wspomnieniach pisanych w Brazylii, kilka miesięcy przed samobójczą śmiercią, zauważył: „Jeżeli nasza pamięć odnotowuje ten a nie inny składnik opuszczając pozostałe, to nie dzieje się tak przypadkowo. Pamięć to potęga, która swój materiał porządkuje ze znajomością rzeczy i bezbłędną mądrością”. Swoją drogą trudno przypuścić, że ten cudowny przyrząd obywa się bez żadnych starań z naszej strony, trzeba go jak zegar przynajmniej nakręcić. Silnie przemawia do wyobraźni opinia Zweiga o pamięci porządkującej swój materiał ze znajomością rzeczy. Polacy jakby przestali się rozeznawać w porządku rzeczy najważniejszych, które swego czasu decydowały o ich politycznej odwadze.

W geologii nosi to nazwę diastemu i oznacza przerwę w układaniu się osadu, spowodowaną rozmyciem. Opis i portret PRLu zostały rozmyte. Inaczej dziś tamte czasy wspomina Polak statystyczny, a inaczej — powiedzmy w skrócie — Polak mający pod skórą Norwida i Wyspiańskiego: choć i to jest tylko schemat, którym posługujemy się z braku bardziej precyzyjnego.

Tolerancja

Te uwagi w jakiś sposób mają się do niekwestionowanego na ogół postulatu tolerancji. Czy, powodowani tym nakazem etycznym, ale i rozumowym (owocem procesów demokracji), powinniśmy teraz dać spokój oskarżaniu tamtego okresu — i chrześcijańską życzliwością otoczyć ludzi, którzy stamtąd się wywodzą, czego nie tylko się nie wstydzą, ale owszem, czerpią z tego chętnie okazywaną chętnością? Niełatwy problem, prawdziwe wyzwanie dla inteligencji, dla narodowego instynktu.

Kiedys — jakie to wszystko było proste i łatwe! Mam na myśli czasy, gdy do Maisons-Laffitte wysyłałem korespondencje pod pseudonimem. Nie istniały wtedy żadne wahania, gdy chodziło o wystawienie świadectwa wydarzeniom i ludziom. O żadnej tolerancji się nie myślało. Jedno było wiadome: że się żyje w szczelnym uścisku systemu, który to pojęcie w ogóle skasował. A ze strony naszej — tych ukry-

wających się pod pseudonimami — jakież mogły być kryteria tolerancji? Łajdak był łajdakiem. Mniej więcej wszystkich znało się z nazwiska, nie było ambarasu z rozeznaniami i zlokalizowaniem tego gatunku. Partia nie uciekała się do mimikry. Ze swego triumfalizmu (w końcu dla niej zgubnego) wywiodła cały swój styl, taktykę i logistykę, całą swoją — pożał się Boże — polityczną kulturę. W takich okolicznościach tolerancja stała się hasłem ze słownika wyrazów obcych, dla jednych i dla drugich. Albowiem w tym towarzystwie trzeba było trwać. Nie można zaprzeczać (dziś się o tym publicznie mówi), że w tę grę wchodziły rozmaite techniki koegzystencji, na granicy kolaboracji — i nawet poza tą granicą. Taka była fatalność wspólnego, na tym samym mianowniku życia: ich i naszego. Tym niemniej mnóstwo osób, całe kręgi ludzi zostały wykluczone poza obręb wyrozumiałości.

Jeżeli tolerancja oznacza tylko wyrozumiałość. Oczywiście znaczy bez porównania więcej. Niespodzianie i szczególnie jaskrawo uwydatnił jej znaczenie koniec wieku XX: głównie na tle terroru islamskiego. Tzw. fatwa, wyrok śmierci na angielskiego pisarza połknięty gładko przez rządy zachodnie, skompromitował nas wszystkich, w najczulszych spojeniach europejskich tradycji i praw. A to gwałtownie światu przypominało, że bez tolerancji nie ma cywilizacji, jest ona jej normą kluczową. To suma najpiękniejszej wiedzy o człowieku, wyraz najgłębszego optymizmu, ale i wskazówka pragmatyczna. Paradoksalnie, tolerancja z trudnością toleruje odstępstwa od swego kodeksu, o czym dopiero teraz możemy się u nas przekonać. Polaków zaskoczyła akurat w chwili niezmiernego rozgardiaszu i rozterek, związanych z mutacją, ze zmianą skóry. Gdy usiłują się wybić na demokrację. Nie ma innej rady, trzeba uczyć się tolerancji w marszu i od samego początku, wbrew najgorszym obyczajom poprzedniej epoki.

Jednocześnie musimy przyjąć za pewnik, że tolerancja nigdy nie oznaczała i nie oznacza obezwładnienia pamięci, zatrzymania jej zegarów. Gdyby takie miały być jej następstwa, to owa mądrość i technika współżycia, nabyte w ciągu tysiącleci, obróciłyby się przeciw samej cywilizacji, która jest ładem, ogromnym materiałem uporządkowanym ze znajomością rzeczy.

W ten sposób znaleźliśmy się na gruncie prawd kardynalnych. Tak jak czas, podobnie idea cywilizacji działa na mnie pobudzająco. Terminu cywilizacja pierwszy użył Victor

Mirabeau (ojciec trybuna) w traktacie „O ludności”. W tym samym 1756 roku Voltaire piszący swój „*Essai sur les mœurs et l'Esprit des Nations*” nie ośmielił się jeszcze nowego słowa zastosować, choć, jak zauważył Huizinga, „to on właśnie był tym, który określił to pojęcie i dał nam pierwszy szkic historii ogólnej cywilizacji”. By tę dygresję skrócić: Marcel Mauss uznał po prostu, że to jest „wszystko, co ludzkość zdobyła, wiążące nas minimum wiedzy, sztuki, porządku i cnoty”. Doskonale, choć to może nadmiernie pojemna forma. Ale cywilizacja jest formą do osiągnięcia, co wymaga ciągu konsekwentnych prac, tak jak zdobycie kondycji fizycznej zależy od codziennej gimnastyki. W formę cywilizacji wpisane jest rządne państwo, godne państwo. Takiego państwa u nas nie widać, co może wcale nie jest dziwne w tym stadium zmiany skóry.

Tezą tego artykułu jest, że państwo o jakie teraz chodzi musi być pod każdym względem odskocznią, odbiciem — od tamtego państwa wyłonięnego z filozofii i praktyki bolszewizmu. Bolszewizm był antycywilizacją. Na ten temat powiedziano już dostatecznie dużo i w słowach najdobitniejszych*. Jest to wiedza nużąca i chciałoby się często odwrócić głowę w drugą stronę. Jednak wciąż jeszcze nie można sobie pozwolić na nieuwagę, bo natychmiast z tego korzystają wychowankowie poprzedniej ideologii. Naturalna zdolność pamięci do wyciszania dochodzących z głębi sygnałów jest istnym błogosławieństwem w żmudnym ludzkim życiu, bez tego

* Jeden z najświatlejszych pisarzy politycznych Francji, o wykształceniu filozoficznym, Jean-François Revel pisał w „*Le Regain démocratique*” (Fayard 1992): „Komunizm jest w istocie pierwszym w historii systemem samobójczym ludzkości, zrodzonym nie w części, ale w swojej całości z ludzkiego umysłu, będącym jego kreacją (...) Ocaleni nareszcie z halucynacji 'materializmu historycznego' uświadamiamy sobie teraz, że w pierwszych latach XX wieku nie było ani jednego problemu praktycznego, który stwarzał tzw. 'warunki obiektywne' predestynujące 'nieuniknienie' do bolszewizmu. I — wzajemnie — bolszewizm nie rozwiązał ani jednego z problemów, jakie wtedy rzeczywiście stawały przed ludzkością. Wręcz przeciwnie, on właśnie sprawił, że te problemy okazały się niemożliwe do rozstrzygnięcia i to przez czas bardzo długi, nawet wtedy, gdy już bolszewizm nie było. (...) Komunizm nie był wytworem faktów i dlatego nigdy nie mógł na nie oddziaływać, ani znaleźć sposobu zaradzenia im. Gdy tylko dotykał faktów natychmiast traciły one swoją autentyczność, bowiem komunizm nie jest z tej samej materii, co życie. Nie jest wytworem historii, to rozróż w historii, synkopa w ewolucji, wtargnięcie usystematyzowanego szaleństwa w łańcuch ludzkich działań, to wydarzenie znacznie poważniejsze niż choćby najgorszy nieudany eksperyment”. (Podkreślenia moje, ZF).

byłoby ono wręcz niemożliwe. Ale ta złota reguła z trudem się sprawdza, albo w ogóle się nie sprawdza w historii, która posługuje się gorzej czy lepiej zanalizowanym materiałem własnych doświadczeń.

Synonimem państwa, o jakie zabiegamy, jest demokracja. Sama w sobie nie jest programem, tylko metodą przypisującą sobie możliwość rozwiązania rozmaitych problemów, choć bez wyznaczania żadnych terminów. Jest to pompa ssąco-tłocząca ludzkiej refleksji, pod warunkiem, że się wierzy w sensowność refleksji. Demokracja jest sprzężona z trwaniem, zależy od następstwa prac rozłożonych w czasie. Wyczuwanie własnej przeszłości, to wyczuwanie własnej skóry. Nie obdzieramy siebie ze skóry.

Krótką pamięć

Od przeszło roku, tymczasem, przeprowadza się — nieznacznie i z cicha pęk, albo i nie bez użycia czelności — wielką anulację.

Różnymi wątkami, niedomówieniami i wspomnianą wyżej deklaracją wprost w oczy, stwarzaniem faktów dokonanych w samowystarczalnym świecie *mass mediów*, i w obiektywnym świecie polityki. Już nas zdołano upchnąć w półmrok niejednoznaczności, w jakąś *camera obscura*. Posłanka SLD woła w Sejmie, że „nie można przekreślić dorobku ludzi z UB”. Jej koleżanka, Sierakowska, urządza w Lublinie wiec na 22 lipca, po czym to uzasadnia wymownie w teleprogramie pt. „Lewiatan”, gdzie jej sekunduje dziennikarz Wiesław Górnicki, kiedyś rzecznik Jaruzelskiego. Dobrze go pamiętam, w mundurze majora, z ekranu w Toronto, z tzw. mostu telewizyjnego przez ocean, jak w rozmowie z dziennikarzem amerykańskim uzasadniał morderstwo ks. Popiełuszki. „Tysiące towarzyszy Szmaciaków wreszcie mogło wypełznąć z ukrycia, wychynąć z niebytu, gdzie ich wtrącił rok 1989” — pisze naczelny *Życia Warszawy*. Prokuratura zawiesza śledztwo przeciw katowi Zarakowskiemu. Nie dojdzie do skutku proces w sprawie strzelania do ludzi w Grudniu 70. Na przeszkodzie wciąż staje kłopot z ustaleniem faktów. Przed ucieczką do Londynu Zygmunt Freud powiedział: „Nie ma prawdy stuprocentowej, tak jak nie ma stuprocentowego alkoholu”. Pewnie, że takiej prawdy nie ma! Toteż ludzie zadowolają się pragmatyczną i pięciu zmysłom dostępną prawdą. Prawnicy i politycy wołają występować w roli

filozofów i podsuwają nam ten alkohol w stanie zupełnego rozcieńczenia, bo tak im wygodniej.

W końcu nikt nie miałby nic przeciwko temu wszystkiemu, w każdym razie wiele by się przełknęło (nawet i tej hucpy), gdyby okazali się zespołem administratorów nowoczesnych, z głową na karku i wizją państwa w głowie, gdyby pracowali na korzyść państwa, które ma być odwrotnością poprzedniego. Otóż zupełnie tych intencji i możliwości nie widać. To w ogóle nie jest rządzenie państwem, tylko kasza decyzji o nieczytelnym sensie. Wobec reform przyjęto postawę defensywną i pełną obrzydzenia. Decentralizację zastopowano. Miejscem masowych powrotów peerelowskich jest URM. Świeci się jak lampa interes partyjny: co się da zagarniają rządzący pod siebie. Jako prezydenta zobaczymy Kwaśniewskiego, albo zgoła Pawlaka, którego niezawodny dowcip ludowy nazwał „portretem roboczym”. Tuż przed końcem wojny, w pogwarce z uslužnym dłań ambasadorem Harrimanem, Stalin rozważał gros kandydatów do swojego rządu w Warszawie. „Wszędzie można znaleźć dobrych ludzi, nawet w buszu” — zauważył dobrodusznie Stalin.

Ale oni wszyscy, cała ta akademia polityczna, byli z buszu — poza cywilnymi standardami. Wynikało to z zaszywania się po uszy w abstrakcji. Adam Kruczek utrzymuje, że wiara w cuda była jednym z kluczowych instrumentów tego systemu. Jedynym dowodem poczucia rzeczywistości z ich strony była ta wola czeplania się władzy za wszelką cenę. Dzisiejsi tzw. postkomuniści, choć to inne pokolenie, inny fason (co tyłu wprowadza w błąd!) mają za sobą presję swoich referencji: znany w medycynie nacisk recydywy. Cynizm Polsce nie jest potrzebny. Są jej potrzebne wartości, a nie atrapy. Tylko na pozór cynizm dowodzi realizmu. Tam się to fabrykuje złudzenia i to jakie! Jednym z nich jest teza, że od polityka nie można i nie należy wymagać kwalifikacji moralnych. Po prostu nie wypada! Otóż brak tych kwalifikacji, co łatwo udowodnić, ogranicza receptywność polityka, jego słuch i dotyk — wobec mnóstwa spraw namacalnych i praktycznych. Nie ma polityka, który z góry dawałby gwarancję, że w swoim postępowaniu będzie się kierował wrażliwością tego rządu i na tym poziomie.

Przynajmniej powinno to być powszechnie wiadome — ale nie jest. Dlatego taką rolę do odegrania ma teraz godna tej nazwy publicystyka. Człowiekowi właściwe są rozmaite potrzeby umysłowe, ale najmniejszą z nich jest żądza poznania tego, co wokół niego się dzieje. Nie miał racji wielki Pas-

cal twierdząc, że głównym motorem ludzkiej inteligencji jest *libido sciendi*. Tym wyraźniej to widać w skali społecznego tłumu. Kieruje się on żądzą niewiedzy, *libido ignorandi* i tą kartą zagrali teraz postkomuniści. Personalne selekcje w siatce władzy budzą zażenowanie, irytują w najwyższym stopniu. Główna rzecz jednak na czym innym polega! Politycy-recydywiści z bezbłędnym wyczuciem oparli się dystrykcji rzeszy społecznej, na panującej nam miłościwie Krótkiej Pamięci. To nie tylko nieszczęście, to cały paradygmat związanych z tym zagrożeń — charakterystycznych dla demokracji. Zahacza o samą jej naturę wywołując popłoch i zamęt. Ustrój demokratyczny chroni przed autokracją i innymi wynaturzeniami. Zapewnia optimum swobody, względnej, bo zależnej od wolnego rynku i zdrowego rozsądku, który pilnuje słusznych relacji między rządem a władzą ustawodawczą. Te założenia są absolutnie ważne, nieodzowne, choć poddane prawom względności, bo demokracja jest i stara się być najbliższa rzeczywistości. Jest ona w gruncie rzeczy zbiorem przesłanek elementarnych, na których człowiek może próbować swoich szans w życiu. Po ludzku biorąc oferuje zaledwie minima. (Przy czym nie trzeba tracić z oczu, że dopiero dzięki demokracji, w wyniku jej krytycznej lekcji współżycia, mogliśmy te przesłanki uznać za minimalne!). Od tego miejsca zaczynają się kłopoty, które bez zbytej przesady można nazwać niebezpieczeństwami.

Mało powiedzieć, że demokracja to hybryda, twór dobry i zły, choć w efekcie finalnym największe szanse dający dobru. Suma tych sprzecznych składników w praktyce okazuje się żywiołem, który trzeba surowo kontrolować, łącznie z tym, co jest w nim rdzenne. Najrdzenniejszą cechą demokracji jest oparcie się jej na przeciętności. Tkwi w przeciętności korzeniami. Wędrująca masowo do urn przeciętność krępuje cenzurę czy upaństwowioną grabież mienia prywatnego — ale przed jednym nie potrafi ochronić, wręcz odwrotnie: przed małodusznością.

Wcielenia jej są wielorakie. Zdarza się, że obrażają poczucie godności, ale i zdrowy rozsądek, w którym się upatruje źródła demokracji. Jedną z postaci małoduszności jest krótka pamięć zbiorowa, którą uczyniłem antybohaterem tych już końcowych uwag. Nie może ona sprzyjać zdrowemu rozsądkowi, nawet bardzo skromnie pojmowanemu — wręcz przeciwnie, jest rodzajem dywersji. Odziera go z informacji, działa jak rabuś plądrujący mu bank danych. Pozbawiony niezbędnej ilości bitów (od *binary digits* — odpowiedź na

proste pytanie tak czy nie) człowiek traci orientację, gubi się w tym, co epoka nazwała szumem informacyjnym. Głupieje. W odpowiednio wyższym stopniu odnosi się to do rzeszy społecznej. Jak się dziś mówi: to zadyma. Dziki wiatr wyrywa kartki z kalendarza. Z ignorancją sprzężona krótka pamięć nie może być miarodajna. W żadnych okolicznościach, a tym bardziej w chwili kryzysu, który u Rzymian symbolizowało starcie dwóch bóstw, Abeona i Adeona. Ten depresyjny stan umysłu w żadnym razie nie nadaje się na przewodnika, gdy z wielką biedą dojrzewa inny ustrój, gdy chodzi o najdoskonalsze uszczelnienie tej nawy, która ledwie zsunęła się z doków.

Marzenie o autorytecie

„Przeszłość ocenia się myśląc o przyszłości”? W zasadzie, to, co ma dopiero nastąpić nie ma tytułu do interpretowania treści już przedtem zobiektywizowanych w zbiorowym doświadczeniu. Przeszłość syci i krzepi, jak cukier, pod warunkiem, że terażniejszość potrafi ją wchłonąć na użytek przyszłości. Ale rzeczy minionych nie należy deformować, nie usprawiedliwiać tego najzaczniejsze intencje. Nie ma powodów, aby wątpić w autonomiczny sens przeszłości. Zdecydował o tym czas. To niesumienni historycy, a zwłaszcza politycy szarpia ją ku sobie i bodaj nigdy szarpać nie przestaną. Nie wierzę, aby historia na tym zyskała, aby ktokolwiek na tym zyskał, łącznie z politykami. Zdarzenia, które raz zajęły miejsce w przestrzeni (w umysłach i nerwach) złożyły się na nienaruszalne meritum. Niekiedy zwie się to świadomością. Co to słowo znaczy? Chyba — jasność: rozum wysokiego lotu, umiejący także spożytkować głębokie przeżycie i wielkie uczucie. Bo i one są rodzajem wiedzy. I to wszystko.

Rzecz tak oczywista dla jednostki: dlaczego nastrożać wątpliwości, gdy się to samo przenosi w skalę narodu? Największym autorytetem jest świadomość ogółu oparta na dobrej pamięci. Jest to cel, jest to ideał: w epoce informacyjnego zgiełku i międzynarodowego cynizmu funkcja tego rodzaju autorytetu byłaby nieoszacowana. Stałby się ośrodkiem krystalizacji najlepszej ludzkiej woli i największych ambicji. Słowem: tych władz duchowych, które zdolne są przeciwdziałać małoduszności.

Od pięciu lat Polska stanęła na gruncie różnic, jakie ją dzielą od PRLu. Zachowanie tego kontrastu jest fundamen-

talne dla nowego państwa. Ale na Trzecią Rzeczpospolitą składają się, fatalnością rzeczy, obie fazy. Stoimy w rozkroku na tych dwóch podstawach. W tej pozycji niełatwo utrzymać równowagę, ale sytuacja jest właśnie taka.

Czy to by znaczyło, że można się dopatrzeć korzyści z doświadczenia PRLu i teraz je wykorzystać? Owszem, każde doświadczenie można obrócić na swoją korzyść, nawet tak złe, jak PRL. Spełnia on rolę krzywego zwierciadła, przy pomocy którego jesteśmy w stanie skorygować i potwierdzić obraz swej tożsamości. Więc może i dobrze, że teraz znów to lusterko nam się z różnych stron podtyka. Wymieniona już posłanka Sierakowska trwa w transie. Posłuchajcie tylko: „Był to okres bezprzykładnego w dziejach narodu rozwoju kulturalnego i gospodarczego!” Poseł Micewski, ze swej strony, posłużył się dowcipem. Z okazji tzw. promocji pamiątek Gomułki zapewniał byłych prominentów PZPR: „Polska, którą przejmowaliście w roku 1944 była drewniana. Oddaliście ją murowaną. Nie macie się czego wstydić, choć teraz jest moda na antykomunizm”. (Obie wypowiedzi cytuję za Aliną Grabowską, która to przepisała z łamów *Trybuny*). Widać moda się odwróciła, jeżeli katolicki publicysta Micewski uważa za stosowne takie kawały opowiadać. Taki sam kawał (na innym poziomie) — zacytowałem go na początku artykułu — Picasso zrobił Modiglianemu zamazując po swojemu obraz młodszego kolegi.

Czczy wiatr bezmyślności wymiół z serc niepodległość. Pewnie dlatego, że dostaliśmy ją od historii w podarunku nie płacąc krwawą awanturą. To nie pesymizm skłania mnie do zadumy, tylko myśl, jakie wszystko jest niestałe, jak niepo- hamowany jest tok życia, wszystko w ruchu, pełne energii, wznosi się i opada, rozplywa się w różne strony, rozkwita na chwilę i umiera. W tym dynamicznym cyklu śmierć jest tylko ogniwem, więc i przyszłość stanie się niebawem przeszłością, są to dwie rzeczywistości w gruncie rzeczy wymienne i chodzi jedynie o to, aby na tej wymianie nie stracić. Nie wszyscy straciliśmy smak niepodległości, jest to smak gorzki, ale chyba nikt przytomny nie spodziewał się duserów.

Zbigniew FLORCZAK (PELIKAN)

Dziennik pisany nocą

Neapol, 20 listopada 1994

Barbara Spinelli trafnie ustala datę narodzin współczesnych intelektualistów: sprawa Dreyfusa, której setna rocznica przypada właśnie teraz. Można tę datę jeszcze uściślić, przesuwając ją o cztery lata i pasując na ojca gatunku Émila Zolę. To on w roku 1898 rzucił w twarz Władzy i jej najwyższemu instytucjom swoje *J'accuse*. W ciągu stu lat stopniowo zmiekczano i osławiano potomków Zoli, aż udało się wyhodować (według Poppera) intelektualnych „osłów”. Występować przeciw Władzy? I to Władzy wyposażonej w Siłę, namaszczonej przez Historię na setki lat trwania? O nie! To jest zajęcie dobre dla szaleńców, których intelekt (jeżeli go w ogóle posiadali) został porażony bzikiem, a może wręcz amokiem.

Za klasyczny model nieustannej dekadencji intelektualistów, zdrady „oskarżam” sprowokowanego sprawą Dreyfusa, uważam stosunek większości intelektualistów zachodnich do sołżenicynowskiego wyzwania pod adresem Tysiącletniej Władzy Sowieckiej. Najbardziej chyba podobał im się tytuł opowieści autobiograficznej Sołżenicyna *Bodło ciebie dąb*. Ten utalentowany pisarsko cielak (tego mu nie odmawiano, choć półgębkiem) ubrał sobie naprawdę, że potrafi swoimi rogami obalić albo co najmniej nagiąć ku ziemi majestatyczny, rozłożysty Dąb. Niech bodzie, niech bodzie, zobaczymy jak w końcu odpadną znarowionemu śmiałkowi krótkie rogi. Coś podobnego śledziło się w cieniu młodych dębów satelickich. Rozmaite Ketmany i Murti-Bingi przystrajały po prostu głębokie przekonanie, że Sowiety z Polski nie wyjdą. Długo,

albo — kto wie, kto wie — już nigdy. Powtarzał mi to Miłosz, powtarzał Kisielewski (z towarzyszeniem „nie wystawiaj sobie świadectwa kompromitującej naiwności”), powtarzały dziesiątki pomniejszych płotek intelektualnych.

Gdy Sołżenicyn wyrzucony z ZSSR powiedział „wrócić tu”, a na wygnaniu zapewniał przy każdej sposobności „ustrój sowiecki skazany jest na całkowite bankructwo”, większość, znakomita większość, intelektualistów zachodnich robiła kółka na czole; robiła jeszcze większe, gdy dawał z daleka rady rządzącym. Sam brałem udział w dialogu publicznym, gdzie mój rozmówca, wybitny wykładowca filozofii w Rzymie, wyśmiewał sołżenicynowski *List do przywódców sowieckich*; i nie oszczędzał mnie, „polskiego adwokata Pro-roka z Vermont”. Dziś triumf Sołżenicyna i jego powrót do ojczyzny z przekąsem przyjmują na Zachodzie adepti (ukryci bądź jawni) świata podzielonego po Jalcie. Dotykając, jako spadkobiercy powstałego przed stu laty zakonu rycerskiego, dna intelektualnej nędzy.

W maju 1994, w rozmowie z zespołem redakcyjnym *Więzi* w Warszawie, dokładnie w momencie gdy Sołżenicyn rozpoczął od Kołomy swoją drogę powrotną do Moskwy, zapytano mnie co sędzę o „stylu” jego podróży. Nie wierząc naturalnie zapewnieniom pisarza że po przyjeździe do Moskwy nie zamierza zajmować się polityką, nie ukrywałem niepokoju na widok „misjonarskiego” stylu podróży Sołżenicyna. „Misjonarstwo”, obce mi z gruntu, tkwiło w „Proroku z Vermont” od dawna. Ale w nowej postaci powracającego triumfatora wydało mi się mimowolnym i niebezpiecznym ukłonem pod adresem ugrupowań skrajnie nacjonalistycznych (jakkolwiek Żyrynowskiego jeszcze za granicą nazwał „żałosną karykaturą”), dla których okazja „przypisania się” do charzmatycznego Wodza mogła się stać nieodpartą pokusą.

Moje obawy rozwiało wystąpienie Sołżenicyna w piątej Dumie. Spokojne, trzeźwe, skromne, może zbyt drobiazgowo w sytuacji wymagającej szerszych perspektyw, może niedostatecznie zatroskane głębokim kryzysem państwa i próżnią władzy, zanedbano „stołypinowskie”, wystarczająco jednak silne w nacisku na konieczność *moralnego* odrodzenia po upadku komunizmu. Rzecz jasna, słuchano go z obojętnością, a niekiedy nawet wrogością; nie mogło być inaczej, posłowie do piątej Dumy są przede wszystkim graczami (jak posłowie do polskiego Sejmu), cynicznymi na ogół chytrusami z nomenklaturowej wylęgarni, nie dla nich „umoralniające kazania”, oni wiedzą czym to (czyli ochłapy władzy) się je. Czas

pokaże, że wybór Sołżenicyna był słuszny, więcej — jedyny w długiej końskiej kuracji wydobywania się z dziedzictwa sowietyzmu. Po wystąpieniu w Dumie pisarz nazwał je w jednym z wywiadów „nie politycznym, lecz i *obszczenrawstwiennym*”. Takie musiało być. Nie trafiło do członków Dumy (którzy zapewne robili ukradkowo kółka na czołach, jak przed nimi zachodni intelektualści), a przecież jakiś głębszy ślad pozostawiło, jeśli czytam w artykule znanego moskiewskiego publicysty Timofiejewa apel do Sołżenicyna, by zgodził się kandydować w przyszłych wyborach prezydenckich. Przykład znakomitego prezydenta czeskiego Vaclava Havela jest zachęcający. Negatywny przykład polskiego prezydenta Wałęsy wskazuje, że na gruzach komunizmu charakter i uczciwość ważą więcej od drobnej — nabytej lub instynktownej — przebiegłości politycznej.

(Dopisane 18 grudnia. Miłosz pisze w ostatnim numerze *Kultury* o książce Tony Judta *The French intellectuals 1944-1956*. Czytałem ją, utwierdziła mnie w słuszności brania w cudzysłów „intelektualistów”. Uprawiałem ten proceder dość długo, znudził mi się w chwili, gdy odkryłem że Popper nazywał ich po prostu „osłami”. Ale nie można wciąż posługiwać się „osłami”, więc poprzestaję na umowie z czytelnikami: ilekroć piszę o intelektualistach, mam na myśli określenie Poppera).

26 listopada

Na krakowskim spotkaniu z redaktorami *Tygodnika Powszechnego* Bronisław Mamoń wręczył mi „mały prezent-niespodziankę”. Mamoń zajmuje się od dawna Karolem Ludwikiem Konińskim, porządkując jego archiwum znalazł kilka moich listów dwudziestoletniego studenta z maja, czerwca i lipca 1939 roku. Koniński nawiązał ze mną kontakt (napisał do mnie pierwszy z Lanckorony) po przeczytaniu mojego szkicu o jego *Pisarzach ludowych* w *Pionie* Kołonieckiego. Ostatni z moich czterech listów nosi datę 27 lipca 1939. Zaczyna się tak: „jest mi niezmiernie przykro, że dopiero dzisiaj odpisuję na Pana kartę. W międzyczasie udało mi się jednak wyjechać na trzy tygodnie nad Jeziora Augustowskie i już nie zdążyłem Pana o tym zawiadomić. Do Suchedniowa przyjechałem przed paroma dniami i od razu zabrałem się do pracy nad studium o literaturze ludowej. Zgodnie z umową mam to studium przesłać redaktorowi *Wiedzy i życia* 15

sierpnia. Ponieważ w przejeździe przez Warszawę rozmawiałem z Ludwikiem Fryde, który mi wspomniał o karcie, jaką od Pana otrzymał — spieszę Pana zapewnić, że moja praca o literaturze ludowej nie ma nic wspólnego z jego artykułikiem o *Pisarzach ludowych* i że została zamówiona już po ukazaniu się tego artykułiku w *Wiedzy i życiu*. Trudno mi teraz powiedzieć dokładnie na kiedy wykończę moje studium. Wypad augustowski zabrał mi wiele czasu”.

Wypad augustowski! Trzy tygodnie w namiocie z Jankiem Strzeleckim i Krysią Broniatowską (dziś Griffith-Jones). Od tragicznej śmierci Janka częściej wspominam nasze augustowskie rozmowy w trójkę i pławienie się w Jeziorze Białym (przepłynąłem je wtedy wszcz, ku przerażeniu siedzącej na brzegu Krysi). I moje powojenne spory z Jankiem, ostre niekiedy i bolesne, odpływają wyblakłe i nieważne wobec naszej młodzieńczej przyjaźni. Zastanawiam się co by robił, gdyby dożył Niepodległości. Pewnie związałby się z Janem Józefem Lipskim, a potem z Karolem Modzelewskim. I pisywałby (prócz pism naukowych) do *Tygodnika Powszechnego*.

Ale wracam do Konińskiego, którego format pisarski i myślowy oceniono sprawiedliwie dopiero po wydaniu jego dziennika. W moim *Wspomnieniu o K.L. Konińskim* (londyńska księga zbiorowa *Straty kultury polskiej* i mój debiutancki tomik *Żywi i umarli*) czytam, że studium o kulturze ludowej skończyłem 20 sierpnia, czystopis wysłałem do *Wiedzy i życia*, a brulion do Konińskiego. Prosiłem o zwrot tego brulionu, bo we wrześniu miałem wygłosić referat na krzemienieckim zjeździe polonistów. 31 sierpnia przyszła ledwie czytelna pocztówka (Koniński był od lat obłożnie chory i pisał na leżąco) z Lanckorony: „Myślę, że pora odłożyć pióra na ten czas burzliwy”. Nazajutrz spadły pierwsze bomby na pobliskie Skarżysko.

Rzym, 30 listopada

Rzymski spacer, chłodno ale słonecznie. W drodze do mojego anglo-amerykańskiego tłumacza RONALDA STROMA (nauczył się polskiego w wojskowej szkole języków w Kalifornii), który od jakiegoś czasu doskonale przekłada pisane w *romanesco* sonety Gioacchino Belli — jadownicie antyklerykalne i antypapieskie, uwielbiane przez Gogola, który podczas pisania na Sistina *Martwych dusz* też przymierzał się do nich jako tłumacz na rosyjski w chwilach wolnych od pracy nad

powieścią — po raz pierwszy stanąłem w jednym z zaułków przed kamieniczką z tablicą „tu urodził się Gioacchino Belli”. Te rzymskie kamieniczki w zaułkach! Zdawałoby się że tylko ocalałe fasady, a przestąpiwszy próg widzisz jak są długie, ile mają małych podwórek; miniaturowe autonomiczne królestwa, gdzie kiedyś można było kochać rzymskie piękności i sztyletować rywali z dała od ludzkich oczu. Na *Piazza Navona*, wśród robotników stawiających już bożonarodzeniowe kramy, towarzyszył mi „głęboki cień” Giordana Bruna, tutaj więzionego przez Inkwizycję przed skazaniem na stos. A w miejscu stosu na *Campo dei Fiori*, dwa kroki od mieszkania Rinalda, pomnik spalonego heretyka na obrzeżu codziennego targu; ten obrazek jest po staroświecku piękny, jakby ożyła rzymska podkolorowana rycina z dawnych wieków.

Przyjechałem wczoraj do Rzymu na pożegnalną kolację u ambasadora Bolesława Michałka, który wkrótce wraca do Warszawy, wraz ze swoim radcą Tadeuszem Konopką (znanym jeszcze z czasów, gdy był łącznikiem między „Solidarnością” i włoskimi związkami zawodowymi). Ilość i jakość zaproszonych gości świadczy, jak dobrze zadomowił się ambasador polski w Rzymie podczas swojej czteroletniej kadencji. Szkoda że już się kończy, mam nadzieję że postkomuniści (jak się piszą? z grubą kreską w środku czy bez?) i ich ludowi sojusznicy-wspólnicy nie cofną się do dawnej tradycji traktowania ambasad jako synekur dla dygnitarzy, których dla otarcia łez po wykopaniu z warszawskiej meliny rządowej wysyła się na placówki zagraniczne, choć nie mają na ogół zielonego pojęcia o krajach dyplomatycznego przeznaczenia.

Na przyjęciu u Michałka najdłużej rozmawiałem z ambasadorem szwajcarskim, moim — jak się okazało — czytelnikiem. Rzecz jasna, sytuacja we Włoszech. Berlusconi? Można go lubić albo nie — to mówię ja, który go nie lubię — ale sęk w tym że nie widać dziś we Włoszech żadnej dla niego alternatywy. Byli komuniści są w ślepym zaułku, nie mają programu i ludzi pewnego kalibru, ograniczają się do zaczeppek i psucia powietrza, nawet jeżeli udaje im się poprawić trochę notowania wyborcze. Katolicy? Nigdy jeszcze nie stoczyli się tak nisko. Buttiglione jest może ciekawym filozofem (nie czytałem jego książek), ale jako polityk robi wrażenie wiejskiego przygłupka. Trzydziestoletnia, przemądrzała i fanatyczna panna Pivetti (*ex-pani*), którą wymienia się w bukietcie kandydatów na premiera w razie upadku Berlusconi, jest

żywym dowodem degrengolady politycznej Włoch. Oboje, jak słyszę, są faworytami Jana Pawła II (papież nie zawsze daje dowody przenikliwości politycznej). Przeżywamy dziś — mówię ciągle ja — epidemię miernoty, nie tylko włoskiej zresztą. Clinton? Dogasający Mitterrand, niegdyś prawdziwy „Florentyńczyk”? Balladur? Major? No, może jedynie Kohl przypomina autentycznego męża stanu. Stosunek „bezsilnego” Zachodu do tragedii w Bośni jest zaproszeniem do powszechnej womitacji, połączonej z nerwowymi drgawkami.

Reakcje dyplomatów zawodowych (dla ambasadora szwajcarskiego Rzym jest jedną z kolejnych stolic, nie wyłączając Moskwy i Pekinu) można odczytywać ze sposobów ich milczenia. Powiedzmy, że milczenie mojego rozmówcy było serdeczne i pełne zrozumienia, z ledwie dostrzegalną domieszką czegoś więcej.

Neapol, 3 grudnia

Nie zdarzały mi się chwile zwątpienia w wielkość pisarską Camusa, w jasną nić łączącą jego pióro równocześnie z sercem i umysłem, ale przyznaję się do obaw na wiadomość, że postanowiono wydać brulion jego nie dokończonej powieści autobiograficznej *Le Premier Homme*. Każdy pisarz wie co to jest brulion, pełen luk, wielokropków, luźnych szkiców o których jedynie autor wie jak winny się rozwinąć, czym będzie ich kształt dojrzały. Mało jest pisarzy pędzących naprzód „od pierwszego rzutu”, prawie bez skreśleń i poprawek (Stendhal), nie posuwających się do przodu przed doskonałym wykończeniem poprzedniej stronicy (Flaubert), obmyślających latami powieść w milczeniu, by wreszcie wyrzucić ją z siebie gotową w ciągu kilku tygodni (Tomasz di Lampedusa). Przeważnie pracuje się z pomocą notatek, posuwając wolno książkę po szczeblach kompozycyjnej drabiny. Do tej kategorii należał Camus. Więc jak te szczeble po śmierci autora pokazać, jak przekonać czytelników (a nie badaczy) o wartości przedsięwzięcia pisarskiego *in nuce*?

Ja przeczytałem nieomal w całości *Pierwszego człowieka* z zachwytem i jestem pewien, że byłaby to wielka książka, gdyby wypadek samochodowy nie przeciął życia 44-letniego autora i już „noblisty”. „Nieomal” dotyczy partii refleksyjnych, filozoficznych, które wymagają naturalnie rozwinięcia i wycieniowania. Natomiast sama narracja autobiograficzna, opowieść o własnym życiu z lat dzieciństwa i chłopięctwa,

jest zaskakująco dojrzała. Camus przyzwyczaił nas do rysunku figur emblematycznych, grających na scenie pewną „kwestię”, niedokrwistych zatem, bo chodziło bardziej o „kwestię” niż o postać (*Obcy*, adwokat z *Upadku*, galeria osób z *Dżumy*; żywą postać wprowadził jedynie w pięknym opowiadaniu *Cudzołożnica*). A tutaj, w *Pierwszym człowieku*! Camus odsonił się nagle jako wybitny portrecista i autoportrecista: matka, cięń poległego ojca, babka, wuj, nauczyciel, mały Albert i jego koledzy, wszyscy zdumiewają. Ma się poczucie, że Camus (o którym po Noblu paryscy „koledzy po piórze” przebąkali, że już się „wypisał”) w czterdziestym czwartym roku życia wchodził w nowy okres swojej twórczości.

W *Notatkach* z roku 1935 pisał: „Chcę powiedzieć, że jest możliwe — bez wynaturzeń romantycznych — tęsknić do utraconej biedy. Lata przeżyte w biedzie przyczyniają się do powstania nowej wrażliwości”. Ta wrażliwość, „w połowie drogi między biedą i algierskim słońcem”, jest czystym źródłem *Pierwszego człowieka*.

10 grudnia

Teżą książeczki znanego eseisty niemieckiego Hansa Magnusa Enzensbergera *Aussichten auf den Bürgerkrieg* jest zapanowanie stanu wojny domowej na całym świecie, jako głównego znamienia naszej epoki. Nie chodzi o prawdziwe wojny czy konflikty domowe (typu bośniackiego), których liczba według eseisty niemieckiego waha się od 60 do 70. Chodzi o powszechny stan wojny domowej, która jest wyrazem rosnącej agresywności bez żadnego konkretnego powodu — narodowego, społecznego, religijnego. Zgadzam się z tą tezą, jej prawdziwość obserwuję we Włoszech od dłuższego już czasu. Włosi byli kiedyś odporni na wszelkie hasła nacjonalistyczne (Mussolini miał kłopoty z wprowadzeniem „ustaw rasowych”, zrobił to pod naciskiem Hitlera *contre coeur*), nie mogło być inaczej zwłaszcza na Południu i na Sycylii, gdzie „czystość etniczna” jest po prostu nonsensem. A teraz widuję akty agresji (bądź czytam o nich w gazetach) przeciw „kolorowym” emigrantom, którzy w miastach są domokrażcami, a na wsi sezonowymi robotnikami rolnymi. Niech mi nikt nie mówi o motywach gospodarczych, bo nie istnieją w tym wypadku, tubylcy nie nadają się do robót wykonywanych przez przybyszów z Afryki, albo nie mają

ochoty na męki np. zbioru pomidorów. A jednak podpalają nędzne baraki zamieszkałe przez *gente di colore*, zaczepiają ulicznych sprzedawców, mają pełne gęby hasel dotychczas we Włoszech przez nikogo nie wykrzykiwanych. Enzensberger powiada, że cechą powszechnej podskórnej wojny domowej jest nieobecność jakichkolwiek „zasad ideowych” w aktach agresji. Czyli agresja dla agresji, trzeba koniecznie komuś „przywalić”, aż ręce swędzą. Hans Magnus (tak go się na ogół nazywa) ma rację, szkoda tylko że poprzestaje na opisie zjawiska, nie próbując odpowiedzieć na pytanie „skąd ta potrzeba gwałtu?”. Zdaję sobie sprawę, że trafna i dobrze uzasadniona odpowiedź byłaby bardzo trudna, ale podejrzewam że należy sprawę opukiwać na linii proponowanej tuż przed śmiercią przez Poppera: potrzeba gwałtu podsycana przez ekran telewizyjny. Podobnego zdania jest mój przyjaciel, pisarz Goffredo Fofi, który na wczorajszym obiedzie zaczął od „dobrej nowiny”, że według statystyk liczba widzów włoskich spadła w ostatnim kwartale o 700.000. A spadła, według mnie, dlatego że nareszcie zaczęły ludzi doprowadzać do białej gorączki reklamy (zwłaszcza w kanałach prywatnych) i strumienie politycznego bełkotu, który w sytuacjach skomplikowanych (a taka panuje dziś we Włoszech) zastępuje elementarz rozsądnego myślenia. Dzięki temu wstrętowi nie ogląda się również podrzynania gardel, deptania słabszych (przeważnie kobiet i dzieci), stosów zdegradowanych celowo samochodów, tortur, wybuchów dynamitowych, jednym słowem — wojny domowej wyzbytej wszelkich „zasad ideowych”.

Jedno wydaje się pewne, a mianowicie że telewizja nie posiada żadnych walorów wychowawczych. Jest czystym instrumentem wiecowo-agitacyjnym na gigantycznym placu w uniwersalnej wojnie domowej (z różnie dozowaną przyprawą programów rozrywkowych).

18 grudnia

Maciej Żurowski w posłowie do polskiego wydania *Szkoły uczuć* Flauberta (w przekładzie Anieli Micińskiej; moim zdaniem lepsza była *Szkoła serc* w dawnym przekładzie) cytuje fragment listu Flauberta z okresu *Pani Bovary*: „Jedną z moich zasad jest przekonanie, że nie wolno *pisać siebie*. Artysta powinien być w swoim dziele jak Bóg w świecie, który stworzył, niewidzialny i wszechmocny; trzeba

odczuwać go wszędzie, ale nie można go widzieć”. Tymi słowami, przypomina Żurowski, Joyce zamknął swoje credo w *Portrecie artysty*.

Nie znam doskonalszego klucza sekretnego do dobrej prozy, a raczej dokładniejszego i zwieżlejszego opisu jej poetyki. *Primo*, nie pisać siebie, nawet opowiadając w pierwszej osobie. *Secundo*, być niewidzialnym, widząc w obrębie opisu wszystko. Flaubert osiągnął ten ideał bardziej w *Pani Bovary*, niż w *Szkole serc*. U Joyce’a „recepta” święci triumfy nie tylko w *Ulyssesie*, ale i w drobnych rzeczach, jak na przykład we wspinałym opowiadaniu *Umarli z Dublińczyków*. Można ułożyć listę arcydzieł sztuki narracyjnej, posłusznych świadomości bądź nieświadomości formule Flauberta. Jaki jest szybki sprawdzian wartości opowiadania czy powieści? Gdy czytelnika trapi pytanie, czy niewidzialny autor widział jednak to co opisał. W *Szkole serc* za dużo jest świadectw bezpośrednich. *Pani Bovary* powstała z notatki w kronice gazety: w nią, jak Bóg, Flaubert tchnął życie; zobaczył w niej, w drobnej notatce, świat do stworzenia. Ale nie mógł, by wznieść się na wyżyny powieściowego Stwórcy, pisać siebie. Zmysłem więc, lub momentem słabości kreatora spoglądającego z dumą na własne dzieło, jest słynne zdanie: „*Pani Bovary to ja*”.

26 grudnia

Po raz drugi odwiedził mnie dziś Nikołaj Aleksandrowicz Żiwago z Moskwy, italianista i anglista, tłumacz literatury włoskiej na rosyjski, doradca literacki jednego z teatrów moskiewskich, z zamiłowania skrzypek (zbliża się do pięćdziesiątki). Pierwszą wizytę opisałem w dzienniku pod datą 18 lutego 1994, tam też wyjaśniłem skąd nosiciel takiego nazwiska w Neapolu.

W lutym zgadzaliśmy się co do Jelcyna, przełknęliśmy nawet krwawe stłumienie rebelii Chasbulatow-Ruckoj. „*Niestety* nie ma nikogo lepszego, każda alternatywa byłaby gorsza”. To jego słowa, z podkreślonym *niestety*. A teraz? „Początek wojny trzydziestoletniej mafii rosyjskiej z czeczeńską. Jelcyn jest figurantem i narzędziem w rękach mafii rosyjskiej i części wojska. Mafia rosyjska chce zniszczenia wyroju swej groźnej konkurentki, część wojska ma nadzieję wymusić zbrojnie poprawę swego katastrofalnego położenia materialnego, dmuchając w imperialne iskry w popiele. W tej

konfiguracji Jelcyn idzie na dno (pijany). Nikt poza tym nie pali się do wojny, na odwrót”. Wieczorem zatelefonował Piotr Mitzner z Warszawy, właśnie wrócił z Moskwy. Jelcyn wydał zakaz zgromadzeń i manifestacji publicznych, mogą się odbywać jedynie z inicjatywy i w obecności posłów do Dumy. Odbywa się więc polowanie na współczesnych *swadziebnych gienieratow*, znajdziesz i namówisz któregoś (może za opłatą?), możesz do woli wiecować.

Żiwago dopiero ostatnio przeczytał przemówienie Sołżenicyna w Dumie. „Nareszcie ktoś powiedział coś rozsądnego, chociaż przemawiał do głuchych”. Dodaję, że w Dumie ten „reakcjonista” domagał się powiązania polityki z etyką, a swój „imperializm” odsłonił w tych dniach, wzywając do wycofania się z Kaukazu i spełnienia postulatów Czeczenii („jeżeli nie zdołają utrzymać niepodległości i suwerenności, wrócą dobrowolnie do nas”). Tak — zamyśla się Nikołaj Aleksandrowicz, — Sołżenicyn wydaje się jedynym rozsądnym i uczciwym człowiekiem wśród rządzącej zgrai głupców i hochsztaplerów. Z Jelcynem na czele.

Partie? Pod okiem KGB. Administracja? Pod okiem mafii. A społeczeństwo? Tęskni do wodza i do „silnej ręki”, jest faszyzujące, nie znosi zagranicznych sklepów (chętnie by je zdemolowało, skoro nie może sobie pozwolić na wejście do nich), marzy o powrocie do „dawnych dobrych czasów”, kiedy „wszyscy żyli jednakowo źle, ale jakoś wiązali koniec z końcem”. Żiwago, patrząc na mnie, opowiada mi tytułem pocieszenia, że inteligencja znowu dużo czyta (głównie klasyków), rozumie dobrze sytuację i jakby zwiera szeregi. Czyli opowiada mi o kwietnej ozdóbce w wywróconym kożuchu; takim samym jak dawniej, tyle tylko że chwilowo trochę żywszym w kolorze.

29 grudnia

Według mnie Jacek Żakowski jest najlepszym dziś w Polsce publicystą. Jego artykuł *Tak gnije demokracja*, w pewnym sensie kontynuacja głośnego *Coś pękło, coś się skończyło* (charakterystyczne zdanie w nowym artykule „Bardzo się boję, że nic się już nie stanie, nic nie pęknie i nic się nie przewróci, a jednak stopniowo, lecz nieodwołalnie, zginie sens tego, co się stało w 1989 roku”) nie stroni oczywiście chwila od przerysowania, ale takie ma prawo (a nawet obowiązek) pióro dobrego publicysty — przeciwieństwo aptekarskiej

wagi w rękach analityka, — byle tylko zasadniczy rysunek był wierny. A jest. Do wyboru dano nam gombrowiczowską „ogólną gnیلność” (na miejsce „ogólnej niemożności”), albo „cyrk”. Z każdym dniem zaostrzają się oba wrażenia. Kto o tym otwarcie i odważnie mówi, uważany jest za „niesprawiedliwego”.

„Niesprawiedliwy” jest także Żakowski w oczach Jedlickiego. Biadającym nad żaloszonymi „postkomunistycznymi normami demokracji” radzi do poduszki poczytać historię Watergate czy dzieje włoskiej korupcji. Rzecz w tym, że w Ameryce musiał jednak ustąpić dobry prezydent Nixon, a w Polsce lichy prezydent Wałęsa żyje od wybryku do wybryku, od „zagrywy” do „zagrywy”, a jego prawniczy sufler Falandysz już zapowiada kolejne przebiecia pokerowe swego wysokiego zwierzchnika. We Włoszech pękł ogromny wrzód korupcji, ale do jego zoperowania zabrał się ostro sędzia Di Pietro. Milczanowski odmówił wydania teczki Pyjasa (łatwo się domyślić dlaczego), sprawa zamordowania księdza Popiełuszki zakończyła się dwuznacznie, a czy coś podobnego można sobie wyobrazić we Włoszech po upadku faszyzmu, mianowicie ministra spraw wewnętrznych, który odmawia wydania teczki Matteottiego z archiwów OVRA (faszystowskiej Bezpieki), podczas gdy sędziowie wychodzą ze skóry by rozszedł się po kościach proces jego morderców? Wolne żarty. Chyba że ambasador Dino Grandi, który swoim wnioskiem obalił Mussoliniego na posiedzeniu Wielkiej Rady Faszystowskiej, wygrałby potem z kolegami pierwsze wolne wybory w ramach „postfaszystowskich norm demokracji” i swoją chlubną działalność zacząłby od przeproszenia rodaków za niegodziwość poprzedniego systemu... (*A propos.* Przegapiłem w *Polityce* rozmówkę Aleksandra Smolara z... Kwaśniewskim. Podobno Smolar uznał słynne „przepraszam” Kwaśniewskiego za pierwszy krok we właściwym kierunku. A jaki będzie drugi? „Bardzo przepraszam”. A trzeci i definitywny? „Najmocniej przepraszam”. Smolar! Taki, zdawało się, mądry człowiek).

Jerzy Jedlicki zaleca „obywatelską cnotę cierpliwości”. Nader słusznie, ja też sądzę, że na pokolenia trzeba liczyć proces wychodzenia z komunizmu i dojrzewania do demokracji, ale cierpliwość cierpliwości nierówna. Istnieje cierpliwość rzeczywista i cierpliwość pozorna. Powszechnie znana jest dykteryjka o Angliku, który na zapytanie jak doprowadza się trawnik do twardości i puszystości kobierca, odpowiada: „Bardzo prosto. Przez trzysta lat przycina go się i podlewa codziennie”. To jest cierpliwość rzeczywista. W pozornej

wylewa się codziennie na zdziczały od lat trawnik nocne naczynia „politycznych graczy”, którzy przy zielonym stoliku zastanawiają się, czy porcja zdrowego autorytaryzmu nie okaże się aby zbawiennymi drożdżami demokracji.

31 grudnia

Miłosz przytacza *Wiersze o ojcu i matce* Anny Świrszczyńskiej w swoim szkicu o poetce na łamach *Tygodnika Powszechnego*. Są więcej niż piękne (mówię to ja, który coraz rzadziej i niechętniej czytam poezję). Są odkrywczym w uszlachetnieniu zwykłej opisowej notatki prozą, w wydobywaniu z niej maksymalnej dramatyczności poetyckiej przyciszonym, znużonym, czułym głosem. Jaka czarodziejka! Znała ją na pewno Wisława Szymborska, warszawska polonistka przed wojną, autorka *Rachunku elegijnego* w tomie *Koniec i początek*. Bo Świrszczyńską wielbiono w pewnych kołach polonistycznych, na przykład „szkółka Frydego” zaliczała ją do najlepszych poetów schyłku Dwudziestolecia. Kiedy w roku 1938 Koło Polonistów UW urządziło w Reducie sześć coniedzielnich poranków poetyckich, wśród wybranych była Świrszczyńska. Niestety zamazują się obrazy pamięci. Pamiętam dobrze tylko własny występ, prelekcję o Miłoszu, wiersze Miłosza recytowane przez Marię Wiercińską i Jana Kreczmara, urodzonego młodego poetę w pierwszym rządzie krzesła, nastroszonego, nieufnego, jakby przyjechawszy dopiero co z Wilna obawiał się że go „upupi Warszawka”. Nie pamiętam Świrszczyńskiej, nie pamiętam kto o niej mówił, kto recytował jej wiersze. Z fotografii w *Tygodniku Powszechnym* wolno wnosić, że była wysoka, ja w mizernych resztkach wspomnień widzę jej figurkę średniego lub niskiego wzrostu, nieśmiałą i zastraszoną twarz, w kole wielbicieli jej talentu po poranku. Tak czy owak, laur poetycki na czołe Świrszczyńskiej nie jest zasługą Miłosza (wśród licznych jego zasług w tej dziedzinie). Przed wojną młodzi poloniści, a pewnie i doświadczeni miłośnicy poezji, stawiali ją obok Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej.

Niebo w płomieniach, kłęby dymu, świetne wzory i esyfloresy, złuszczone odbłaski na gładkich falach zatoki, pękające z suchym trzaskiem w powietrzu fajerwerki, petardy,

race, drzenie szyb, potężniejąca z minuty na minutę kano-
nada, podobna do obstrzału paru pułków artylerii. Jutrzejszy
komunikat doniesie, ile osób przyplaciło życiem albo kalect-
wem powitanie Nowego Roku. Ja witam go w Neapolu
czterdziesty raz. Może już dosyć? Największe tu święto (od
kilku lat w minorowym raczej tonie) zaczyna mnie od nieja-
kiego czasu przyprawiać o lekkie mdłości. Prawdopodobnie
oznaka starości.

7 stycznia 1995

Listy ze Sztokholmu, z reprodukcjami starych obrazów.
Piszą Ewelina Lipko-Lipczyńska z patriotycznej rodziny
pepeesowskiej, emerytowana nauczycielka języka polskiego
najpierw w Ostrowcu Kieleckim potem w Warszawie, usu-
nięta karnie ze szkolnictwa i „wyproszona” z Polski w roku
1968 (zapewne według formuły ubeckiej „nie podoba się?”),
przed laty poznałem ją przelotnie w Sztokholmie w kręgu
Norberta Żaby; oraz jej córka Wiktoria Oseka, niegdyś żona
znanego krytyka sztuki Andrzeja, ją także dość dawno
poznałem przelotnie w Kopenhadze na przedstawieniu *Amba-
sadora* Mrożka. Obie panie zajmują się od dłuższego czasu
polowaniem na zaginione arcydzieła, w antykwariatach i na
aukcjach. Oczywiście z zamiłowania, ale chyba nie tylko. Z
listu Pani Wiktorii: „Posyłam Panu zdjęcie portretu wene-
ckiego, z nadzieją że zobaczy Pan w nim Giorgiona. Praw-
dziwy zbieg okoliczności — Pana opowiadanie *Portret
wenecki* (*Kultura*, styczeń-luty 1994) i nasze największe znale-
zisko (też styczeń 1994) skłonił nas do nawiązania kontaktu
z Panem”. Pani Ewelina uzasadnia przesyłkę bezspornym fak-
tem, że jestem pisarzem zakochanym w malarstwie i „Poszu-
kiwaczem Historii Niezwykłych i Niepospolitych”.

To prawda, nie jestem natomiast ekspertem malarskim
(zresztą ostatnio rola ekspertów malarskich zdewaluowała się
bardzo, stała się po prostu transakcją handlową: ekspert o
głośnym nazwisku sprzedaje je za grube pieniądze bogatemu
handlarzowi obrazów, niezależnie od swojej prawdziwej nie
wyznanej ekspertyzy), muszę więc ograniczyć się skromnie do
smakowania reprodukcji. Nie wiem czy portret wenecki
namalował Giorgione, wiem za to że jest to portret piękny.
To samo dotyczy *Skrzypka*, niegdyś przypisywanego Rafael-
lowi, a dopiero od stu lat wielkiemu również malarzowi
Sebastiano del Piombo; jak też przypuszczalnego studium do

Mężczyzny z palającymi oczami Tycjana. A w ogóle jestem
zdania, że istnieje mistrzostwo imitacji wielkich mistrzów.
Panie ze Sztokholmu mogą się zatem już teraz uważać za
posiadaczki małej skarbnicy. A kiedyś? Kiedyś oby spraw-
dziło się porzekadło „łut szczęścia prowadzi do pudu złota”.

Znałem taki wypadek. Nazajutrz po wojnie, w Rzymie,
ksiądz prałat Meysztowicz zaprowadził mnie pewnego dnia
do wspaniałego apartamentu nad Tybrem, którego właścicie-
lem był jego dawny kolega z petersburskiego liceum, baron
Basile de Lemmermann, ostatni carski ambasador w Turcji.
Zorientowałem się szybko, że wizyta została zaaranżowana z
inicjatywy barona, bogatego antykwariusza: miał nadzieję
sprzedać 2 Korpusowi sztambuch księżnej Zinaidy Wołkoń-
skiej, ja natomiast według obietnic Meysztowicza miałem ten
nabytek, jako „rzeczoznawca”, polecić „gorąco” w Wydziale
Kultury. Prawdę powiedziawszy, kontrahentem barona powi-
nien być Czapski, hrabia i być może kolega barona z Kor-
pusu Paziów, poza tym fanatyk Mickiewicza (wraz z siostrą
Marynią). Ale Czapski był wtedy w rozjazdach, a chodziło o
pospiech.

Sztambuch Zinaidy Wołkońskiej był rzeczywiście drogo-
cenny, lecz podana przez barona cena przekraczała nasze
wojskowe możliwości. Mogłem za to, razem z Meysztowi-
czem, dokładnie go przejrzeć.

Mickiewicz bywał w salonie księżnej Zinaidy w Moskwie.
Jej stosunek do poety był pełen admiracji, na szczęście bez
egzaltacji Boratyńskiego, który po wysłuchaniu jednej z mic-
kiewiczowskich improwizacji padł na kolana i wykrzyknął:
Ab mon Dieu, pourquoi n'est-il pas Russe! Zinaida była
„zapadniczką” z zacięciem kosmopolitycznym, przeszła w
końcu w Rzymie na katolicyzm. Wkrótce po niej przyjechał
do Rzymu (18 listopada 1829) Mickiewicz z Odyńcem. Żył
już wówczas w podnieceniu religijnym, na widok kopuły
Świętego Piotra zdjął sam i kazał Odyńcowi zdjąć nakrycie
głowy przed tą „tiarą świata”. Stał przed nim otworem
rzymski salon Zinaidy, zaofiarowała mu nawet pokój, zaprag-
nęła gwałtownie odnowić urwaną przed rokiem przyjaźń. Ale
Mickiewicz był powściągliwy, sercem i myślami żył wśród
ludzi, poznanych w tym czasie w mieszkaniu hr. Ankwicza.
To młodzieńca Henrietta Ankwiczówna stanie się jego rzym-
skim *cicerone*. Mimo to, podobnie jak w moskiewskim salonie
księżnej, bywał w jej salonie rzymskim.

Lemmermann otrzymał (czy kupił) część archiwum Woł-
końskich od rodziny włoskiego markiza C., spokrewnionego

z wnuczką Zinaidy. Otwiera sztambuch *Farys* po francusku, przełożony przez Mickiewicza i wpisany jego ręką na sześciu stronicach z kawałkiem. Potem, na osobnej dużej karcie, *La chambre grecque*, własnoręczny „przekład z polskiego wiersza *Na pokój grecki* dla księżnej Wołkońskiej”. Cymelium części archiwum jest pierwsze doskonale zachowane wydanie *Konrada Wallenroda* z roku 1828 („drukiem Karola Kraya w Petersburgu”). Na stronie tytułowej dedykacja: *A Madame la Princesse Zeneide de Wolkonsky Hommage de la part de l'auteur*. W sztambuchu księżnej Własowej, siostry Zinaidy, fragment *Odjazdu* Odyńca w przekładzie francuskim (własnoręcznie wpisanym) Mickiewicza.

Po wyjściu raz jeszcze spojrzałem z bulwaru nadtybrzańskiego na *palazzo*, w którym mieszkał baron Lemmermann. „Pewnie pana interesuje jak doszedł do swojego bogactwa”, zagadnął ksiądz Meysztowicz. I to jest właśnie ilustracja porzekadła „łut szczęścia prowadzi do pudu złota”, zadeklowana paniom ze Sztokholmu.

Przyjechał z Turcji do Rzymu jako emigracyjny nędzarz. Znał się tylko trochę na sztuce i meblach, wegetował kupując i sprzedając z nikłym zarobkiem drobiazgi w sklepikach z rupieciami. Aż w jednym takim sklepiku koło Placu Hiszpańskiego zauważył kawałek fresku na drzewie. Kupił go za grosze, czując nosem że jest bardzo stary. W rok później przeczytał przypadkowo w międzynarodowym piśmie antykwarycznym, że jakieś muzeum amerykańskie gotowe jest zapłacić „każdą cenę” za brakujący odłamek fresku średniowiecznego. „Každą cenę” była owym pudem złota.

Na zakończenie nieoczekiwany epilog z maja 1994. Na uroczystości w Pałacu Staszica wręczono mi dyplom honorowy członka Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza. W podziękowaniu opowiedziałem m.in. o sztambuchu Zinaidy Wołkońskiej, sądząc że wydobywam z niepamięci rewelację na użytek gospodarzy uroczystości. Siedząca naprzeciw mnie przy długim stole Zofia Stefanowska, świetna polonistka i znawczyni Mickiewicza, przerwała mi cichym głosem: „Jest w Oxford” (albo w Cambridge, nie pamiętam).

A zatem powiększył się jeszcze pud złota barona Lemmermanna, bądź jego spadkobierców.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

O pożytkach z Chazarów

Gdyby Chazarów nie było, należałoby ich dziś wymyślić. Szczęśliwie jednak byli. Tureckie plemiona zamieszkujące dolne Powołże, nadbrzeża Donu i przedgórze Karpat znane są od drugiego wieku. W szóstym i siódmym wieku stworzyły one kachanat chazarski, silne państwo, a z czasem, w ósmym i dziewiątym wieku, potężne mocarstwo, które odgrywało kluczową rolę na wschodzie Europy. W dziesiątym wieku Chazarzy ponieśli klęskę w wojnie z kijowskim kniazem Światosławem: ich państwo rozpadło się, a naród zniknął, mieszając się z innymi albo migrując.

Dzieje Chazarów byłyby tylko zwykłymi dziejami jednego z wielu stepowych ludów, które przez długie wieki wyłaniały się z głębin Azji, zalewały jak fala Europę a potem przepadały, zostawiając po sobie złą pamięć, gdyby Chazarom nie przydarzyła się dziwna historia, która wyodrębniła ich z masy współczesnych im narodów. Chazarzy mianowicie w ósmym wieku przeszli na judaizm. Specjaliści uważają, że wybór ten miał powody polityczne: między chrześcijańskim Bizancjum i muzułmańskim kalifatem kachanat chazarski wybrał trzecią drogę.

Przez kilka stuleci Chazarzy sąsiedowali ze słowiańskimi plemionami, które płaciły im daninę. Potem graniczyli z państwem kijowskim. Ruscy latopisowcy zanotowali na pergaminie wiele zdarzeń. Z ich zapisków korzystali historycy. Stosunki między sąsiadami w tych odległych czasach były podobne jak i później. Aleksander Puszkina w „Pieśni o wieszczym Olegu” („*Piesnia o wieszczem Olegie*”), której dzieci rosyjskie uczą się w szkole od stu pięćdziesięciu lat, opisuje jak kijowski książę Oleg wyrusza w bój, aby „zemścić się na podłych,

Chazarach", którzy napadli na jego ziemie. Ogniem i mieczem wypalał im pola. Chazarzy napadli na niego, więc on napadł na nich.

Rosyjska historia traktuje Chazarów życzliwiej aniżeli innych sąsiadów dawnej Rusi, między innymi dlatego, że zastępy kachańskie osłaniały słowiańskie ziemie przed najazdami stepowych ludów. Trzeba było za to wprowadzić płacić daninę, ale do 1952 roku nikt się na to specjalnie nie oburzał.

Kiedy towarzysz Stalin zajął się ostateczną likwidacją Żydów rosyjskich, żaden szczegół nie mógł mu umknąć. W styczniu 1952 nad historią Chazarów pochyliła się *Prawda*. Organ KC KPZS zaatakował znanego historyka prof. Artamonowa, autora „Historii Chazarów”. Książka Artamonowa, powszechnie ceniona przez specjalistów, ukazała się w 1936 roku. Szesnaście lat później *Prawda* niespodziewanie przypomniała sobie o niej i zdemaskowała zawartą w niej wrogą myśl, jakoby średniowieczny Kijów cokolwiek zawdzięczał Chazarom. Autor, co gorsza, twierdził, iż był to lud cywilizowany, który padł ofiarą rosyjskich książąt.

Po kolejnych dziesięciu latach, kiedy prof. Artamonow samokrytycznie przyznał, że się mylił, i wprowadził do historii niezbędne poprawki, wytykając chazarskim przywódcom paskudne „zaborcze żydostwo”, zezwolono na wznowienie książki.

Ten epizod badań Chazarów byłby tylko kolejnym przykładem, jak bardzo sowieccy przywódcy interesowali się najodleglejszą nawet przeszłością, gdyby Chazarzy nie okazali się nagle szalenie aktualni. Uwagę zwrócił na nich historyk Lew Gumilow, syn poetów Mikołaja Gumilowa i Anny Achmatowej, wieloletni więzień obozów. Lew Gumilow stworzył oryginalną teorię dziejów ludzkich. Ogólnie mówiąc teoria ta wychodzi z założenia, że w określonych momentach pojawiają się wśród poszczególnych *etnosów* pod wpływem niejasnych sił mutanty, których Gumilow nazywa pasjonarzami. Pasjonarzy rozpiera wyjątkowa energia, która pozwala im porwać za sobą cały *etnos* i zmienić bieg historii. Iskra pasjonarska pozwoliła na przykład niewielkiemu mongolskiemu plemieniu pod wodzą Dżyngis-Chana zawojować gigantyczne imperium. Kiedy duch pasjonarski ogarnął Skandynawię, furia wikingów poraziła Europę i cały świat. Garstka skandynawskich pasjonarzy stworzyła królestwa i księstwa we wszystkich zakątkach zamieszkałego świata.

Teoria pasjonarstwa wychodzi z założenia, że biosfera

wpływa na człowieka. Pod wpływem ziemskich i atmosferycznych sił biologicznych pewna — niewielka — liczba osób żyjących na określonym terenie podlega mutacji. Nie zmienia się (albo zmienia tylko częściowo) ich ludzka natura, natomiast gruntownie zmienia się stereotyp postępowania. „Genotyp” ludzki, wzbogacony w wyniku mutacji o gen pasjonarstwa, powoduje większą niż normalna absorpcję energii z biosfery. Nadmiar energii tworzy nowy stereotyp zachowania, który w odpowiednim momencie kulminuje w impulsie pasjonarstwa.

Głębią pasjonarstwa — i teorii Gumilowa — jest *etnos*. To w nim rodzą się pasjonarze, którzy porywają za sobą innych. *Etnos* to kolektyw, różniący się od innych *etnosów* stereotypem zachowania i przeciwstawiający się wszystkim innym¹. Wszystkie *etnosy* podlegają tej samej ewolucji (która to ewolucja tłumaczy dzieje człowieczeństwa): zachodzi mutacja, pojawia się garstka pasjonarzy, potem wybuch, kiedy liczba pasjonarzy osiąga odpowiedni pułap; wyładowanie wchłoniętego nadmiaru energii (podboje, rozwój kultury); osłabienie działań *etnosu* w miarę ubytku nagromadzonej energii.

Bezsporną zasługą Lwa Gumilowa był fakt, że stworzył niemarksistowską teorię dziejów. Teoria ta była przez długie lata albo całkiem nieznana (publikacje z najwyższym trudem przeciskały się przez cenzurę), albo uważana za kuriozum w wąskim kręgu specjalistów. Mniej więcej w latach 70-tych książki Gumilowa zaczęły wychodzić na światło dzienne. Jego poglądy wzbudziły zainteresowanie, a w niektórych środowiskach stały się modne. W 1989 roku ukazała się obszerna książka Gumilowa pt. „Średniowieczna Ruś i wielki step”, której autor — historyk, geograf i etnograf — analizował stosunki między Rusią i ludami stepowymi od VI do XIV wieku. W 1990 roku wyszła praca naukowa pt. „Geografia etnosu w okresie historycznym”, która zawiera uwagi o „teorii pasjonarstwa” i opis poszczególnych faz etnogenezy. W 1991 roku miesięcznik *Nasz sowiecki emigrant*, propagandowy organ radykalnych nacjonalistów, ogłosił w numerach 7 i 8 rozdział ze „Średniowiecznej Rusi” pt. „Książ Światosław Igorjewicz”. Tekst jest nieco zmodyfikowany w porównaniu z wydaniem książkowym, aby był dostępny szerszym kręgom czytelników. „Książ Światosław Igorjewicz” to biografia ostatniego pogańskiego kniazia kijowskiego (syn Światosława przyjął prawosławie), prężnego zdobywcy, pogromcy Chazarów.

1. L.N. Gumilow, „*Geografija etnosa w istoriczeskij period*”, Lenin-grad 1990.

Zmarły w 1991 roku Lew Gumilow był wybitnym znawcą starożytnej historii ludów stepowych, Chin i Mongolii. Był też utalentowanym pisarzem, potrafiącym żywo wyłożyć swą rzecz. Obecna moda na niego związana jest z trzema okolicznościami. Po pierwsze — i we współczesnej sowieckiej historiografii rzadkie — nie był, jak powiedziano wyżej, marksistą (choć we wczesnych pracach znajdzie się obowiązkowe cytaty z koryfeuszy — Marksa, Engelsa, Lenina). Ważniejszy jest czynnik drugi: Lew Gumilow był spadkobiercą i przekonany propagatorem koncepcji Eurazji. W 1921 roku grupa zbiegłych przed rewolucją rosyjskich historyków, geografów i teologów opublikowała w Sofii zbiór pod tytułem „Droga na Wschód. Przeczucia i dokonania; deklaracja Eurazjatów”. Koncepcja Eurazji sprowadza się do twierdzenia, że Rosja nie jest ani Europą ani Azją, tylko Eurazją, przestrzenią, której przeznaczeniem jest służyć rozwojowi ducha i państwa rosyjskiego. Sowiecka ideologia nie mogła oficjalnie przyjąć idei zrodzonej w głowach emigrantów, ale w skrytości się pod nią podpisywała. Natomiast w dobie rozpadu marksizmu-leninizmu i koncepcja, i słowa „Eurazja” i „Eurazjaci” stały się szalenie popularne. Uchwycili się ich zarówno osieroceni i stęsknieni za dawnymi czasami komuniści, jak i rosyjscy nacjonaliści, którzy znaleźli w nich „naukowe podstawy” dla swoich rojeń o odbudowaniu rozpadłego w proch i pył imperium. Lew Gumilow dostarczył idei Eurazji podstaw historycznych, dowodząc, że Eurazja stanowi naturalny geograficzny teren rozwoju *etnosu* rosyjskiego. Eurazjaci twierdzili, że warunkiem udanego rozwoju państwa rosyjskiego była i powinna być współpraca z muzułmańskimi ludami stepowymi, sąsiadami Eurazji. Gumilow znalazł dowody wielowiekowej współpracy Rosjan z ludami stepowymi. Przytaczając je, Gumilow często obala tradycyjne poglądy rosyjskich historyków, twierdzi na przykład, że kijowscy książęta przyjaźnili się z Połowcami, których zazwyczaj uważano za największe zagrożenie dla pierwszego państwa rosyjskiego w IX-XIII wieku, albo że Rosjanie żyli w symbiozie z Tatarami w ww. XIII-XV — gdy zazwyczaj mówiło się o jarzmie tatarskim.

Wreszcie trzecią przyczyną jest stosunek Gumilowa do tak zwanej kwestii żydowskiej. Chazarzy są dla niego przede wszystkim Żydami. Ich stosunki z Rusią między VIII i X wiekiem uważa za starcie dwóch wrogich *etnosów*, z których jeden (Chazarzy) chciał zniszczyć drugi (Rosjan). Opisuując zwycięski marsz Światosława na Chazarów i zburzenie ich

stolicy Sarkelu (965), historyk podsumowuje: „Wielkie zwycięstwo Światosława zbawiło Kijów i ziemię rosyjską”². Innymi słowy, pogrom imperium chazarskiego (gdyż zburzenie Sarkelu zadało mu cios śmiertelny) uratował Rosję.

Nie tu miejsce na rozważanie anachronizmów Gumilowa — jak choćby faktu, że Rosja w znaczeniu, w jakim tego słowa używa Gumilow, w IX i X wieku jeszcze nie istniała, albo że ogromna większość historyków, w tym też rosyjskich, podkreśla, że upadek imperium chazarskiego miał fatalne skutki dla Rusi Kijowskiej, bo wraz z nim zniknął mur, który odgradzał ją od najazdów stepowych ludów. Powstrzymam się też od analizowania pojęć *etnosu* i „etnogenezy”. Dodam tylko, że teoria Gumilowa opiera się nie na rase, ale na „stereotypie postępowania”. W związku z tym autor może np. nazywać chrześcijaństwo — *etnosem*.

Dla Żydów autor „Średniowiecznej Rusi i wielkiego stepu” robi wyjątek. Ewolucja jego poglądów daje się prześledzić.

Tłumacząc swą teorię Gumilow przytacza jako przykład rozpad Żydów na kilka *etnosów*: „Sefardyjczyków, Aszkenazyjczyków, Falaszów”³. W 1970 roku opisywał jeszcze spokojnie stosunki między Kachanatem chazarskim a Rusią w IX i X wieku⁴. Stopniowo jednak jego poglądy się radykalizowały i niebezpieczeństwo chazarskie dla Rusi wydawało mu się coraz większe. Myśl, że słowiańskie plemiona Naddnieprza płaciły kachanatowi daninę stawała się coraz trudniejsza do wytrzymania. I tak stopniowo wyłonił się aż za dobrze znany — że pozwolę sobie użyć języka Gumilowa — „stereotyp postępowania” i przed oczami układa się nader aktualny schemat poglądów, oparty na odpowiednio spreparowanych i zinterpretowanych danych historycznych.

Schemat to prosty: oto żyje sobie stepowy lud turecki zwany Chazarami. Jego władcy ulegają podszeptom żydowskich kupców Rachdanitów, w których rękach znajdował się handel karawanowy między Chinami i Europą i którzy szukali niewolników nad Morzem Czarnym, i przyjmują judaizm. Potężne imperium chazarskie pod rządami Żydów ssie krew słowiańskich plemion. Rodzi się z tego — że użyję

2. L.N. Gumilow, „Kniaź Światosław Igorjewicz”, *Nasz Sowriemienik*, Nr 8, 1991, str. 164.

3. L.N. Gumilow, „Geografija etnosa...”, *op. cit.* str. 34.

4. L.N. Gumilow, „Poiski wymyslnennogo carstwa”, Moskwa 1970, str. 84-86.

terminologii Gumilowa — chimera. W greckiej mitologii chimera była potworem o głowie i szyi lwa, tułowiu kozy i ogonie żmii. „Nadwołżańska chimera” — cytuję dalej — była podobnym monstrum, mianowicie „nieorganicznym związkiem na ponadetnicznym poziomie”. W tym to „nieorganicznym związku” (czytaj kachanacie chazarskim) żydowscy władcy rządzą miejscową pogańską ludnością. „Stereotyp postępowania” tych dwóch warstw ludności w jednym państwowym ciele był całkowicie różny (stąd „związek nieorganiczny”). Zdaniem Gumilowa w Chazarii żyły dwa *etnosy*: kachański dwór opierający się na żydowskich kupcach — i reszta.

Lew Gumilow nie ukrywa swej miłości do stepowych ludów i islamu ani swej wrogości wobec tułaczego żydowskiego „superetnosu” w ogóle, a zwłaszcza nad Wołgą. „Żydowiercy kochali na tym świecie siebie, swoje interesy i swoje potomstwo — pisze. — Dla dobra swojego *etnosu* zasłaniali się tajemnicą, bronią, którą przejęli od swych najgorszych wrogów, gnostyków helleńskich, i kłamstwem, ale tylko wobec gojów i akumów⁵.

Najczęściej używanym epitetem wobec Żydów chazarskich jest „chytry”, a największym zarzutem, jaki im stawia Gumilow — uprawianie handlu. Gumilow starannie odróżnia pierwotny naród chazarski od „tułaczycy” Żydów, w pierwszych znajduje tylko zalety, w drugich tylko wady i z pogardą nazywa ich „kupieckimi panami Itilu”⁶ i „kupieckimi mackami”, dla których „zysk” wyżej stał niż „wierność i odwaga”. Zdaniem Gumilowa Żydzi zagrażają innym *etnosom*, bo ich „stereotyp postępowania” — czyli jak pisze, „agresywny judaizm” — jest niebezpieczny dla otoczenia⁷. Zwłaszcza dla Francji. Zdaniem Gumilowa „Prowansja łatwo mogła się w IX wieku przekształcić w drugą Chazarię”⁸. Życzliwy stosunek Karolingów do Żydów, przywileje, które francuscy królowie przyznali żydowskiemu kupcom były — zdaniem Gumilowa — jednym z powodów upadku tej dynastii⁹.

Rosję przed tym wielkim niebezpieczeństwem uchroniło zwycięstwo Światosława nad Chazarami, grabież ich ziem i zniszczenie miast. Gumilowa to cieszy, chociaż podkreśla, że

5. L.N. Gumilow, „*Driewniaja Ruś i Wielikaja Step*”, str. 151.

6. „*Wtoraja stolica Chazarii*”, patrz tamże, str. 162, 165, 195, 197 itd.

7. Tamże, str. 213.

8. Tamże, str. 169.

9. Tamże, str. 213.

nie rozwiązało to ostatecznie problemu. Zagrożenie żydowskie nie zniknęło, imperium chazarskie osłabło wprawdzie, ale nie upadło. Kiedy syn Światosława Włodzimierz postanowił zrzec się pogaństwa i zastanawiał się, jaką religię wybrać dla siebie i swego narodu, zaprosił do Kijowa przedstawicieli chrześcijaństwa, islamu i żydostwa: mnich, mufta i rabin tłumaczyli zalety swojej wiary.

Wraz z chrzestem Rusi i bizantyjskim prawosławiem Żydzi zrobili się — zdaniem Gumilowa — jeszcze groźniejsi. Przedtem zagrożenie wynikało z wyższego niż w innych stereotypach postępowania pasjonarstwa, zamiłowania do handlu i chęci zysku. Teraz, kiedy Włodzimierz wybrał bizantyjski obrządek chrześcijański, do poprzednich czynników doszła rywalizacja między Wschodem i Zachodem. Rosja stała się przedmurzem ortodoksji, a jej wrogami katolicyzm, łańciński ryt i Zachód.

Gumilow wie doskonale, że Włodzimierz wybrał prawosławie przed ostateczną schizmą w chrześcijaństwie, wie, że kijowscy książęta w X wieku nie rozumieli subtelnych różnic teologicznych między Bizancjum i Rzymem i że wizja „wrogiego Zachodu” zrodziła się później, ale anachronizm mu nie straszne i lekką ręką przenosi w odległą przeszłość stereotyp groźnego Żyda, kupca i nosiciela zachodnich wpływów.

W ten sposób wszystkie elementy trafiają na właściwe miejsce. Wyjaśniają się zagadki przeszłości. W dziejach Rusi Kijowskiej według Gumilowa pojawia się czynnik, który umknął uwadze wszystkich dotychczasowych historyków rosyjskich — Żydzi. To oni, zarzewie wojen, szczują do walk książąt kijowskich. Nie ma na to dowodów? Historykowi to nie przeszkadza. W pewnych przypadkach należy podważyć stare dokumenty: autor mógł przecież nie wiedzieć (albo nie chciał wiedzieć) tego, co wie badacz, żyjący tysiąc lat później. Pierwszego ruskiego latopisa Nestora (autora „*Powieści minionych lat*”) Gumilow uważa za *zapadnika*, a więc świadka mało wiarygodnego.

Kwestia żydowska została rozwiązana na początku XII wieku. Do tego czasu w Kijowie zdążyła zagnieździć się „żydowska kolonia, złożona... z przebiegłych lichwiarzy, którzy napłynęli tu z Niemiec przez Polskę”. Korzystając z opieki prozachodnich książąt, Żydzi ci cieszyli się w Kijowie wpływami i znaczeniem. „Wydawało się — pisze Gumilow — że nad brzegami Dniestru zmartwychwstała unicestwiona chimera Judeo-Chazarii, do której żył napłynęła świeża krew znad brzegów Renu i Rodanu”. Etnolog maluje koszmarny

obraz, złożony z wykutych w ciągu wieków stereotypów: „Handel i rzemiosło niepowstrzymanie przechodziły w ręce Żydów, bo każdy z nich korzystał z poparcia wspólnoty, podczas gdy rosyjscy kupcy i rzemieślnicy działali na własny koszt i ryzyko¹⁰”. Gumilow uważa to za doskonały przykład postępowania „małego narodu”. Termin ten, autorstwa francuskiego historyka Augustyna Cochina, wszedł w latach osiemdziesiątych XX wieku w masowe użycie wśród rosyjskich teoretyków antysemityzmu. Używa go stale Igor Szafarewicz w „Rusofobii”. Tenże Gumilow powołuje się na książkę Cochina z 1921 roku, choć nie podaje strony i robi błąd w tytule¹¹. Należy sądzić, że książki nie czytał ani nie widział (podobnie jak Szafarewicz) i że znane mu są tylko przekłady niektórych rozdziałów i paragrafów.

Działania „małego narodu”, zwanego też „antynarodem”, wzbudziły w XII wieku gniew ludu kijowskiego¹², czyli „wielkiego narodu”. W 1113 roku odbył się pogrom. Po śmierci prozachodniego wielkiego kniazia Światosława kijowianie zaczęli grabić żydowskie domostwa i zabijać Żydów. Perejasławski książę Włodzimierz, który wbrew prawu spadkowemu zajął tron kijowski i później długo i szczęśliwie rządził pod imieniem Włodzimierza Monomacha, „szukając podpory w narodzie, wezwał kniaziów na radę”. Zdecydowano wtedy z inicjatywy wielkiego kniazia, żeby Żydów — jak delikatnie wyraża się Gumilow — „ewakuować z ziemi ruskiej bez konfiskaty mienia, ale i bez prawa powrotu¹³”.

Problem był rozwiązany. W 1083 roku książę Oleg Światosław wyrzucił resztki chazarskich Żydów, żyjących nad Morzem Kaspijskim, kilkadziesiąt lat później (1124) Włodzimierz Monomach „ewakuował” Żydów z Rusi. Nie byłoby w tym niczego szczególnego — wygnanie Żydów jest jednym z najczęściej powtarzających się motywów w historii — gdyby nie fakt, że epizod ruski nie jest nigdzie poświadczony. Po raz pierwszy wspominał o nim osiemnastowieczny historyk W.N. Tatischev (1686-1750)¹⁴. W XX wieku liczni historycy podawali w wątpliwość źródła Tatischewa, bo powołuje się on na dokumenty spalone w pożarze. Nie wchodząc w

10. L.N. Gumilow, „Driewniaja Ruś...”, *op. cit.*, str. 321-322.

11. Tamże, str. 249, 250.

12. Tamże, str. 323.

13. Tamże, str. 324, 325.

14. W.N. Tatischev, „Istorija Rossijskaja”, tom II, str. 128-130, Moskwa-Leningrad 1962-68.

spór, można tylko powątpiewać, by skromna liczba żydowskiej ludności w Kijowie, co więcej przetrzebionej pogromem i uciekającej przed dalszymi prześladowaniami, wymagała aż tak radykalnego posunięcia, jak wygnanie.

Po przyłączeniu Ukrainy do Rosji (1654) Żydzi znów — po długiej przerwie — znaleźli się w granicach imperium. Tatischev, rosyjski historyk XVIII wieku, który przyznaje, że tolerancja religijna przynosi państwu pożytek („nie tylko wobec chrześcijan różnych rytów, ale też wobec mahometan i pogan”), dla Żydów i Cyganów robi wyjątek. Szkodliwość Cyganów nie wymaga jego zdaniem uzasadnienia, natomiast Żydzi są szkodliwi „z powodu ich podłej natury” (Gumilow nazwałby ją „stereotypem postępowania”), która pcha ich do „oszustw i kręactwa”.

Prace Gumilowa o dalekiej przeszłości są w Rosji końca XX wieku szalenie aktualne. Znajdują się w nich elementy, które łatwo wykorzystać do stworzenia nowego schematu ideologicznego: misja Rosji w Eurazji; nieubłagana wrogość wobec Zachodu; możliwość związków z muzułmańskim Wschodem; pogarda dla handlu. Najważniejszy jednak jest wizerunek Żydów jako odwiecznej, strasznej groźby dla Rosji.

Gumilow proponuje też rozwiązanie: wygnanie Żydów wzorem wielkiego kniazia kijowskiego Włodzimierza Monomacha. Wątpliwości i dyskusje mogą dotyczyć tylko jednego. Szczodry kijowski książę wyganiał Żydów wraz z majątkiem. Pod koniec XX wieku można zaproponować też inne rozwiązanie.

Michał HELLER

Eugeniusz JEWTUSZENKO

DRUGA WOJNA DOMOWA

Czy to koszmar senny — czy nowa,
po raz wtóry, wojna domowa?
Cała Rosja przepołowiona
po zabitych nie płacze: po nas.
W generacji świadomość wrosło
zabijanie jako rzemiosło.

Kraj nadziany milczeniem min
wylatuje w powietrze — i
rozlatuje się:

szkła stłuczone,
a źrenice w czaszkę wtłoczone.

Czyjeś serce jak asa kier
na stół rzuca najkrwawsza z gier.
Moskwy mordę nalaną — plusk! —
policzkuje czyjś mokry mózg.

Myśmy drugiej wojny domowej
pasierbowie, a nie synowie.
Dla pętałów to jakby kino,
ale dzieci w niej także giną.

Na tej drugiej wojnie domowej
bardzo cenią styl i wymowę,

więc mordercza miazdży wichura
komputery i zwykłe pióra.

Ale zawsze z martwych powstanie
na kolejne ukrzyżowanie
ten chłopaczek, którego ręką
pisze Inny —
jak Swoją męką...

W gabinecie skrzypi długopis,
jak termometr gorączkę tropi —
znak, że kraju choroba trwa,
jej wysypka to mord i gwałt.

Życie zbrodnią jest. Nie ma kary.
Nie ma winnych — a są ofiary.
Precyzyjny ucina zamach
palce w atramentowych plamach.

Ale nawet urwana dłoń
nie wypuści pióra —
ta broń
wszystkich wskaże, wszystkich ukarze:
to mordercy są, to zbrodniarze...

Eugeniusz JEWTUSZENKO
Przełożył Wiktor Woroszyński

Od tłumacza. Powyższy wiersz, pod którym Jewtuszenko postawił datę „28 listopada 1994”, odczytany został przez autora na wieczorze pamięci Dymitra Chołodowa, młodego dziennikarza, zamordowanego przy pomocy ładunku wybuchowego w podsunętej mu teczce mającej zawierać materiały o korupcji w dowództwie armii rosyjskiej. Chołodow był na tropie afer kompromitujących wysoko postawionych wojskowych, jak zaś obecnie przypuszcza się w Moskwie — wiedział również o mającej niebawem nastąpić inwazji zbrojnej na Czeczenię. Utwór Jewtuszenki ukazał się drukiem w gazecie „Moskowskij Komsomolec” (której pracownikiem był zamordowany) 15 grudnia 1994 czyli już w trakcie rosyjskiej ofensywy na Groznyj — opinia publiczna odczytała go więc jako protest również przeciwko tej masowej masakrze. W spolszczonym tekście tłumacz pominął trzy mniej istotne, jego zdaniem, zwrotki.

Dyskretny urok kohabitacji

Zawsze żywy we Francji — ojczyźnie politycznej kohabitacji

Ten tytuł wymaga krótkiego wyjaśnienia, zwłaszcza że słowo kohabitacja raczej rzadko spotyka się w polskim języku. Warto je jednak sobie przyswoić i wniknąć w jego treść, jeżeli demokratyzacja życia w Polsce ma prowadzić do wzrostu skuteczności działań i efektywności gospodarowania, a nie odwrotnie do ich spadku, jak to wciąż niestety jeszcze się dzieje w wielu dziedzinach. W języku francuskim słowo to może oznaczać wspólne zamieszkiwanie lub wspólne zarządzanie (przede wszystkim państwem, rzadziej przedsiębiorstwem lub inną organizacją). W tym drugim znaczeniu słowo to zrobiło karierę we Francji w latach osiemdziesiątych, gdy władzę sprawowali jednocześnie, reprezentujący lewicę prezydent i desygnowany przez prawicę premier. Taka kompozycja władz musiała stwarzać i niewątpliwie stwarzała wiele problemów. Różne były oczekiwania co do sposobów i możliwości ich rozwiązywania. Ostatecznie okazało się jednak, że przy pewnej tolerancji i wzajemnym zachowywaniu szacunku dla partnera i jego poglądów, współpraca między ludźmi, reprezentującymi nawet krańcowo różne stanowiska polityczne, czy ideologiczne, może zupełnie nieźle się układać. Przykład Francji może mieć doniosłe znaczenie właśnie dla Polski, kraju, w którym tworzeniu nowego systemu społeczno-gospodarczego wciąż towarzyszy ogromne skłócenie różnych partii, środowisk, grup społecznych, niechęć do kompromisów i niemożność dochodzenia do wspólnych stanowisk.

Urok kohabitacji w Ameryce

Kohabitacja nie jest oryginalnym francuskim wynalazkiem. Podobne zjawiska występowały w innych państwach demokratycznych, w których zmieniające się układy polityczne stwarzały potrzebę harmonijnej współpracy grup społecznych o odmiennych poglądach, ideologiach, czy interesach. Specyficzne formy kohabitacji mogliśmy więc obserwować w Hiszpanii i Wielkiej Brytanii, gdzie z natury konserwatywne monarchie potrafiły skutecznie współdziałać z socjalistycznymi rządami i posiadającymi lewicową większość parlamentami.

Z ciekawą formą kohabitacji miałem okazję zaznajomić się w Stanach Zjednoczonych. Dobrze zachowała mi się w pamięci informacja usłyszana w Departamencie Stanu z ust odpowiedzialnych przedstawicieli urzędu, gdy z grupą zagranicznych stypendystów Uniwersytetu Yale uczestniczyłem w wizycie, złożonej w tym departamencie. Był to rok 1960, ostatni rok kadencji prezydenta Eisenhowera (a więc republikanina), gdy większość w Kongresie, jak często i dawniej bywało, mieli demokraci. I wówczas padło pytanie kogoś z przybyłych, czy fakt, że administracja republikańska musi współpracować z Kongresem, w którym większość ma Partia Demokratyczna, nie stwarza trudności w rządzeniu państwem. Odpowiedź brzmiała, że w jakimś stopniu na pewno tak. Ale w praktyce znajduje się sposoby, które pozwalają w znacznej mierze pokonywać napotykane trudności. Tak np., gdy trzeba przeprowadzić przez Kongres pewne akty prawne, ważne dla administracji, lecz mogące natrafić na opory w Kongresie, wówczas dąży się do zdobycia dla tych aktów poparcia ze strony wpływowych członków Kongresu (jakimi byli wówczas np. Johnson, Mansfield, Ford, Fulbright). Uzyskanie ich aprobaty dla odnośnego projektu legislacyjnego dawało z reguły duże szanse uchwalenia ustawy. To proste wyjaśnienie, podane w sposób bezpretensjonalny, bez wielkich słów i także bez cienia niezadowolenia, czy krytyki pod adresem politycznych przeciwników, dawało dobre świadectwo amerykańskiej demokracji, demokracji, w której szanuje się autorytety i zawiera się autorytetom bez względu na ich partyjną przynależność. Dzięki temu racjonalne rozwiązywanie pojawiających się problemów państwowych mogą torować sobie drogę poprzez gąszcz legislacyjnych procedur, biurokratycznych barier, konfliktów interesów i partyjnych podziałów. To właśnie w tego rodzaju podejściu kryje się dla mnie „dyskretny urok (politycznej) kohabitacji”.

Kohabitacja — zjawisko w Polsce nie znane i tępiące

Społeczeństwo polskie naprawdę nigdy nie miało okazji zetknąć się w obecnym stuleciu z zagadnieniem kohabitacji, żyjąc albo w państwie takiej czy innej dyktatury (lata 1926-1939 i 1945-1989), albo w państwie niedołącznej demokracji (lata 1918-1926 i 1989-1994). W dyktaturze dla kohabitacji nie ma miejsca, w niedołącznej demokracji — nie ma szans bez radykalnego usunięcia anomalii systemowych, zarówno tych odziedziczonych po centralnym planowaniu, jak i — przede wszystkim — nowych, narosłych w ciągu zaledwie pięciu lat wdrażania reformy gospodarczej. To one bowiem mając swoje źródło np. w wadliwości przepisów, a więc w ich nadmiernej ogólności, niejasności lub wzajemnej sprzeczności, wiodą do nieporozumień, kłótni, krzyżowania się kompetencji, słynnych „luk prawnych”, nadużyć i w rezultacie do niemożności konstruktywnej współpracy. Przykłady mogą pomóc zilustrować istotę problemu.

Do najbardziej bolesnych należy w Polsce problem *bezrobocia*, który urosł do rzadko gdzie indziej spotykanych rozmiarów. A stało się tak dlatego, że w toku transformowania systemu stworzono narzędzia ukierunkowane (niewątpliwie nieświadomie) na kreowanie bezrobocia, a nie na jego zwalczanie. W cieszącym się dużą oglądalnością programie telewizyjnym „Sprawa dla reportera” przedstawiono we wrześniu 1994 r. dramat dużego zakładu elektronicznego w Krakowie. Pracownicy z głębokim rozgoryczeniem wyjaśniali, jak ich fabryka (podobnie jak inne fabryki tej branży, dające łącznie zatrudnienie dla 80.000 wysoko kwalifikowanych pracowników) została pozbawiona możliwości kontynuowania produkcji, gdy naprzód w początku lat dziewięćdziesiątych drakońskimi odsetkami od kredytów (sięgającymi 50 % miesięcznie) wpędzono fabrykę w wysokie zadłużenie, a następnie, szeroko otwierając granice dla importu wyrobów elektronicznych, drastycznie okrojono możliwości zbytu krajowej produkcji. Jasne jest, że trudno byłoby znaleźć fabrykę, która — wzięta w ten sposób skutecznie w dwa ognie — potrafiłaby uniknąć bankructwa.

Ale w tej sprawie można spotkać się też z krańcowo odmiennym poglądem. W *Gazecie Wyborczej* z 15 września 1994 r. Danuta Zagrodzka w artykule „6.000 kłopotów” pisała: „przedsiębiorstw państwowych jest jeszcze ponad 5 tysięcy, z czego 4,5 tysiąca albo pada, albo ledwo zipie. Dźwi-

gają na sobie cały ciężar radosnego socjalistycznego planowania i wiele nawyków poprzedniej epoki... Polski nie da się zamknąć szczelnie, by konkurencja przestała zagrażać. Jest to w gruncie rzeczy wielkie osiągnięcie tych pięciu lat reformowania — gospodarka oderwała się od polityki na tyle, że nie można na dłuższą metę lekceważyć reguł rynku. Ale to znaczy, że wiele przedsiębiorstw musi upaść, albo radykalnie zmienić kształt. Im prędzej, tym lepiej”. Jakże prosta recepta, ale czy równie łatwa do przyjęcia dla ludzi z tysięcy fabryk, które podobnie, jak ów zakład elektroniczny w Krakowie, uginają się pod ciężarem zadłużenia i blokady rynku zbytu przez import? Czy ci ludzie mogą być przekonani, że upadające fabryki to jest „... wielkie osiągnięcie tych pięciu lat reformowania”? Nasuwa się przy tym niepokojąca analogia z polityką przemysłową lat czterdziestych. Tylko że wówczas w imię nacjonalizacji niszczone przemysł prywatny; dziś w imię prywatyzacji dopuszcza się do niszczenia przemysłu państwowego. Sytuacja dzisiejsza jest jednak bardziej niebezpieczna, ponieważ w latach czterdziestych przemysł prywatny reprezentował majątek niewielki, natomiast majątek państwowy dziś wciąż jeszcze jest bardzo duży.

Inny problem kłopotliwy to *instytucje tworzone bez precyzyjnie ustalonych zadań i kompetencji*. Procesy transformacji wymagają powoływania nowych instytucji, które te procesy mają wspierać. Podejmowane w tym kierunku działania trudno jednak zaliczyć do udanych. Utworzona Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji nie zdołała w jakikolwiek sposób przyczynić się do lepszego funkcjonowania tych środków masowego przekazu, potrafiła natomiast błahe w gruncie rzeczy sprawy personalne Rady podnieść do rangi ważnych problemów państwowych i wzbudzić kontrowersje obniżające autorytet samej Rady, jak i angażujących się w spory przedstawicieli władz.

Inaczej, ale też niezbyt poważnie, przedstawia się sprawa Państwowej Agencji Inwestycji Zagranicznych. Od chwili powstania jej charakter nie był jasny; w założeniach Agencji przeplatały się dwie funkcje: ochrony interesów państwa i świadczenia dość nieokreślonych usług na rzecz zagranicznych inwestorów. Dziś nadal trudno przesądzić, czy głównym zadaniem Agencji będzie doradzanie zagranicznym inwestorom, w której dziedzinie mogą najkorzystniej inwestować, czy też w którym hotelu, w czasie pobytu w Polsce, będzie im najwygodniej zamieszkać. Mimo zmian prezesów profil Agencji nie staje się bardziej klarowny. Z czasem przekształ-

cono Agencję w spółkę akcyjną, po czym okazało się, że nie ma ona środków na podjęcie działalności. Sięgnięto więc do środków Funduszu Promocji Eksportu (naruszając przepisy regulujące gospodarkę tym funduszem), a także wystąpiono o środki z międzynarodowego funduszu pomocy dla Polski, co też, z uwagi na specyfikę Agencji, może budzić niejakie zdziwienie. Jeżeli dodatkowo uwzględnić zagadkowe kryteria doboru kierownictwa i ogólne zamieszanie towarzyszące działalności obu instytucji, może nasunąć się uzasadnione pytanie, jaki jest cel tworzenia podobnego typu instytucji; czy mają one rzeczywiście służyć rozwiązywaniu konkretnych problemów, czy raczej tylko dostarczać nieźle płatnych stanowisk dla zasłużonych polityków i działaczy (na co wskazywałoby ich kurczowe trzymanie się tychże stanowisk, mimo napotykanych sprzeciwów i afrontów).

Jest wszelako jeden czynnik, który tkwi u źródeł trudności znalezienia dróg konstruktywnej współpracy, braku kohabitacji, u źródeł wielu trudności politycznych i gospodarczych, trwającej już szósty rok niszczącej inflacji i towarzyszącej jej gospodarczej stagnacji. Tym czynnikiem jest utrzymywanie się, a nawet umacnianie się wielkiej przegrody, dzielącej społeczeństwo na dwie wrogie wobec siebie grupy, o zmiennych zresztą i niewyraźnych strukturach. Kiedyś grupy te można było określić jako Partię i Solidarność, dziś określa się je (lub oni sami określają się) jako postkomunistów (względnie peerelowców) oraz postsolidarnościowców (względnie reformatorów). Jest niedobrze, że grupy te, a przede wszystkim ich kierownictwa, nie potrafią albo nie chcą szukać dróg porozumienia. Jeżeli przypadkowo np. w jakimś środowisku dyskutuje się zadania samorządu warszawskiego i nie rozważa się problemów budownictwa, komunikacji, czy ochrony środowiska w Warszawie, a koncentruje się uwagę na tym, czy dane rozwiązanie lub układ personalny nie wzmocni postkomunistów albo nie osłabi postsolidarnościowców, to sytuacja rysuje się dość beznadziejnie. Jak trudno z niej wyjść zilustruje mało znaczący, ale charakterystyczny incydent.

Od pewnego czasu widoczne są próby podjęcia współpracy z niektórymi partiami opozycyjnymi ze strony Sojuszu Lewicy Demokratycznej, nawet za cenę pewnych na ich rzecz koncesji, mogących ułatwić zbliżenie poglądów. Tak np. w dniu 4 czerwca 1994 r. minęło pięć lat od wolnych wyborów w Polsce, które oznaczały zakończenie rządów komunistycznych w Polsce i zapoczątkowały pełny zwrot w kierunku gospodarki rynkowej. Rocznicą ta posłużyła za okazję do

spotkania w studio telewizyjnym liderów trzech partii: Aleksandra Kwaśniewskiego (Sojusz Lewicy Demokratycznej), Tadeusza Mazowieckiego (Unia Wolności) i Leszka Moczulskiego (Konfederacja Polski Niepodległej). Rozmowę cechowała niezwykła kurtuazja i brak znaczących różnic poglądów. Nawet, gdy prowadzący dyskusję dziennikarz zapytał, co można uważać za największe osiągnięcie minionego pięciolecia, występujący politycy stwierdzili zgodnie, że gospodarkę. Taka wysoka pochwała wyników gospodarczych pięciolecia była zupełnie zrozumiała ze strony liderów partii rządzących w tym okresie. Była zupełnie nieoczekiwana w ustach Aleksandra Kwaśniewskiego, który jeszcze niedawno, wraz z całą lewicą, ówczesną politykę gospodarczą ostro krytykował. Nawet prowadzący dyskusję wyraził zdziwienie z powodu tej nagłej zmiany stanowiska. Wydaje się, że podobnie jak w niektórych innych sprawach, zmiana ta była podyktowana względami taktycznymi, a nie merytorycznymi. Znając uprzedzenia społeczeństwa do Sojuszu Lewicy Demokratycznej, mówca pragnął w ten sposób przedstawić siebie i swoją partię w świetle rzeczowego, obiektywnego, skłonnego do konstruktywnej pracy partnera. Takie taktyczne podejście, w warunkach ostrych konfliktów, może być nawet godne uznania, w danym konkretnym przypadku zagraża jednak powiększeniem zamieszania utrzymującego się w ocenach gospodarki i kierunków jej naprawy; bo jeżeli wszyscy uważają, że jest tak dobrze, to nie trzeba nic zmieniać.

Drastyczny obraz niezdolności polityków do kohabitacji otrzymali polscy telewidzowie wiosną 1994 r., gdy nowo powołany wicepremier i minister finansów Grzegorz Kołodko przedstawiał w Sejmie swój program — „Strategię dla Polski” i przemawiał do w połowie pustej sali, gdyż posłowie opozycji — w chwili rozpoczęcia przemówienia — manifestacyjnie opuścili ławy poselskie. Nawet, jeżeliby uznać słuszność ich zarzutu, że zbyt późno dostarczenie dokumentu nie pozwalało na podjęcie rzeczowej dyskusji, to jednak tego rodzaju reakcja na prezentację programu, mającego decydować o przyszłości gospodarczej kraju, daje niedobre świadectwo politykom i źle wróży na przyszłość.

Przyczyny zaniku kohabitacji w Polsce

Obserwacja procesów politycznych, zachodzących w Polsce i niektórych innych krajach skłania do przyjęcia hipo-

tezy, że kohabitacja może istnieć i rozwijać się tylko w tych krajach, które spełniają określone warunki, a mianowicie: osiągnęły dość wysoki poziom cywilizacyjnego rozwoju, posiadają wysoką kulturę i zaliczają się do krajów zamożnych.

Tu sytuacja Polski rysuje się wyjątkowo niekorzystnie, jako kraju cechującego się wyraźnie niższym poziomem cywilizacji, kultury i zamożności. Ta niewątpliwie surowa ocena może spotkać się z wielu protestami. Sądzę jednak, że są powody dla których nie należy jej unikać, a raczej warto nad nią się zastanowić. Po pierwsze dlatego, że rzetelna ocena jest warunkiem znalezienia skutecznej terapii, po drugie zaś dlatego, że jest ona także obowiązkiem obywatela. Na poparcie tej tezy chciałbym przytoczyć słowa, które znalazłem na okładce druku, upamiętniającego uroczystość nadania tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Marii Curie Skłodowskiej w Lublinie Pani Profesor Anieli Chałubińskiej w dniu 22 listopada 1992 r. z okazji dziewięćdziesięciolecia urodzin: „Miarą miłości Ojczyzny, miłości zakładu pracy, miłości bliskich jest ostrość spojrzenia na ich wady”. Myśl ta zasługuje na uwagę niezależnie od tego, czy pochodzi od Sędziwej Jubilatki, czy kogoś spośród Jej uczniów.

Ale jest jeszcze jeden powód, być może najważniejszy, dla którego nie należałoby stronić od tak surowej oceny stanu kraju. Z tej oceny można bowiem wyprowadzić wniosek, że niekorzystny stan kraju nie jest zawiniony przez obywateli, a wynika z dramatycznych losów kraju w dalszej i bliższej przeszłości.

W okresie 200 lat, w wieku XIX i XX, a więc wtedy, kiedy świat przechodził procesy szybkiego postępu cywilizacyjnego oraz rewolucji przemysłowej i technicznej, w tym samym okresie Polska pozostawała na marginesie tych wydarzeń, posiadających kluczowe znaczenie dla rozwoju gospodarczego kraju: naprzód przez 140 lat była eksploatowana przez trzy państwa zaborcze, by potem po zaledwie 20 latach niepodległego bytu, ponosić najcięższe straty w II wojnie światowej; po jej zakończeniu przez 45 lat państwo polskie musiało wdrażać narzucone, nieracjonalne (jak dowodzi historia tego okresu) metody gospodarowania, oparte na centralnym planowaniu; wreszcie przez ostatnie pięć lat państwo to wdraża metody gospodarki rynkowej, które przy prymitywnym ich pojmowaniu i w zetknięciu ze sztywnościami i nawykami odziedziczonymi po gospodarce planowej okazują się często w praktyce niemal tak samo absurdalne, jak poprzednie.

W sytuacji gorączkowego transformowania gospodarki i nie spełnionych oczekiwań ludności w odniesieniu do poprawy warunków życia, podejmuje się działania pozorne, które niczego nie rozwiązują, a tylko powiększają istniejące zamieszanie. Do takich pozornych, a przy tym niespotykanych na świecie działań i pomysłów, zaliczyć można np.: podział władzy nad stolicą między prezydenta miasta i siedmiu, czy dziesięciu, niezależnych burmistrzów; projekt podziału urzędników na dwie kategorie — partyjnych doradców i bezpartyjnych fachowców; wynajmowanie zagranicznych firm do zarządzania krajowymi przedsiębiorstwami. Tego typu mało dojrzałe pomysły mogą być świadectwem nie tylko niekompetencji polityków, urzędników, czy innych działaczy, ale także istnienia źródeł tej niekompetencji, których doszukiwać się można w długim braku własnej państwowości, a więc swoistej przerwie w życiorysie, w czasie której ginął zgromadzony w przeszłości rodzimy dorobek cywilizacyjny i rozluźnieniu ulegały kryteria moralne.

W ślad za tym można zaś wysunąć tezę, że to brak własnej państwowości przez 200 lat (w Polsce), czy przez kilkaset lat (w Bułgarii, Rumunii, czy Jugosławii), a nie wrodzona nieudolność, lenistwo, czy skłonność do warcholstwa były główną przyczyną nieumiejętności rządzenia się, słabości administracji, korupcji i braku kohabitacji w tych krajach.

Akcent optymistyczny

Byłoby jednak błędem poddawać się tego rodzaju wrażeniom, albo sądzić, patrząc na ubóstwo życia politycznego i kulturalnego, że społeczeństwo polskie, pozbawione głębszych wartości, skazane jest na brak perspektyw rozwojowych. Dlatego chciałbym podkreślić, że takie wartości są, że mogą one stanowić o korzystnym sytuowaniu się społeczeństwa polskiego na tle innych, a dostrzec je można w dwóch dość odległych od siebie dziedzinach, a mianowicie w dziełach wybitnych twórców i w walorach charakteru prostych ludzi.

Uświadamianie takich wartości społeczeństwu jest celowe, aby uwolnić je od kompleksów niższości i stwarzać przeciwwagę dla panujących nastrojów zniechęcenia i beznadziejności oraz wzajemnej wrogości, wywodzących się w dużej mierze z całego splotu najrozmaitszych okoliczności: trudności gospodarczych i nieporadności w ich przewyciężaniu, z wysokiego bezrobocia i rażących niesprawiedliwości w podziale docho-

dów, ogromu stojących przed państwem zadań i śmieszności mających te zadania podejmować polityków.

Tym samym celem powinna służyć bardziej rzetelna i obiektywna informacja, której nowe treści zdają się być nadal prześląknięte duchem natarczywej komunistycznej propagandy, gdzie dogmat rynku wkroczył na miejsce dogmatu planu; w rezultacie: zamiast planu — prawa niezłomnego — mamy niewidzialną rękę rynku; zamiast „bratniej pomocy” mamy dobroczynny kapitał obcy; zamiast pełnej (szkodliwej) reglamentacji importu mamy równie, albo bardziej szkodliwą, pełną swobodę importu.

Tymczasem dla uzyskania bardziej zbliżonego do rzeczywistości obrazu gospodarki i uwarunkowań jej rozwoju, zmniejszenia narastających dokoła niej nieporozumień i tym samym poszerzenia pola owocnej kohabitacji, warto może byłoby sięgnąć głębiej do niektórych problemów rozwoju gospodarczego w Polsce i w świecie, nie cofając się przed rozważaniem problemów pryncypalnych, a zarazem kontrowersyjnych, takich jak np.:

— czy bardziej humanitarny jest nieefektywny i prześmiewany „utopijny” socjalizm, czy efektywny, ale „żarłoczny” kapitalizm, w którym pogoń za pieniądzem może prowadzić nawet do bandyckich napadów na gwiazdy sportu, celem okaleczenia ich i w ten sposób wyeliminowania z konkurencji¹, albo do rujnowania krajów Trzeciego Świata lichwiarskimi odsetkami od kredytów na niekoniecznie najbardziej potrzebne inwestycje?

— czy bardziej „ludzką twarz” daje się odnaleźć w ruchach politycznych, które twardą ręką zmuszały skłócone narody Jugosławii do pokojowego współżycia i budowy wspólnego państwa, osiągającego znaczące sukcesy gospodarcze, czy w tych, które głoszą hasła ochrony praw człowieka, a jednocześnie stwarzają warunki dla wybuchu walk wewnętrznych, w których giną setki tysięcy mieszkańców?

Pytań takich można by mnożyć wiele i dziś przypuszczalnie trudno byłoby znaleźć na nie odpowiedzi, które

1. Bezwzględne komercyjne stosunki nie panują tylko w sporcie tenisowym, o którym tu mowa. Działacz sportu żużlowego, zapytany w telewizji, czemu przypisać bardzo szybki rozwój wyścigów na żużlu w Polsce, wyjaśnił wprost, że najważniejsze są pieniądze. Wysokie premie ściągają sławnych zawodników. Nie wspominał, o czym pisano w prasie szwedzkiej, że tory polskie stają się niebezpieczne, gdyż wysokie premie skłaniają też zawodników do przekraczania granic dopuszczalnego ryzyka.

znalazłyby powszechną akceptację. Nie w pytaniach tkwi jednak sedno sprawy. Najważniejsza jest bowiem nasza zdolność do znalezienia na te i podobnego typu pytania trafnej, zgodnej i przekonującej odpowiedzi; odpowiedzi uczciwej, wolnej od uprzedzeń, śladów zadawnionych sporów i z góry narzuconych schematów myślenia. Jeżeli taką zdolność posiadamy, wówczas zapewne potrafimy też docenić uroki kohabitacji.

26. 10. 1994

Stanisław POLACZEK

Spoleczne koszty rewolucji technologicznej

Jaki jest związek pomiędzy bawełną i mikroprocesorem? Na przykład taki, że oba te produkty potaniały stokrotnie w stosunkowo niedługim czasie, co poprzez obietnicę nadzwyczajnego zysku dla pionierów dziedziny rozwinęło różne formy niewolnictwa. Śledząc losy rewolucji technologicznej, jakiej stały się ośrodkiem i siłą napędową dostrzec można głęboką współzależność stosunków społecznych i techniki, która nabiera kapitalnego znaczenia w epoce przemysłowej.

Współzależność stosunków społecznych i techniki nie jest jednak specyfiką dzisiejszych czasów, co zilustrujemy właśnie na przykładzie historii bawełny. Zdaniem brytyjskiego historyka Paula Johnsona (*The Birth of the Modern*, Harper Publishers, New York 1991) redukcja cen bawełny w latach 1780-1860 była „jednym z najkorzystniejszych wydarzeń w historii świata”. Wzrost zapotrzebowania na nią wywołał lawinę wynalazków, lokując ten surowiec w centrum rewolucji przemysłowej. Mechaniczna kądziel z 1770 roku, wprowadzenie maszyn parowych, wynalezienie maszyn szybkoobrotowych i mechanicznej oczyszczalni bawełny obniżyło jej cenę stokrotnie pomiędzy 1780 i 1860 rokiem.

Z początkiem XIX wieku jeden niewolnik na amerykańskich plantacjach mógł już wytwarzać 50 funtów bawełny dziennie, zamiast jednego trzydzieści lat wcześniej. Przesądziło

to o kierunku rozwojowym południowych stanów USA: o ile do końca XVIII wieku wytwarzały one głównie tytoń, to w roku 1860 dostarczyły do angielskich wytwórni miliard funtów bawełny, tworząc główne źródło gospodarczej możliwości Stanów przed wojną secesyjną.

W następstwie rosła wartość niewolników. W ciągu półwiecza 1800-1850 cena czarnego niewolnika wzrosła z 50 dolarów do około tysiąca. Rynek bawełny zaczął zyskiwać na znaczeniu wraz ze wzrostem dochodów ludności miejskiej, ilość ludzi mogących ubrać się w taniejszą odzież rosła lawinowo. Dodatkowego impulsu udzieliła amerykańskiemu niewolnictwu ekspansja terytorialna, której szczyt przypadł na okres rewolucji przemysłowej. Dzięki niewolnictwu można było założyć plantację i osiągnąć pełną produkcję w ciągu dwóch lat, co przyspieszyło kolonizację nowych terytoriów na południu kontynentu. Ponadto zapotrzebowanie na niewolniczą pracę zapewniło rozkwit Starego Południa — Wirginii, obu Karolin i Georgii — które, nie nadając się pod uprawę bawełny, stały w obliczu kryzysu tradycyjnego rynku tytoniowego. Szczęśliwie zakaz importu Murzynów z Afryki w roku 1808 zwiększył znaczenie hodowli niewolników, na czym Stare Południe zrobiło nową karierę: celem, do jakiego dążyli właściciele stad rozplodowych było osiągnięcie wydajności jednego dziecka na rok z każdej czarnej kobiety w wieku prokreacji. Jak podaje Henry Hobhouse (*Seeds of Change: Five Plants that Transformed the World*, New York 1986) wydajność taką osiągnięto w odniesieniu do 25-40 % czarnych kobiet poprzez technikę zawodowych rozplodników, aplikowanych wszystkim niewolnicom w posiadłości.

Wpływ stosunkowo krótkiego okresu niewolnictwa na dzieje Stanów trudno przecenić. Przede wszystkim dynamika finansowa wykluczyła inną drogę konsolidacji USA niż wojna domowa: ogólną wartość niewolników oceniano w połowie ubiegłego stulecia na 2 miliardy dolarów, co dziesięciokrotnie przekraczało budżet federalny i uniemożliwiło ich wykup. Konflikt wyrósł na podobnej bazie rozwoju technologii, jaka wcześniej zrodziła fenomen amerykańskiego niewolnictwa. Istniejące fabryki Północy i nowych terytoriów *Far West'u* potrzebowały wolnej siły roboczej, którą można w każdej chwili zwolnić lub, przeciwnie, zatrudnić. Niewolnictwo z jego koniecznym patriarchalizmem i sztywnością społecznych układów kładło tamę dynamice przemysłowej. Technologia ukształtowała specyficzną kulturę Południa Stanów Zjednoczo-

nych, pokierowała losami kraju przez cały okres jego istnienia i wprowadziła do psychologii wielkiego narodu kompleks dwuznaczności norm moralnych, który dziś, sto trzydzieści lat po zniesieniu niewolnictwa, nadal wykrusza społeczną spójność światowego przywódcy. Emblematyczne postacie Malcolma X i Farrakhana, galwanizujące miliony Murzynów z marginesu społecznego w agresywnych ruchach *Black Power* czy *Nation of Islam*, zdają się symbolizować pęknięcie społeczeństwa najgłębiej podzielonego przez sposób wykorzystania technologicznej rewolucji wczesnego okresu rozwoju kraju.

Rewolucja informatyczna przynosi na naszych oczach globalne przemiany w obyczajach pracy i spożycia. Dynamikę technologiczną ocenić tu można porównując komputery osobiste sprzed dziesięciu lat z dzisiejszymi. Moc dzisiejszych maszyn z mikroprocesorem Pentium, wszystkie parametry wzięte pod uwagę, można uznać za stokrotnie większą w porównaniu z osiągnięciami pierwszych komputerów z mikroprocesorem 8086, natomiast cena spadła trzykrotnie.

Rewolucja technologiczna z przełomu XVIII i XIX wieku rozwinęła się na tle ogólnego wzrostu dobrobytu, stymulowanego wyższym poziomem rolnictwa i rozwojem warstw miejskich, co uwolniło wtórne do tej pory zapotrzebowanie na lepszą odzież, sprzyjając rozwojowi produkcji bawełny. Podobny mechanizm dostrzec można w drugiej połowie XX wieku, kiedy zaspokojone zostały podstawowe potrzeby społeczeństw zachodnich i usunięte zniszczenia II wojny światowej. Pozwoliło to na dowartościowanie potrzeb kultury masowej, która znalazła niewyczerpane źródło atrakcyjnych nośników w dziedzinie elektroniki i informatyki. Właściwa dla nich niska materiałochłonność obniżyła koszty transportu z dalekich wytwórni, a wysoki udział wartości dodanej umożliwił szeroki margines dla wojny cen i podniósł wartość taniej lecz zarazem fachowej i zdyscyplinowanej siły roboczej: tym sposobem zaistniały sprzyjające warunki dla przeniesienia wytwarzania do Azji wschodniej, a później południowej, gdzie dwa miliardy ludzi gotowych jest dla produkcji na rzecz społeczeństw zamożnych.

Nadmiar taniej siły roboczej w Azji sprzęgnięty z nieustającym postępem technologii numerycznej na Zachodzie wywołuje stałą obniżkę cen produktów, co sprzyja kontroli inflacji w krajach Centrum, mimo lawinowo rosnącego spożycia. W nowoczesnych gałęziach wytwarzania okres skopiowania wytworu nie przekracza kilku miesięcy. Centrum utrzymuje zatem swoją przewagę dzięki stałym innowacjom, co za-

pewnia mu kontrolę rynku. Wprawdzie przejmując coraz to nowe sfery produkcji Peryferium systematycznie rozwija swą gospodarkę, lecz impulsy technologiczne i zlecenia przychodzą z zewnątrz. Przygotowuje to konfrontację pomiędzy starymi i nowymi biegunami przemysłowymi, ponieważ dominacja pierwszych nad drugimi w sytuacji, gdy rozkład produkcji jest odwrotny, oznacza stan równowagi niestabilnej.

Ekonomiczny drenaż nie jest niczym nowym w historii, ale nowy jest rozkład proporcji w potencjale produkcyjnym pomiędzy obszarami technologicznie wiodącymi i podporządkowanymi. Według danych francuskiego instytutu ekonomicznego INSEE opublikowanych jesienią 1992 roku, do końca stulecia Japonia i cztery azjatyckie smoki — Korea Południowa, Hong Kong, Tajwan i Singapur zwiększą o pięć punktów swój udział w światowej produkcji, osiągając 27 % w skali planety. Pozostawią one w tyle Europę Zachodnią, która spadnie na poziom 25 % światowej produkcji oraz Amerykę Północną, o produkcji zmniejszonej o pięć punktów, co pozostawi jej 18 % w globalnym podziale. Czołowa rola Azji uwidacznia się jeszcze bardziej, gdy uwzględnić szybko finiszujące kraje Azji południowej: pospołu z Azją wschodnią zgrupują one 35 % światowej produkcji, daleko w przodzie przed EWG i NAFTA.

Liczby podawane w roku 1992 były wymowne, ale swoje, nie budzące w gruncie rzeczy niepokoju tradycyjnych przywódców globalnego rynku. Dotyczyły w końcu krajów o zrozumiałej logice zarządzania i racjonalnych celach. Istotnie, ciężar globalnego wytwarzania przenosi się do Azji, ale proces ten odbywa się z inicjatywy liderów rynku, głównie Stanów, które w nowym podziale pracy pragną zatrzymać dla siebie bardziej dochodowe zajęcia niż manufaktura. Z japońskim biegunem gospodarczym można dogadać się w języku powszechnie zrozumiałym od lat. Peryferyjny w tych rozważaniach olbrzym chiński dostrzegany był głównie w tumanie konwulsji gigantycznej dyktatury, ilustrowanej obrazami z placu Tiananmen.

Tymczasem wystarczyły dwa lata, by nastąpił wstrząs. Pomiędzy 1992 i 1994 Chiny przeskoczyły 49 miejsc w oen-zetowskim rankingu rozwojowym, który bierze pod uwagę nie tylko wskaźniki produktu narodowego, ale i kategorię jakości życia: dochodu jednostkowego, edukacji, długowieczności mieszkańców. Latem 1994 roku prezes Banku Światowego H. Summer ocenił, że przy zachowaniu stopnia tempa swego rozwoju Chiny prześcigną Stany Zjednoczone w poziomie gospodarczym do roku...2003.

Losy obu zarysowanych tutaj rewolucji technologicznych wykazują, jak głęboki wpływ wywiera technika na obyczaje społeczne, wiążąc obieg materialny i moralność w jednolity obraz kultury. Na krótką metę impet nowych rozwiązań technologicznych dowartościowuje dynamiczną część aktorów rynku, spychając słabych do roli niewolniczego zaplecza, lecz w dłuższej perspektywie poszkodowani usiłują odrzucić dziejowe wahadło w drugą stronę, szukając odwetu. Prawdopodobnie tę dostrzec łatwo w historii bawełny, a przewidzieć — w perypetiach współczesnej technologii.

Wyrosły na tle zawziętych rewindykacji ruch czarnych islamistów w USA budzi coraz więcej uwagi, nie tylko poprzez swój zasięg i stopień zorganizowania, ale przede wszystkim nową formę ideologii rewanzu, która głosi wykluczenie na opak: nie zabiegamy o integrację czarnych w białym społeczeństwie, bo to niemożliwe, lecz budujemy siłę naszej własnej odrębności, do której biali nie będą mieli dostępu. Duchowy przywódca *Nation of Islam* Farrakhan tępi obyczaje samozniszczenia czarnych w spirali narkotyków i gwałtu, mówi im: wam się zdaje, że spluwą załatwienie białego, do momentu, gdy biały wyciągnie prawdziwą broń. W więzieniach amerykańskich jest pół miliona Murzynów, a tylko 200 tysięcy na uniwersytetach i to oznacza klęskę czarnych. Odwróćmy proporcję, a odniesiemy zwycięstwo, którego biali nas pozbawili. Wykorzystamy do tego celu tę samą technologię, która uczyniła białych mistrzami sytuacji, jeśli tylko opanujemy tę technologię. Warunkiem jest jednak praca i rygor moralny...

Podkreślmy tutaj, że motyw moralności zajmuje centralne miejsce w kulturze współżycia z technologią i współpracą zaawansowanych już technicznie środowisk z tymi, co aspirują do postępu. Dynamika rozwiniętej części Azji wschodniej oparta jest o koniunkturę produktów o wysokiej wartości dodanej, lecz jej podstawowym warunkiem pozostaje wyjątkowa zaradność zawodowa i moralna tamtejszych społeczeństw. Powtórzenie cyklu technologicznej i gospodarczej konwersji w innych krajach, a w szczególności na terenie Europy wschodniej, uzależnione jest dokładnie od takiego samego imperatywu, udział w technologiach przyszłości bowiem to nie tylko sprawa infrastruktury, środków finansowych i stabilności politycznej.

Moralność znajduje się również w centrum oferty technologicznej w swym znaczeniu antynomicznym gdy chodzi o piractwo programów informatycznych i nośników komunikacyjnych, które stanowią dzisiaj czynnik najbardziej intensywny

nego gromadzenia bogactw: znamiennym jest faktem, że najbogatszy człowiek świata, Amerykanin Bill Gates, zbudował swą fortunę na produktach niematerialnych, jakimi są programy. W lutym br. Stany Zjednoczone i Chiny znalazły się na skraju handlowej wojny po niepowodzeniu negocjacji na temat ukrócenia pirackich praktyk. Na przykład w Hong Kongu kupić można za 250 franków importowane z Chin programy Microsoft warte sto tysięcy. Kradzież wartości intelektualnej uprawia się we wszystkich krajach ubogich, o czym na przykład w Polsce świadczy obieg kaset muzycznych i filmowych czy programów.

Ostatecznie rząd chiński — nawet jeżeli targuje się z gorliwością godną lepszej sprawy — nie może ignorować postulatów amerykańskich w sprawie ukrócenia piractwa, ponieważ stawką jest wyjątkowo korzystny handel z Amerykanami: w roku ubiegłym chińska nadwyżka „czystego” handlu wyniosła 30 miliardów dolarów. Z drugiej strony tania podaż z Chin poważnie zasila amerykańskie hiperspożycie i Stany są dalekie od wprowadzenia w życie realnych sankcji handlowych. Wynikiem będzie zapewne kompromis dżentelmenów, oznaczający najzupełniej relatywne umoralnienie dwustronnych stosunków technologicznych. Z jednej strony przewidywać można, że kontrolna sieć rządu chińskiego będzie miała wystarczająco wielkie oczka, by przepuścić liczne przypadki piractwa, z których żyją całe miasta. Z drugiej niewielu zwróci uwagę na to, że wspomniane nadwyżki osiągnęły się poprzez eksploatację na poły niewolniczej pracy Chińczyków, w tym nieletnich i więźniów politycznych. Ten ostatni aspekt sprawy na ogół nie budzi moralnego niepokoju zachodnich konsumentów, co ujawnia rzeczywistą wartość pryncypiów rynku nowoczesnej technologii. Obraz trzynastoletnich dziewczynek chińskich, pracujących czternaście godzin na dobę za dwa dolary dziennie, symbolizuje społeczne koszty planetarnej rewolucji technologicznej, gwarantującej zamożnym krótkotrwały optymizm, lecz niosącej w sobie zarodek najgłębszych konfliktów na przyszłość. Dwa dolary taśmowego pracownika chińskiego odpowiadać mogą czterem w Malezji czy Indiach, sześciu w Meksyku, nawet dziesięciu w Polsce — zawsze znacznie mniej, niż pięćdziesiąt we Francji. Powyższe liczby wyjaśniają wiele z błyskotliwego rozwoju technologii, także w dziedzinie dynamicznie taniejących komputerów.

Rynek nowoczesnej technologii stymuluje więc nowoczesne niewolnictwo i rzeczywistości tej nie zaprzeczy żaden motyw teorii liberalnych, według których przyjęcie zasad wol-

nej gry podaży i popytu stanowi warunek konieczny bogacenia się narodów. Zapewniając doraźny optymizm zachodniego konsumeryzmu mechanizm ten jest źródłem dalekosiężnych konfliktów na skalę ponadnarodową, na podobieństwo dzisiejszego rewanżyzmu czarnych Amerykanów.

Również jednak i w obrębie samych społeczeństw rozwinętych ujemne aspekty rozwoju technologicznego budzić muszą niepokój. Wirtualna rzeczywistość ekranu telewizyjnego, osłabiająca tkankę rodzinną i społeczną jest tutaj szczególnie wymownym przykładem. Innym może być sfera polityki, w której technologia komunikacji odgrywa coraz większą rolę. Stany Zjednoczone, które są uprzywilejowanym miejscem do obserwacji trendów najbliższej przyszłości, wykazują już głęboką wrażliwość demokracji na technologiczne zboczenia. Rozwój środków przekazu ogromnie podniósł znaczenie badań opinii publicznej, które w ruchliwym środowisku zdecydowanych na wszystko *lobbies* dają możliwość bezbłędnej manipulacji mechanizmem podejmowania decyzji. W Stanach deputowani i rząd uruchomili liczne biura zajmujące się nasłuchem opinii, którą badają za pomocą linii kontaktowych: faxu, telefonu lub sygnału uruchamianego guziczkiem. Grupy nacisku z kolei dysponują bazą danych, która pozwala wybrać osoby sprzyjające konkretnej innowacji prawnej. Gdy jakiś problem zostanie sformułowany przez polityka lub dziennikarza w popularnych audycjach *talk show*, wówczas uruchamia się przygotowaną z góry listę, która daje wyraz swym preferencjom. Nagłośnienie nacisku przez radio czy telewizję powoduje, że polityk rzadko decyduje się na jego zignorowanie. Wynikiem jest jeszcze silniejsze, niż dotąd, panowanie grup nacisku, a w szerszym zakresie — rosnąca izolacja ubogich warstw społecznych, które w Stanach liczy się w dziesiątki milionów ludzi. Wreszcie upada wiodąca funkcja polityki i jej wiarygodność: jak pisze *Times* z 23 stycznia br. ludzie wymagają natychmiastowego posłuszeństwa od swych delegatów, lecz otrzymawszy je, zaczynają nimi gardzić. Według tego samego źródła od lat sześćdziesiątych zaufanie dla Waszyngtonu spadło z poziomu 70 % na 20 % społeczeństwa.

Wreszcie związek współczesnych technologii ze stosunkami społecznymi jest coraz wyraźniej dostrzegalny w szerszym kontekście przetrwania gatunku. Technika zapewnia już bardzo zaawansowaną dominację nad czasem i przestrzenią, i stopniowo staje się jasne, że racjonalizm technologiczny oznacza również troskę o środowisko naturalne i przyszłe

pokolenia. Wobec problemu atomowych odpadów, chemicznych śmieci, procesów materiał- i energochłonnych, gazów uszkadzających osłonę atmosferyczną czy wirtualnego świata obrazów telewizyjnych osłabiających tkankę społeczną traci na jasności intuicja Marksa, według którego technika jest całkowicie neutralna, a wartościującej ocenie poddać można jedynie sposób jej użycia.

Rozwój technologii stanowi jeden z bardziej fascynujących spektakli naszej cywilizacji, o najgłębszych dla niej konsekwencjach. Na skalę lokalną chodzi m.in. o losy społeczeństw szukających swego miejsca na globalnym rynku: Polska i inne kraje byłego Imperium staną na nogi jedynie pod warunkiem dostosowania swej oferty towarowej i usługowej do międzynarodowego podziału pracy. W skali planety chodzi o uniknięcie konfliktu wielkich biegunów gospodarczych, lecz także o przetrwanie gatunku. W tych warunkach pojawia się pytanie o możliwość wyborów technologicznych właściwych, to jest stymulujących jakość życia w szerokim słowa znaczeniu i powszechnym zakresie. Jeśli jednak stosunkowo łatwo określić niedostatki poszczególnych technologii i płynące z nich zagrożenia, to znacznie trudniej sformułować ogólny postulat racjonalnych kierunków rozwojowych techniki. Tymczasem staje się coraz bardziej jasne, że brak porządku wyższego rzędu w stosunku do impetu technologii prowadzić może do wymknięcia się jej spod wszelkiej kontroli. Jakiej kontroli? Czy istnieje możliwość świadomego planowania rozwoju technologii?

Pomiędzy licznymi sceptykami francuski filozof Castoriadis twierdzi — na przykład w swoim artykule w Encyklopedii Universalis — że świadoma transformacja technologii jest zadaniem w ogóle niemożliwym, głównie dlatego, że nie sposób określić grupy uniwersalnych, niezmiennych w historii problemów człowieka, dla których istnieć by mogły rozwiązania konieczne: nie istnieje „trwały punkt” ludzkich potrzeb. Historyczna potrzeba nie może być określona poza swoim kontekstem, to znaczy umyka wszelkim prognozom. Z drugiej strony na określonym etapie technologii zawsze istnieje kilka technik specyficznych dla rozwoju produkcji. Wreszcie wybór drogi nigdy nie jest wynikiem racjonalnej decyzji opartej o pełny i obiektywny zespół informacji: w rzeczywistości opiera się zawsze o dane niepełne i określony bywa w socjologicznym, raczej niż racjonalnym procesie decydowania przez biurokrację. Najlepszym przykładem jest tu technika transformacji gospodarki w państwach pokomunistycz-

nych. W Polsce przyjęto zasadę szybkiej zmiany, poprzez uwolnienie cen na rynku mimo jego monopolistycznego charakteru i gospodarka jakoś sobie z tym radzi: wszelako równie dobrze można było wyobrazić sobie „miękką” transformację, jak w Czechach czy na Węgrzech. Dynamika polskiej gospodarki więcej zawdzięcza wcześniej rozwiniętym czynnikom strukturalnym, jak elementy sektora prywatnego czy załączki demokracji i początki politycznej zaradności, niż planowym decyzjom z roku 1990, podjętym w specyficznej atmosferze zaufania nowej elity władzy do patronatu zagranicznego. W ogóle odnieść można wrażenie, że technologiczna i gospodarcza zaradność społeczeństwa polskiego realizuje się jak gdyby poza strefą somnambulicznych zawirowań elity władzy w ostatnich pięciu latach, co stanowi specyficzny przykład ograniczonego znaczenia politycznego determinizmu w kształtowaniu gospodarki. Polityka, która w skrajnych przypadkach jest w stanie zniszczyć gospodarkę, winna dostrzegać swą rolę w stymulowaniu priorytetowych kierunków gospodarki poprzez tworzenie korzystnych ram prawnych dla rozwoju inicjatyw i ich samodzielnego zarządzania, harmonizując przy tym interesy wszystkich grup społecznych. Jest to rola zapobiegania wynaturzeniom, raczej niż kreowania rzeczywistości, popierania rozwoju tkanki gospodarczej, raczej niż dekretoowania jej formy.

Przykładów indeterminizmu w kierunkach rozwojowych gospodarki i społeczeństwa można przytoczyć немало. Upadek komunizmu zadał potężny cios wizjom planowej transformacji społeczeństwa poprzez harmonijną współzależność stosunków społecznych i technologicznych: formuła Lenina o elektryfikacji plus władzy sowietów stanowi obrazowy przykład do końca przećwiczonego błędu determinizmu. Tego rodzaju złudzenia nie stanowią jednak wyłączności naukowego ustroju, o czym świadczyć może rozpowszechnione w latach siedemdziesiątych na Zachodzie przekonanie, że konsumeryzm oparty o nowoczesną technologię doprowadzi do rozmiękczenia bloku wschodniego. W rzeczywistości zaś transfer tej technologii przedłużył trwanie ustroju o samobójczej naturze, który upadł po wydrenowaniu wszystkich dostępnych mu środków. Kolejnym złudzeniem może być wiara w harmonijny rozwój planety pod rządami realnego rynku, który poprzez skrajne faworyzowanie technologii w stosunku do surowców, a finansów w stosunku do pracy wiąże ubogich w niewolniczym wysiłku na rzecz zamożnych.

Zauważmy, że o ile planowy projekt technologiczno-spo-

leczny Lenina zrujnował Rosję niemal od razu, to liberalny projekt rozwoju Stanów poprzez boom bawełniany podzielił społeczeństwo dopiero w dłuższej perspektywie. U progu przyszłego stulecia oba narody stoją przed kolosalnym zadaniem uporania się z dziedzictwem technologicznego impetu w swoim czasie bezkrytycznie wplecionego w historyczne losy społeczeństwa. Wreszcie dzisiejszy dyktat technologii na globalnym rynku, umiejętnie sterowany praktyką monetarną, finansową i celną wielkich mocarstw, prowadzi do głębokich pęknięć w licznych przekrojach społecznych i narodowych.

We wszystkich powyższych przypadkach mieliśmy do czynienia z błędem metody w ocenie determinizmu politycznego. Wzajemne uzależnienie technologii i stosunków społecznych nie należy do sfery nauk doświadczalnych i nie może dać zadowalającej odpowiedzi na pytanie o prawa, jakie rządzą tym uzależnieniem. Opisujące zjawiska mogą natomiast podlegać naukom interpretacyjnym, to jest zajmującym się poszukiwaniem znaczenia konkretnych wydarzeń. Surowa odpowiedzialność polityków może zatem być zaangażowana w aspekcie pełnej oceny następstw nowych rozwiązań technologicznych i sposobu funkcjonowania rynku, tak iżby uzupełnić rynkowy impet rozwojowy o imperatywy społeczne.

Jaki stąd wniosek dla szukającej swego miejsca gospodarki polskiej? Prostej odpowiedzi nie ma, ale też i fatalizm byłby tu postawą nieuzasadnioną. O ile wiele przemawia za tym, że rekonstrukcja gospodarki odbywa się jakoś poza niepojętą gmatwaniną politycznych koterii Rzeczypospolitej, to pewnego dnia wypadnie przystąpić do prób zarysowania przyszłego modelu technologicznego kraju. Konkretnie decyzje zależeć będą od licznych kryteriów zarówno koniunkturalnych, jak i strukturalnych, których ocena jest zadaniem racjonalnej władzy. W warstwie ideologicznej warto będzie wówczas wziąć pod uwagę, że wybór modelu technologicznego dla gospodarki narodowej nie jest wyłącznie kwestią kryteriów makroekonomicznych, lecz ściśle zależy od gotowości społeczeństwa do przyjęcia wzorów moralności społecznej i zawodowej skorelowanych ze świadomymi celami tego społeczeństwa, jakimi są nowoczesna gospodarka i sprawiedliwy ustrój. Pozostaje pytanie, jak zapobiec ujemnym skutkom technologicznego impetu na dłuższą metę, co stanowi zarówno kwestię wewnętrzną społeczeństwa pragnącego uniknąć wykluczenia swych niezaradnych, jak i interrogację powszechną, dotyczącą przyszłości planety.

Robert KACZMAREK

Kraj

Kryzys rządowy

1.

Kryzys rządowy w Warszawie toczy się w atmosferze, którą starzy mistrzowie teatru nazywali histerią aktorską. Jej źródłem jest stres wywołany niemożnością uwiarygodnienia odgrywanej roli. Aktor się wówczas „zagrywa” do siódmych potów, wrzeszczy, płacze, mdleje... Tak się właśnie dzieje z aktorami politycznego kryzysu w Warszawie. Warto tu zauważyć, że w tych przełomowych (podobno) tygodniach wszyscy byli bardziej w roli niż kiedykolwiek. Bardziej prezydencki był Wałęsa, bardziej premierowski Pawlak, Unia Wolności okazywała się w trójnasób sumieniem narodu, Michnik — Wernyhorą, a Falandysz — lisem przechera. I każdy był w swej roli wedle własnego o niej wyobrażenia i na miarę własnych możliwości. A tego, niestety, nie starczało, im zaś dłużej i głośniejsz grali, tym bardziej nie starczało: prezydent przyciskał tyłek do stołka aż dymiło z podłogi, z premiera wyzierał chłopina biznesmen, któremu się terminy płatności sypią na głowę, sumienie narodu wyglądało na nie-domyte, Wernyhora chrypiał, a przechera chytrzył tak jawnie, że nawet poczet prawicy polskiej nie potrafił udać, że mu wierzy, tylko Krzaklewski Marian się jakoś przemógł, choć może naprawdę nic nie zrozumiał... Ostatecznie, im bardziej grali, tym bardziej rosło niedowierzanie widowni: o co naprawdę chodzi, panowie? Takie jest też dzisiaj nasze pytanie.

Najpierw zauważę, że kryzys wybuchł, choć nic się naprawdę nie stało niezwykłego. Nie był zatem skutkiem wydarzenia, lecz jakichś kumulacji. Nic się nie stało, tylko coś się przelało.

Wedle dość powszechnych w Warszawie ocen doszło do zatoru w centrum wokół premiera. Opóźniały się rozmaite decyzje, aż stawało wszystko, jak w korku na szosie. Unia Wolności i związane z nią inne ośrodki optujące za reformami twierdziły nie od dziś, że młody premier swym kunktatorstwem po prostu negował politykę reform nawet tam, gdzie nie miał odwagi wprost ich odrzucić. I jest w tym zapewne sporo racji. Wprawdzie opozycyjni krytycy rządowego bezruchu nie powinni zapominać, że także poprzednie gabinety, te z nalepką „reformatorskie”, nic nie zrobiły, żeby przekształcić, na przykład:

- system ubezpieczeń społecznych
- opiekę zdrowotną
- edukację narodową
- centralną administrację

— ale, rzecz jasna, gabinetu Pawlaka w niczym to nie usprawiedliwia, co najwyżej mogłoby sugerować potrzebę głębszego wglądu, jako że uchybienie było powszechne*. Taki nieco głębszy wgląd zmusza do przemieszczenia zarzutu.

Koalicja reprezentowana dotąd przez rząd Pawlaka doszła do władzy dzięki obietnicom składanym wielkim grupom społecznym, które polityka reformatorów krzywdziła i pozbawiała szans. Pierwszą rzeczą do zrobienia było więc, po zwycięstwie, dopisanie do obietnic autentycznego programu. Nic takiego się nie stało i koalicja nie ma takiego programu po dziś dzień i zapewne już go mieć nie będzie, nawet jeżeli Oleksy zastąpi Pawlaka. Jest oczywiście „Strategia dla Polski” wicepremiera Kołodki. Pisałem o niej na tych łamach (*Kultura* 7-8/1994 i 9/1994) oddając zresztą sprawiedliwość jej socjotechnicznym walorom. Na pewno jednak „Strategia dla Polski” nie była programem na miarę obietnic, stanowiła raczej kontynuację linii poprzednich gabinetów, choć z pewnymi usprawnieniami, zwłaszcza w państwowym sterowaniu. Był w niej w szczególności zarysowany projekt reformy centralnej administracji gospodarczej, który teraz powraca u Oleksego, bo, jak dotąd, nic z niego nie wyszło.

Kiedy rząd przystępuje do pracy mając przed oczyma program dużej skali i znaczących rewizji, szef rządu zostaje

* Gdy tymczasem przykładem, jak się taką krytykę uprawia, może być tekst Danuty Zagrodzkiej, która gromi rząd Pawlaka za niedokonywanie niczego dla zreformowania centrum (*Gazeta Wyborcza* 13 lutego 1995) wtrąca mimochodem, że poprzednio „natłok bieżących spraw nie pozwalał zająć się tym poważnie”. To już chyba zbyt łatwe.

natychmiast poddany egzaminowi. Jeśli nie jest dość twardy, wytrwały i sprawny, by dyscyplinować rząd i koalicję i koncentrować wszystkie wysiłki zgodnie z priorytetami programu, wówczas odsłoni się i przegra bardzo prędko. Kiedy natomiast takiego programu nie ma, rządzenie jest zajęciem niższego sortu, nieustannym handryczeniem się o detale i ciągłą szarpaniną. Tak właśnie rządził Pawlak i był w tym nawet dość sprawny — również dzięki swej ostrożności i kunktatorstwu, co mu pozwalało przetrzymać rozmaite pokątne szturm. Dziś, kiedy wszyscy go krytykują za wszystko i nawet kozy na niego skaczą, wypada podkreślić, że słabość Pawlaka w działaniu ujawniała się stopniowo, w miarę kumulacji opóźnień i zaniechań (inaczej, oczywiście, z niekomunikatywnością). Pod uwagę, zwłaszcza krytykom z Unii Wolności, dodam, że np. Tadeusz Mazowiecki jako premier nie był zapewne sprawniejszy od Pawlaka, tylko że wszystkie swe uprawnienia decyzyjne w sferze gospodarczej scedował w praktyce na Balcerowicza. Ten na pewno miał swój program (cokolwiek się o nim myśli) i ogromnie wiele wytrwałości i siły przebicia. Takiego stosunku zaufania pomiędzy Pawlakiem a jego wicepremierem i ministrem finansów nigdy nie było, nie wdając się już w porównania Borowskiego czy Kołodki z Balcerowiczem.

Tu doszliśmy do następnego elementu kryzysu: składu koalicji.

Jak wiadomo, od 1989 były już w Polsce koalicje bardziej złożone i kolorowe, ale nie było równie podatnej na paraliż. U Mazowieckiego OKP był jeszcze jednością i całkowicie dominował nad swymi aliantami odprawiającymi pokutę za PRL. U Suchockiej składanka koalicyjna tarosiła się nieprzerwanie o wszystko, ale siła tych partyjek kończyła się na progu Sejmu, o czym większość z nich dobrze wiedziała i miarkowała wybryki, dopiero chłopcy z NSZZ „Solidarność” z nieświadomości potłukli porcelanę. W rządzie Pawlaka spotkali się partnerzy równej politycznie mocy, czerpiący swe siły z bardzo różnych elektoratów o sprzecznych interesach oraz, o czym się często zapomina, o rozmaitych kulturach politycznych, różnie pojmujących samą politykę. Stąd od razu od początku ogromna nieufność wzajemna.

Opozycję interesów gospodarczych rozładowano zrazu, choć nie na długo, obsadzając resorty rolnictwa i współpracy gospodarczej z zagranicą ludźmi PSL: to był warunek *sine qua non*. Wbrew pozorom, rozbieżności kulturowe i polityczne okazały się z miejsca trudniejsze do załagodzenia.

Obie partie wyszły z peerelowskiej przeszłości w różny sposób i zupełnie różnymi sposobami odzyskiwać poczęły swą polityczną szacowność (*respectability*) w nowej rzeczywistości. PZPR się formalnie rozwiązała, ale w istocie było to przemianowanie (z drobnym odpryskiem w postaci grupy Fiszbacha). Później SdRP przerosła w SLD gromadząc wokół siebie rozmaite resztki dawnych transmisji. Nowa formacja nieuchronnie natyka się więc na problem odcięcia od przeszłości. Niezależnie od tego, co sądzić o szczerości polityków SLD, pewne jest, że nie mają oni do dyspozycji tego sposobu, jakim posłużyło się ZSL-PSL: Drugiej Rzeczypospolitej. Protoplaści SLD wszyscy byli komunistami, PSL zaś odszukało sobie bez trudu czysty, chłopski, polski, katolicki rodowód i nawet Mikołajczyka podgarnęło pod siebie.

W nowej rzeczywistości kapitalistycznej szacowność dziedzictwa nie jest, jak wiadomo, wielką pociechą i chłopi w polityce dowiedzieli się o tym równie szybko jak rozmaici ziemianie i szlachetkowie bez ziemi, dobijający się o reprzytaczanie. Dzisiaj z zawiścią popatrują na polityków i sponzorów SLD, którzy nową szacowność zyskali wraz z pieniędzmi jako tzw. uwłaszczona nomenklatura i na salonach nowej Warszawy spotykają się jak równi z równymi i w ogóle sami swoi z liberalnymi biznesmenami ze styropianu, dyplomatami, generałami oraz Mieciem Wachowskim.

Nie chcę bynajmniej twierdzić, że działacze PSL nic w ogóle nie zyskali na rozwoju kapitalizmu w Polsce, ale to jednak nie taka skala interesów. Stąd może również szczególne rozżarcie na bezpośrednie profity z rządzenia: posady (38 województw!), koncesje, lewe przetargi... Jak wiadomo, afery stały się w ostatnich miesiącach preferowanym tematem w atakach na Waldemara Pawlaka osobiście oraz jego PSL-owskich kolegów z rządu i Urzędu Rady Ministrów. Zwłaszcza Lesław Podkański z Ministerstwa Współpracy Gospodarczej z Zagranicą uchodzi za ojca chrzestnego całej „chłopskiej mafii”. Wicepremier i minister sprawiedliwości Cimoszewicz w oparciu o raport NIK skierował do Sądu Najwyższego prokuratorską rewizję nadzwyczajną przeciw Podkańskiemu o nielegalne powołanie Agencji Rozwoju Gospodarczego. „Pod prokuratora” trafił Ireneusz Sekuła, prezes Głównego Urzędu Cei; ten wprawdzie z PZPR, ale reaktywowany przez Pawlaka. Może nieco dziwić, że prasa nadała aż taki rozgłos aferom, o których jeszcze nie wiadomo, kto ile nakradł i dla kogo. Tym, co istotnie uderza w tych historiach, nie jest bynajmniej ani rozmiar ani charakter szkód,

pod tym względem młody polski kapitalizm przyzwyczaił nas do wygórowanych standardów. Śmiesz i zapewne zachęca dziennikarzy nieporadność i naiwność z jaką obwinieni kręcą i kłamią.

Pisma szczególnie aktywne w tępieniu PSL-owskiej gangreny — *Wprost*, *Życie Warszawy*, *Gazeta Wyborcza* — reprezentują całkiem szeroki wachlarz. *Wprost*, tygodnik ogólnopolski wydawany w Poznaniu z dużym powodzeniem przez b. wysokiego funkcjonariusza PZPR z ostatnich lat tej instytucji, jest pismem ultraliberalnym i bardzo zdecydowanie popiera ideę wielkiej koalicji liberałów, od UW do SLD. *Gazety Wyborczej* przedstawiać nie trzeba. *Życie Warszawy*, które zresztą ledwo zipie i czeka z utęsknieniem żeby je włoski właściciel Grauso sprzedał wreszcie hojniejszemu inwestorowi, jest redagowane przez Tomasza Wołkę, niegdyś współtowarzysza Aleksandra Halla i nadal człowieka prawicy; zarazem *Życie Warszawy* zajmuje najbardziej proprezydenckie stanowisko w obecnym kryzysie z całej prasy warszawskiej. Polowanie z nagonką na Waldemara Pawlaka i jego ludzi, otwarte z tyłu różnych stron politycznych — właściwie zewsząd — wskazywało, że kubek jest pełen i zaraz się przeleje.

2.

Dodało się kilka faktów incydentalnych i do gry wkroczył pan prezydent.

Trybunał Konstytucyjny zakończył w praktyce swym orzeczeniem karierę ministerialną Andrzeja Olechowskiego. W sprawie dodatkowych wynagrodzeń wysokich funkcjonariuszy Trybunał przyjął wprawdzie presumpcję dobrej woli, a zatem dał rozgrzeszenie moralne, ale stwierdził nielegalność samego faktu. Olechowski zaś zaklinał się, że jako człowiek honoru zrezygnuje, jeśli Trybunał orzeknie przeciw niemu, i w wywiadzie prasowym podkreślał, że pieniędzy z banku, gdzie prezesuje radzie nadzorczej, potrzebuje koniecznie, bo ma rodzinę... Nie było więc wyjścia, do wakatu w MON doszedł wakatu w MSZ, drugim „resorcie prezydenckim”, a wiadomo, że pusty ring zaprasza prawdziwych *fighter*ów.

Upływały terminy uchwalenia budżetu. Nieuchwalenie budżetu przez trzy miesiące od zgłoszenia preliminarza do Sejmu jest jednym z dwóch możliwych, legalnych powodów rozwiązania parlamentu przez prezydenta (drugim jest obalenie rządu bez wskazania nowego premiera). Wszyscy wprawdzie rozumieli, że trzy miesiące dotyczą pracy samego Sejmu

nad budżetem nie zaś całego czasu aż do publikacji w *Dzienniku Ustaw* — i Trybunał Konstytucyjny w uzasadnieniu jednego z poprzednich orzeczeń też tak zaopiniował — ale Lech Falandysz odróżnił uzasadnienie jako niższej mocy od orzeczenia i upewnił pryncypała, że wszystko przed nami.

Tutaj otworzę nawias, żeby zwrócić uwagę na dwa aspekty działalności Lecha Falandysza, które są znacznie poważniejsze niż tak powszechnie potępiany cynizm prawnika — „żołnierza i obrońcy prezydenta”. Falandysz robi ostatecznie to samo, co każdy adwokat ratujący *per fas et nefas* swego klienta, żenujące może być co najwyżej, że klientem takiego adwokata jest prezydent państwa.

Pierwszy z tych poważniejszych aspektów dotyczy stanu istotnych tekstów prawnych. Mówiono o tym m.in. w Sejmie 15 lutego z okazji debaty nad informacjami prof. Andrzeja Zolla, przewodniczącego Trybunału Konstytucyjnego. Z jednej strony ustawa konstytucyjna czy raczej obowiązująca składanka konstytucyjna ma tyle luk i jest tak niechlujna językowo (np. używa tego samego terminu „powołanie” na określenie dwóch zupełnie różnych i różnej rangi funkcji), że bardzo często wymaga wykładni. Otóż do takiej wykładni nikt nie jest uprawniony; Trybunał Konstytucyjny bada zgodność ustaw z konstytucją, ale nie samą konstytucję. Z drugiej strony, poza kompetencją Trybunału pozostaje ocena legalności działań agend władzy: Trybunał dokonuje wykładni przepisów, ale jeśli z tej wykładni wynika, że władza działała nieprawnie, to trzeba ją dopiero oskarżyć przed sądem (np. NSA lub Trybunałem Stanu). Jak widać, w zasadniczej sprawie kontroli legalności na najwyższych poziomach władzy sytuacja jest jak w serze szwajcarskim, same dziury.

Drugim poważniejszym aspektem działalności Lecha Falandysza jest degradacja języka (nie tylko prawniczego), jaka się dokonuje wobec nieustannego, bezkrytycznego nagłaśniania tych kruczków prawnych przez media. Wprawdzie publicyści poważni (wymienię Romana Graczyka z *Gazety Wyborczej* czy Stanisława Podemskiego z *Polityki*) starają się od czasu do czasu otrzeźwiać konfratrów i przywracać właściwą miarę rzeczom, ale znakomita większość mediów traktuje zagrania teamu prawniczego Wałęsa-Falandysz jako świetne „njusy”, samego zaś eks-docenta jako gwiazdę ekranu. Do tego dochodzą komentarze, jak z rubryki sportowej, o „mistrzowskich zagraniach” teamu. Do znanego już języka Lecha Wałęsy, w którym wewnętrzna sprzecz-

ność i niespoistość wypowiedzi jest normą sugerującą słuchaczom, że mówca stoi ponad gramatyką i składnią, dołącza się język Lecha Falandysza, który dowodzi, że najzwyczajniejsze słowa nie znaczą nic pewnego bez interesownej wykładni. W „Chmurach” Arystofanesa sofistyczny popis tego rodzaju zakończył się obiciem sofisty. Ale to było dawno i w Atenach. Zamykam nawias.

Trzecim ważnym faktem już nie całkiem incydentalnym był szybki od grudnia spadek notowań w sondażach PSL i zwłaszcza samego Pawlaka*, skojarzony z również wyraźnym choć zrazu nie tak wydatnym wzrostem pesymizmu w ocenie sytuacji politycznej. Trzymały się tylko notowania dotyczące gospodarki, ale w styczniu, zapewne pod wpływem ciągłego szybkiego wzrostu cen żywności, i one uległy degradacji mimo zaklęć wicepremiera Kołodki, że w gospodarce wszystko idzie dobrze.

Prezydent Wałęsa odczekał i uderzył. Najpierw, po krótkim, ale intensywnym przygotowaniu terenu pogłoskami prasowymi, zapowiedział rozwiązanie parlamentu. Koalicja wraz z opozycją (SLD, PSL, UW i UP) stawiała opór i Sejm miażdżącą większością oświadczył uroczystie, 4 lutego, że prezydent nie ma żadnych tytułów prawnych, by parlament rozwiązać i wobec tego „poniesie odpowiedzialność konstytucyjną”, gdyby się na taki krok poważył. Obóz prezydencki zareagował kolejnym balonem próbnym — *Gazeta Wyborcza* ogłosiła 6 lutego, że Wałęsa chce powołać rząd wojskowy z gen. Wileckim i że redaktorzy „wiedzą o tym od dwóch odpowiedzialnych osób z otoczenia prezydenta” — ale jednocześnie na spotkaniu z konwentem seniorów tegoż 6 lutego atakujący zmienił kierunek szturm. — Mniejsza o parlament, ale tak dalej być nie może, zmieniajcie rząd... I cały ogień na Pawlaka. Na oczach całej Polski — bo prezydent zażądał transmisji telewizyjnej, „grajmy przy podniesionej kurtynie” — premier został potraktowany jak szczeniak, zbyt młody i nieuczony, by mógł dobrze strzec obojścia. Wieczorem tego burzliwego poniedziałku było już wiadomo, że rząd odejdzie. W ten sposób Wałęsa po drugim szturmie odniósł sukces.

W trzy dni potem partie koalicyjne desygnowały na premiera Józefa Oleksego (którego na fotelu marszałka Sejmu

* Od stycznia 1994 do stycznia 1995 aprobatą dla działań premiera zmalała z 38 do 26% natomiast dezaprobatą wzrosła z 27 do 58% respondentów.

zastąpi Józef Zych z PSL). 15 lutego podpisana została nowa umowa koalicyjna PSL z SLD.

Czy więc Wałęsa rzeczywiście odniósł sukces? I na czym ów sukces miałby polegać?

3.

Nie ulega kwestii, że prezydent grał na zastraszenie całej klasy politycznej i zarazem pozyskanie Polski głębokiej, tej, której uczestnictwo w polityce sprowadza się do uruchamiania telewizora.

Na spotkaniu z konwentem seniorów politycy byli traktowani z góry i pogardliwie, bez różnicy, rządowi czy opozycyjni, może tylko Kwaśniewski i Oleksy z SLD doznali nieco więcej kurtuazji. To zresztą należy ostatnio do stałego repertuaru prezydenta: podkreślanie, że tylko SLD uważa za formację serio, przeciwnika poważnego. Zabieg ten służy uwiarygodnieniu poglądu, że polityka polska rozpięta jest między biegunami: postkomuna i Wałęsa. Już tylko prezydent chroni nas przed komunistyczną rekonkwistą. Wybierajmy Wałęsę, więcej władzy dla Wałęsy. Na tej samej linii mieszczą się (jako kolejny wariant) niespodziane rozważania Falandysza, który nie sądzi, żeby prezydent był zadowolony z kandydatury Oleksego na premiera. „Celem prezydenta jest zerwanie z PRL. Do tego nie wystarcza, żeby powstał nowy rząd na bazie dotychczasowej koalicji. Światły element postkomuny i najlepsi z opozycji muszą się znaleźć w jednym rządzie” — oświadczył Falandysz 9 lutego w Stowarzyszeniu Prasy Zagranicznej. Dodał, iż Wałęsa będzie forsował koalicję SLD z Unią Wolności(!). „To ma swoją cenę. Dla SLD ceną będzie zerwanie z PRL, dla Unii — rezygnacja ze swojego dziewictwa” (*Rzeczpospolita* 11-12 lutego). Otwartym tekstem: SLD musiałoby się rozstać z Leszkiem Millerem a Unia Wolności z Suchocką, Tuskiem i Mazowieckim...

Wtedy będą zdani na patronat i łaskę prezydenta (byłby to nawrót do sytuacji po upadku rządu Olszewskiego, kiedy Wałęsa nie wykorzystał swej własnej gry na lewą nogę...). Gdyby jednak do takiej koalicji SLD-UW doszło w przyszłości bez uiszczania ceny i bez patronatu, to będzie jasne, że zdeprawowani uniści wpadli w ramiona postkomunistycznej ośmiornicy.

Innymi słowy, dwubiegunowość nie znaczy, że nie ma nikogo więcej na scenie. Oznacza jednak, że wszyscy muszą się, chcąc nie chcąc, plasować w tym polu sił i z jednego z dwóch biegunów czerpać wolę polityczną. Dotyczy to również

całej prawicy, którą Wałęsa bardziej jeszcze gardzi niż jej potrzebuje.

Po drugiej stronie, poza właściwą sceną polityczną jest Polska głęboka: otwiera telewizor i odpowiada w sondażach. Otóż Polska głęboka na ogół nie głosuje. Nadzieja Wałęsy na ponowną elekcję polega na tym, że on zaciągnie ją do urn. I na to widzi dziś jeden tylko stary sposób: im gorzej, tym lepiej!

W ostatnim za życia rządu Pawlaka sondażu Demoskopu (12-17 stycznia) dobrą opinię o nim miało tylko 18 % (bardzo dobrej nie miał nikt), natomiast złe i bardzo złe — 70 %. Na początku lutego CBOS dowiedział się od Polaków, że 68 % z nich (75 % robotników i chłopów) uważa, iż sytuacja w kraju rozwija się w złym, zaś tylko 18 % w dobrym kierunku. Pytani o sytuację polityczną 64 % uważało, że jest złe, a tylko 2 %, że dobrze (jedna czwarta nie miała zdania). Trudno orzec jaki udział w gwałtownym pogorszeniu opinii Polski głębokiej miał szturm Lecha Wałęsy na parlament i rząd. Jakiś miał, i o tyle prezydent odniósł sukces. Ale choć brak dotychczas bliższych analiz wrażenia, jakie robi w opinii przebieg kryzysu, można mniemać, że prezydent bynajmniej nie zyskuje. Dotychczas jego notowania i szanse ponownej elekcji pozostawały niezmiennie niskie, a jedyną formacją, która awansowała wyraźnie (z 3 do 12 % wskazań w ciągu kilku miesięcy) była NSZZ Solidarność. Otóż Solidarność nie chce Lecha Wałęsy na prezydenta; Marian Krzaklewski myśli już podobno o sobie, a tymczasem mówi o sędzim Adamie Strzemboszu. W tym zatem sensie Wałęsa nic nie wygrał, poza może wskazówką, z kim musiałby się dogadać, żeby lepiej wystartować. Czy jednak powroty do źródeł są w ogóle możliwe poza literaturą i czy nie jest raczej prawdą, że nie wchodzi się drugi raz do tego samego strumienia? Bo zresztą tamtego strumienia solidarnościowego też już nie ma. Pozostaje jeszcze kwestia, dlaczego szturm prezydenta doprowadził tak szybko do upadku rządu. Mam nadzieję, że przedstawiłem całą już bez mała odpowiedź. Poza jednym elementem taktyki, skądinąd pouczającym. W takich szybkich rozgrywkach — „uderzaj i uciekaj”, „wal do drzwi, wchodź przez okno” itd. — Lech Wałęsa ma z reguły pewną przewagę. On zawsze gra konsekwentnie tylko jedną grę naraz. Umiejętność koncentracji. Jego przeciwnicy zaś mędrkują i kombinują. W lutym 1995 w Warszawie Lech Wałęsa rozgrywał prolog do własnej kampanii wyborczej — przeciw wszystkim możliwym kontr-

kandydatom. Inni zaś grali tak: SLD przeciw Wałęsie i przeciw PSL, PSL więc tak samo, przeciw Wałęsie i przeciw SLD (obronnie), Unia Wolności stawiała opór prezydentowi i grała przeciw koalicji, Unia Pracy podobnie, a na boczku chciała jeszcze coś ugrać z Kuroniem... Grał jeszcze episkopat, acz dość wstydliwie, raczej kibicując prezydentowi. Prymas robił uwagi godne Lecha Falandysza, że litera prawa bywa nie dość twórcza, sekretarz zaś episkopatu nie wykluczał mediacji jeśli obie strony poproszą, ale nie poprosiły. Wszyscy wiedzą, że hierarchia myśli teraz tylko o konkordacie.

Czy Wałęsa naprawdę chciał rozwiązania parlamentu? Przecież — mówią statysci w sejmowej kawiarni — co by na tym wygrał? Otóż Wałęsa naprawdę chciał destabilizacji, rozsypania układu. Uderzenie w parlament wydało mu się dogodnym inwitem. A gdyby się udało? A, to byłoby zmartwienie na jutro. Już zresztą słychać, że należałoby... przełożyć wybory prezydenckie! (Wypowiedź Lecha Wałęsy z 12 lutego). Kolejny temat?

I tak to będzie się toczyć przez cały rok. Tyle tylko, że nagle 15 lutego Lech Falandysz podał się do dymisji. Przynajmniej o nim wiadomo więc, że przegrał. Jak teraz mówi, nie mógł już wytrzymać... Wachowskiego.

4.

Burzliwe tygodnie w Warszawie nie załatwiły dosłownie niczego.

Liberałowie z Unii Wolności zarzucają koalicji SLD z PSL, że ciężar chłopskich interesów paraliżuje w niej wolę reform i marszu do Europy. Ale zarazem, kiedy tylko mowa o zmianie koalicji na SLD-UW, ci sami ludzie krzyczą, że katolikom i solidarnościowcom nie po drodze jest z ekskomuchami, przynajmniej dopóki ci się „nie odetną”. Ależ to są teraz liberałowie i burzuje całą gębą, do Brukseli i Strasburga jeżdżą na kolację, od czegoż mają się odcinać? Czy panowie z Unii Wolności odcinają się od tego, że kiedyś zaklinali się na niesłuszny, rewindykacyjny, związek zawodowy Solidarność, który chciał naprawiać socjalizm na czele robotników z nieuchronnie deficytowych hut, kopalń i innych zbędnych fabryk? Wiele wskazuje, że nieprzejednana obcość większościowych frakcji UW i SLD mimo bliskości programowej i w istocie ideologicznej jest dziś po prostu funkcją konkurencji. Być może niezadługo okaże się, że umowa popłaca lepiej.

Kryzys rządowy zaszkodził podobno naszej opinii w Wa-

szynngtonie, Bonn, Paryżu i Brukseli. Możliwe. Ale jeśli ktoś twierdzi, że opóźnione w ten sposób zostało przyjęcie nas do NATO i Wspólnoty Europejskiej — nie wierzę. Nie wierzę w ogóle, że istnieje na którymkolwiek szczeblu decyzja przyjęcia nas do tych wspólnot, zwłaszcza zaś, że jej przyspieszenie zależy od naszej usługowej skwapliwości. Konsultowany przeze mnie w tej sprawie wysoki funkcjonariusz MSZ (z epoki po 1989) powiedział wprost, że NATO jest teraz zajęte debatą nad sensem własnego istnienia, że krystalizuje się oś Waszyngton-Bonn przeciw Paryżowi, który poszukuje przeciwwagi w Europie posowieckiej, ale widzi ją głównie w... Moskwie i że deklaracja Clinton-Kohl o tym, iż pierwszy realny termin rozszerzenia NATO to 2005, nie zawiera w istocie niczego nowego. Chcąc przystąpić do NATO będziemy może musieli wybierać między tymi różnymi koncepcjami Paktu. A tak czy inaczej czynnikiem decydującym będą stosunki z obszarem posowieckim, z Rosją i również z Ukrainą. Tymczasem w Warszawie prolegomena kryzysu przyniosły w tej sprawie tylko kompromitującą pyskówkę pomiędzy premierem Pawlakiem i ministrem spraw zagranicznych Olechowskim. Obaj wprawdzie są na wylocie, ale koncepcja jest nadal pilnie poszukiwana. Tymczasem w polskiej polityce wschodniej najaktywniejsze są, zdaje się, kresowe domy, Towarzystwo Przyjaciół Lwowa i trochę biznesmenów-ryzykantów przypominających traperów ze starych westernów. A jutro przyjeżdża Czernomyrdin i ma być finalizowany kontrakt stulecia na gazociąg Rosja-Polska-Niemcy. Wiem z MSZ, że strona polska nie usiłowała nawet złagodzić fatalnego wrażenia w Kijowie: gazociąg jest dla nas zapewne korzystny — ostatecznie mamy mieć podobno gwarancję dostaw 14 mld m³ gazu rocznie, ale Ukraińcom należały się przynajmniej konsultacje, bo oni boją się, że nasz rurociąg może się im zacisnąć na gardle. Ale w MSZ mówią, że Ukrainę to „u nas już skreślono”...

Stosunki ze Wspólnotą Europejską będą na dalszą metę tym aspektem naszej polityki zagranicznej, który odegra największą rolę w ukształtowaniu przyszłej Polski, gospodarczym i cywilizacyjnym. Od pięciu lat, niezależnie od tego, kto zasiada w rządzie w Warszawie, w stosunkach tych dominują liberałowie-konserwatyści, których ideologią gospodarczą jest anglosaski neomonetarizm, polityczną zaś szczególniej internacjonalizm elit. Mają oni wybitną zdolność niedostrzegania, że wprawdzie Polsce daleko jeszcze do zachodnioeuropejskiego dochodu narodowego na głowę, ale za to dorobiła się już

ona wszystkich prawie schorzeń aktualnego modelu cywilizacji zachodnioeuropejskiej, od bezrobocia, rosnącego marginesu społecznego ludzi zbędnych i coraz bardziej stromej piramidy dochodów aż po zatrucie środowiska i rozkradanie majątku narodowego.

Teoretycy komunizmu powoływali się niegdyś na model sowiecki, oczywiście idealizowany jako uniwersalnie ważny. Dokładnie tak samo postępują nasi liberałowie-konserwatyści z ułożonym przez siebie modelem świata zachodniego. Jeśli im powiecie, że na wydatki socjalne świat zachodni wydaje od 12% w Japonii i 15% w USA do 32% w Holandii i 34% w Szwecji produktu krajowego brutto, to zaraz wam odpowiedzą, że Holandia i Szwecja wkrótce upadną. Tymczasem raduje ich jako „zbliżenie do Zachodu” każdy z lawinowo się mnożących faktów prywatyzacji i komercjalizacji usług socjalnych w Polsce — od żłobków i przedszkoli po sanatoria, szpitale i zakłady pogrzebowe.

W obu przypadkach polityczne instytucje są po to, by stać na straży modelu. U komunistów była to Armia Czerwona, u liberałów zaś — demokracja. „Demokracja służyć ma budowaniu nowoczesnego państwa z gospodarką wolnorynkową” — orzekł stanowczo Janusz Lewandowski na Radzie UW 12 lutego.

I to byłoby dobrze, ale niestety demokracja nie wywiązuje się ze swych zadań. Janusz Lewandowski wybiera więc Wałęsę. Czekając na Pinochetą?

Warszawa, 16 lutego 1995

Krzysztof WOLICKI

Z ukosa

Siedząc przy komputerze sponad ekranu spoglądam w ciemne okno. Tam gdzie palą się światła jest pokój, z którego patrzył kiedyś w oczy tego mieszkania marszałek Rydz-Śmigły, co wiem z tablicy, którą niedawno wmurowano. Tam ukrywał się w czasie okupacji gdy wrócił do kraju, tam umarł. Z drugiej strony, w okna mojej sypialni patrzył Wańkowicz — a w latach 70-tych w tym właśnie po nim mieszkaniu

kwitł salon opozycyjny u Tadeusza Walendowskiego, gdzie czasami bywałem. Okna Śmigłego i „wańkowiczowego” salonu wydają mi się nieomal rówieśne w przeszłości. Pobliska brama MSW, gdzie mnie kiedyś wieźli w kajdankach już nie powoduje żadnych emocji. Ani oblicze tłumy, który o czwartej wylewa się z tego budynku, chociaż nadal poznaję po rysach twarzy ubeków — to rysy związane drutem.

A od siąsiadki z *Kultury* Ewy Berberyusz wiem, że podczas okupacji mieszkała w sąsiednim domu, w czasie powstania w tym kwartale działy się straszne rzeczy.

Pamięta je drzewo na które patrzę przez mroczne okno. Podcinane są jego gałęzie. Niechlujni chirurdzy uzbrojeni w piły robią to brutalnie, a ja czuję, że gałęzie powinno obcinać się z szacunkiem. Unieść się tyle lat ciężkiej pracy. Czy jednak lekarze przy stole operacyjnym wyluskujący rękę rzemieślnikowi lub pianiście czynią to z większym szacunkiem?

Widzę jak na podwórko wjeżdża czarny samochód o podejrzanym kształcie. Szeroko otwarto bramę. Na schodach zaczyna się gotować i z tego ciemnego wrzasku wychyla się jasna trumna. Wynoszą grubą sąsiadkę, pamiętam jak niedawno karmiła gołębie. Wokół krzątania żywych, jakby chciano zapomnieć o zwłokach, a spłoszone gołębie łopocą skrzydłami nie inaczej niż zawsze. Schodzę by odsunąć swój samochód, bo blokuje drogę pogrzebowemu wozowi. Przed swoją klatką schodową spotykam jedną z domowych staruszek.

— Czekasz pan na księdza? Ksiądz będzie chodził po kołędzie.

Nie czekam, bo gdybym spotkał księdza, to musiałbym mu powiedzieć o swoich zasadniczych wątpliwościach co do istnienia Stwórcy tego ludzkiego tworu, który mnie coraz bardziej gorszy. Cóż więc mam teraz odrzec sąsiadce? Dobre sąsiedzkie stosunki to sprawa godna pewnych kompromisów, więc coś burczę — popatrzyła badawczo...

— Wpuści pan księdza?

Mam ochotę krzyknąć — „daj mi głupia babo spokój” — ale konformizm bierze górę i wydałam z siebie jakiś wieloznaczny bełkot w nadziei, że nie stracę honoru. Po chwili poczułam, że jednak straciłam.

A mój kolega księdza z kołędą wpuścił i nawet ugościł kolacją. Mieszka na wsi gdzie taka wizyta ma wymiar wizyty głowy państwa. Opowiada, że ów proboszcz mając go za członka ustosunkowanego na dworze, wyraził nieśmiało życzenie, czy nie dałoby się załatwić w jego kościele wizyty Wałęsy?

Kolega nie w ciemię bity, zamiast przyznać, że przekracza to jego możliwości, pochylił się i szepnął do księdza — „czy to by księdzu przypadkiem nie zaszkodziło, teraz kiedy Prezydent bierze się za czuby z Premierem? Ksiądz przecie ma dobre stosunki z PSL-em? A i Panu Bogu zależy by co cesarskie oddać cesarzowi”.

Ksiądz miał wątpliwości czy w naszych warunkach cesarzem jest Premier czy Prezydent? Jednego był pewien. O Premiera już zadbał i przypomniał, że przemówił niedawno do parafian z ambony tymi oto słowy — „Premier to dobry katolik, był w naszej parafii i żarliwie się modlił za Polskę w towarzystwie szefa URMu Michała Strąka”.

— Ale to przecież proszę księdza złodzieje! — wykrzyknęła impulsywna żona kolegi, która co się kobietom zdarza, posiada naturę mało polityczną.

Ksiądz się zachnął, ale nie zaprzeczył tylko powiedział:

— Złodziej nie złodziej, lepszy już Pawlak niżby się znowu jakie żydzisko dorwało do władzy.

Żona kolegi nie miała litości dla księdza.

— Toż ludzie gadają, że Pawlak też Żyd.

— Jezus Maria, co pani powie!!! — przerażenie wzięło księdza w ramiona i uniosło do góry.

I tu moim zdaniem księdza miłosiernie oszczędzono. Bo zapadło głębokie milczenie, a przecież można było rzec, że w Warszawie mądrzy ludzie mówią, że są dowody, że Matka Boska też była Żydówką. Zgadza się jednak z kolegą, że pocziwe serce wiejskiego proboszcza mogłoby nie wytrzymać tak strasznej sensacji.

Oto jak się snuje nić polityki na polskiej prowincji, oplatając nawet wiejskie kościoły. To z tej wiejskiej prowincji wywodzi się premier i jego towarzystwo. Nawet życzliwi, mówią, że poziom umysłowy czołówki PSLu dorównuje partyjnym dołom z czasów rozkwitu PRLu.

A co do naszych księży? Szukałem długo inteligentnego księdza do programu telewizyjnego. Był to duży i jałowy trud. Owszem, jest kilku księży intelektualistów, ale oni są już tak publicznie zużyty, że mają sutanny w strzępach.

Najinteligentniejszy polski kapłan został papieżem. Patrzę ze wzruszeniem jak coraz trudniej mu się poruszać, jak coraz mocniej jest pochylony wiekiem, przecie nie tak zaawansowanym i przygarbionym światem. Ale nawet On ma w sobie jakąś polską skazę, przy całej swojej niezwykłości, jakiś rodzaj skostnienia i konserwatyzmu, co zaczyna szkodzić Kościołowi.

Pewien architekt zwraca mi uwagę na pojęcie „szarości” w Polsce. Nieustannie mówimy o różnych szarościach, że ten nasz kraj szary, szaro się żyje, a przyszłość jest jeśli nie w czarnych to w szarych barwach, gdy przeszłość była też szara. A szary to przecież nie jest zły kolor? Gorzej z szarością myślenia. Tak, tu jest problem. Szarość jest kolorem depresji. Zarazem jednak nie przypadkiem cudzoziemcom, a szczególnie wyciszonym ludom Północy, Polacy wydają się niezwykle pobabrani duchowo, a przez to barwni. Szarość jest tłem, gdy nasze kolory brykają na pierwszym planie. Tło jednak nieustannie nas sobą przytłacza. Czytam dwie nie najlepsze zresztą książki o aktorach, Zbyszku Cybulskim i Kalinie Jędrusik. I mam takie oto refleksje. Byli zdolni, ale niedorobieni. Pisałem o tym jako o polskiej cesze, może tak wszędzie, ale u nas to widać, to „nie do końca”, jakiś rodzaj autodestrukcji, rozbabrania.

Jędrusik i Cybulski uważali, że byli zagryzani przez innych, podczas gdy ja widzę wszędzie ślady ich własnych zębów.

Inna myśl — jak nabrały smaku te szare, okropne lata 50-te i 60-te. Nie tylko ładnie się zestarzał Pałac Kultury, ale nie do wiary, meble i wystrój wnętrza tamtego czasu, oraz życie artystyczne. Przy nim nasze kolorowe dzisiaj wydaje się szare. Ale to oczywiście tylko pozór, to zabieg idealizowania we wspomnieniu, patynowania przez czas, i efekt owada w bursztynie.

Widząc jak płonie miasto o groźnej nazwie Grozny, czuję mdły smak w ustach. Starzeję się, jestem taki rozsądny, roztopiła się moja młodość i romantyczna wiara. Żał mi jednak obrońców miasta, jak i żołnierzy rosyjskich, którzy są w wieku mojego syna. Poczucie absurdu, które nie wyciera z czarnej tablicy pytań o przyszłość Rosji. Czy to początek skurczów, które trapią ten rejon od stuleci. Kiedyś Czechenię pacyfikował Lew Tołstoj, co nie przeszkodziło mu pisać pięknych książek ujawniających absurd wojny. Ten sam jednak Tołstoj w czasie styczniowego powstania zdejmował ze ściany szablę. Jak głęboko jest skażony ten teren i skażony na niedemokratyczne odruchy? Czy Zachód ma karmić ten nędzny odwłok po ZSSR by nabrał rumieńców, i co wtedy uczyni? Czy raczej niech ginie we własnych odchodach. Tyłu tam ładnych ludzi mimo wszystko, więc jak można? Nie ma dobrego rozwiązania. To, że zdecydowana większość Rosjan jest przeciwna pacyfikacji Czechenii, jest

małym płomyczkiem światła w tym mroku.

Jelcyn, o twarzy, która zostawia coraz mniej wątpliwości, jaka to choroba go toczy — ta sama co cały ów spirytusowy rejon — gdy wznosi noworoczny toast uprzednio zaciskając pętlę na szyi stolicy Czeczenii — nagle zrzuca maskę liberała i staje w długim szeregu carów tej nieszczonej krainy, która nawet liberałów przerabia w carskie wieprze.

Ale tak naprawdę nie wirus totalitaryzmu toczy ten kraj, widać przecież odruchy inne, nawet niechęć do tej wojny, lęk przed nową formą braku wolności. Ten kraj podobnie jak Polskę, tylko o milę głębiej, toczy niekompetencja i bezradność. Nie ma chyba wątpliwości, że cały czeczeński absurd jest połączeniem kilku czynników, gdzie zasadniczą rolę gra niekompetencja, brak wyraźnych reguł gry w strukturach władzy, personalne rywalizacje. I jest jakiś element średniowieczny w dawnym imperium — każdy kto ma okrucieństwo chce być baronem i ze swoją świętą tworzyć własny rewir. Dudajew jest tu dobrym przykładem. W całym dawnym imperium działają siły odśrodkowe, które będą anarchizować ten obszar.

Generał Lebed' siedząc w koszarach, gdzieś w głębi Rosji, przyjmuje dziennikarzy i gapiąc się beczelnie w pysk kamery potępia najazd na Czeczenię. Kiedy mówi, że w Rosji nie ma demokracji — to ja przede wszystkim widzę, że nie ma już sowietyzmu. I że istnieje tam jakaś forma, może nie demokracji, ale wolności w ramach chaosu i anarchii. Bo oto generała nie postawią za chwilę przed egzekucyjnym plutonem. A te matki rosyjskich żołnierzy, które przedostają się do synów w czeczeńskiej — potem pod ostrzałem opowiadają jak dobrzy są Czeczeńcy dla jeńców. Co te sceny mają wspólnego z systemem leninowsko-stalinowskim? Jeśli ktoś powie, że w Rosji — „zmieniło się wszystko i nic” — to trzeba dodać, że to „wszystko” ma swoje wielkie ograniczenia, gdy „nic” zawiera w sobie bardzo wiele nowego.

Wszelkie miary przebrała koalicja rządowa promując na ministra obrony Longina Pastusiaka. Ten wytrzymał propagandzista, aktywny członek Partii, gromiący kiedyś imperializm i Pakt Atlantycki, ma teraz wprowadzać tam nasze wojska. Żali się, że jest na niego nagonka, bo jak można oceniać polityka za dawne jego uczynki.

Wysłuchałem na pewnym spotkaniu deklaracji odsyłania książeczek wojskowych jeśli Pastusiak zostanie ministrem. I tu

zaczyna się rodzić problem. Wałęsa i *Gazeta Wyborcza* namawiają do akcji obywatelskiego nieposłuszeństwa w sprawie podatków, teraz będziemy bimbać sobie na wojsko. Nie znoszę wojska, nawet bez Pastusiaka — ale przeraża mnie anarchizacja naszego życia, która znakomicie mieści się w szlacheckiej tradycji.

Były marszałek Sejmu mówi do mnie, jakby mimochodem — „do ducha polskiego narodu jakoś nie pasuje państwo...”. Bardzo trafne spostrzeżenie.

Zapach gierkowskiej epoki emanuje z Pawlaka i jego rządu. Jakby ktoś przez nieuwagę otworzył szafę gdzie wiszą stare garnitury Gierka, Babiucha i Jaroszewicza, z gnijącymi chusteczkami w klapach, którymi powiewali do 1-majowych tłumów.

Premier czyni wrażenie chronicznie przerażonego, niekompetentnego, zaciętego w sobie. A trzyma się władzy jak chłop swojej ziemi. Jego otoczenie nazywane jest potocznie „pawlakami”, mówi się „pawlaki” to, „pawlaki” tamto. Takie towarzysko-mafijne obsadzanie stanowisk ma u nas miejsce wszędzie i przy każdej zmianie. Teraz to jednak tak razi i krzyczy, bo poziom towarzystwa okropny. Znajomy, który był na przyjęciu, gdzie bawiła się góra PSLu, musiał nie tylko zjeść obiad, ale też połykać dowcipy opowiadane przy stole. Miał wrażenie, że jest w prowincjonalnym garnizonie, wśród wygłodniałych erotycznie oficerów niskiej rangi, którzy nie przejmują się nawet obecnością swoich żon by świntuszyć. To nie jest problem warszawskiego salonu — a myślenia o sprawach kraju na poziomie garnizonowym.

Cała wielka Trójca Polska, spojrzmy prawdzie w oczy, jest na poziomie doprawdy żalonym: Prezydent, Premier i Prymas. Przy najbardziej krytycznym wobec narodu polskiego stosunku, niech nikt nie ośmieli się powiedzieć, że nasz naród ma to, na co zasłużył.

Niesmak z powodu życia politycznego jest dolegliwością stałą, można to diagnozować jako „nieżyt polityczny”. Kogo nie spotykam co jest bliski polityki, to wygląda jak pasażer na statku w czasie sztormu. Więc by nie cierpieć na morską chorobę miliony ludzi w Polsce są coraz dalej od rozkołysania polityki. Ślamazarna bezradność całej tej sytuacji. Żyjemy coraz mniej sprawami publicznymi, bo one coraz mniejsze, co nie znaczy, że nie zależy od nich wiele.

Rozglądam się gdzie w tym wszystkim jest Unia? Po zranieniu Wałęsy na arenie telewizyjnego ekranu, Unici odpoczywają. A zdawało się, że teraz otwiera się dla nich pole.

Dla Unii została wytyczona droga między Wałęsą a koalicją rządową. Nie jest to szczęśliwa przestrzeń. Unii połknęli liberałów i nawet im się nie odbiło, jak niemowlęciu po karmieniu. Unia przy dużej głowie zdaje się cierpieć na uwiąd starczy, jakoś połączony z klimakterium. Kiedy spotykam znanego prawnika i posła Unii T. rozmawiamy o bezradności Unii, o naszej polskiej autodestrukcji. To banalne i oklepane tematy, jakbyśmy mówili o pogodzie.

Po latach wznowiono filozoficzne notatki Henryka Elzenberga „Kłopoty z istnieniem”. W roku 1922 zanotował: „W Polsce mało jest radości myślenia. We wszystkim, co ludzie tu myślą, jest przysmak jakiegoś skwaszenia, że bez tej kłopotliwej czynności tak już całkiem się obejść nie można”.

Pisałem kilkakrotnie o zakwaszeniu polskich dusz, więc z kwaśną satysfakcją trafiłem na ten fragment. Sama ta książka zresztą jest również dowodem tego problemu. Wiele tam pięknych spostrzeżeń, ale zanurzonych w smutnej i nieco kleistej substancji. Te myśli są jak piękne odwłoki na właśnie zbyt smutnych i za mało energicznych nogach.

Poeta żyjący w pierwszej połowie wieku XVII Maciej Sarbiewski, pisząc charakterystykę Polaków, trafia niemal we wszystkie nasze współczesne czułe punkty. Zanotujmy tylko jedną generalizację. „Chcieliby zawsze być czymś więcej, niż są, nigdy nie są z siebie zadowoleni”. Bez wątpienia, to przetrwało do dzisiaj.

Ludzie, mam wrażenie, sobie jakoś radzą, wielu radzi sobie coraz lepiej. Ale gdy dozorczyń (zwana teraz oficjalnie gospodynią domu — bo przecie szlachcianka zaściankowa nie może się nazywać dozorcą — gospodarz domu to brzmi arystokratycznie) przynosi mi nową potężną podwyżkę czynszu, to doprawdy nie wiem jak przeżyją okoliczne emerytki. Właściwie wiem, nie będą płacić. Weszła niedawno w życie nowa ustawa i my właściciele mieszkań będziemy teraz stanowić wspólnotę mieszkaniową. Właściwie mało kto póki co ma pojęcie jak to ma wyglądać. Jest jednak pewne, że to jedyna droga by cała ta nieszczęsna przestrzeń domowa i okolicydomowa, która ma widoczne gołym okiem cechy przestrzeni niczyjej, stała się naszą. Ale aż strach myśleć w jakich bólach będzie się ta nowa struktura rodzić.

To była przydługa dygresja przyklepiona do myśli, że ludzie sobie jednak jakoś radzą. Śluszenie ktoś zauważył, że społeczność nasza przeżyła ostatnio trzy stadia — nadzieję, depresję, a teraz jest okres przystosowania (dodam lekko de-

presyjny). Niebawem jest też dzisiaj różnicowanie opinii, postaw, odczuwania stanu rzeczy.

Najwięcej optymizmu spływa zawsze z rozmów z biznesmenami. Kiedy ponarzekać trochę na brak fachowego personelu, to potem przyznają, że powodzi im się coraz lepiej, że gospodarka Polska jednak idzie, czy pełnie do przodu. Nie kochają nowych rządów, ale uważają, że mechanizmy uruchomione pierwszym wielkim kopniakiem robią jednak swoje. Potwierdzają też moje intuicje, że brak fachowych kadr jest największym problemem naszego młodego kapitalizmu. Biznesmen B. opowiada mi, że braki są tak wielkie, że musiał nowemu pracownikowi od finansów dać żadaną przez niego pensję 120 milionów zł. Przypominam, że emerytura wynosi ok. 3 mln. A dobra pensja 10 mln.

To zabawne, że nie podaję cen w nowej formule po denominacji. Mimo śmiertelnego przerażenia starych ludzi już kursują nowe pieniądze bez czterech zer, ale wszyscy używają dawnej miary. Podobnie jak wiele ulic, mimo ich przemianowania kilka lat temu, nadal jest nazywanych imionami złej przeszłości. Czy nie podobnie został nam po komunizmie cały zestaw nawyków, które uruchamiamy nieświadomie?

Spotkanie z ludźmi, którzy już nie są bardzo młodzi. Szukają dla siebie politycznego miejsca. Uważają się za „inną prawicę”. Gniewa ich formacja, którą zbyt chyba łatwo nazywają lewicową, czyli „Unia Wolności”, niesmakiem napawa *Gazeta Wyborcza*, ale nasza aktywna politycznie prawica wydaje im się zaciętrzewiona, skłócona, niemądra i jak piszą „intelektualnie żałośnie mizerna”. Z ubolewaniem zauważają, że dawny dystans między lewicą a prawicą nie uległ zmniejszeniu. Wedle nich to lewica stworzyła obraz człowieka prawicy „jako paranoidalnego oszołoma”. Przyznają jednak, że często właśnie taka jest rzeczywistość. Dlatego wolą trzymać się „z dala od prawicowego piekielka zmieniających się kilka razy na miesiąc koalicji, sojuszy i bloków”.

Sami uważają się za „inaczej prawicowych” i nie widzą w nowym krajobrazie dla siebie miejsca. Ja szczerze mówiąc mam nieustanne kłopoty by ustalić obecnie, jak oni rozumieją tak zwaną lewicowość i tak zwaną prawicowość. Nie mogę ich nazwać młodymi, no powiedzmy „są młodszy” — gdy naprawdę młodzi mają gdzieś politykę, i co jest na lewo a co na prawo, chyba że po którejś z tych stron stoi piwo.

I nadal uparcie nie wiem na czym polega dzisiaj prawico-

wość tej inteligentnej „młodzieży” oprócz tego, że nie lubią *Gazety Wyborczej* i postkomunistów?

Spotkanie odbywa się w kościele, za ścianą trwa msza. Jest kilku panelistów, mówimy o PRLu — „społeczeństwo tamtego czasu, opór czy kolaboracja?” Nie ma nic innego do powiedzenia, niż kilka banalnych refleksji.

Był opór i była kolaboracja w kupie. Nieszczęsna ta nasza społeczność, tak doświadczona przez historię. Bo oto na gruzach tego kraju, na zwłokach bliskich nastał stalinizm, ze swoją nową zbrodnią. Potem gomułkowska zatęchłość, gierkowskie gnicie tylko w bardziej kolorowym opakowaniu, potem chrześzczący w zębach piaskiem cynizm ekipy Jaruzelskiego. Jak organizm wytrzyma taki płodozmian?

Jak dzisiaj oceniać, ważyć? Mam nieustannie wrażenie, że ci, którzy dzisiaj najgłośniejszą mówią o sprawiedliwości, najmniej chcą się dowiedzieć prawdy, najbardziej dolożyć, poniżyć, a przez to wywyżżyć innych. To niemal reguła. Biorę udział w programie telewizyjnym, świtem i na żywo — o artystach w PRLu. Słucham jak goszczący przede mną artyści — konformiści — opowiadają o swoim łajdactwie z wielkim zadowoleniem i bez cienia wyrzutów sumienia, na dodatek robią dzisiaj krociowe interesy. I nagle czuję jak niezwykle podnosi mi się ciśnienie, nagle rozumiem lustratorów i mam nieprzepatą ochotę by walić w te zakute, zadowolone z siebie konformistyczne łby. Ale czy sami nie doprowadziliśmy do tego, że oni mogą dzisiaj machać dumnie i publicznie swoimi ogonami?

A z tego spotkania w kościele musiałem wyjść wcześniej i udać się do teatru. Miałem szczęście. W samym finale gdy ruszono do płaszczy, które wisiały tuż obok w korytarzu, okazało się, że ich nie ma. Ukradziono kilkadziesiąt nakryć, spod nosa zgromadzonych, z głębokiego wnętrza kościoła! Oto nasze życie zrobiło ironiczny komentarz do tego spotkania.

Teatr, który ocalił mnie przed utratą płaszcza, a którego sztuczność mnie nuży, a więc jestem już ofiarą kina, które jest przecież jeszcze bardziej sztuczne, tylko pokryte diabelskim kamuflażem. Na spektaklu patrzę uparcie na wielką lampę na suficie. Gdyby spadła mielibyśmy teatr prawdziwy. Zastanawiam się, czy jej brzeg sięgnąłby moich kolan — bardzo istotna wydaje mi się odpowiedź na to pytanie.

Młode pokolenie, wracam do nich uparcie, nie tylko dlatego, że moja łódka odplynęła od tego brzegu, który nadal wi-

dzę przeszywająco wyraźnie a często mam wrażenie, że tam nadal stoję. I dziwię się, dlaczego inni mnie tam nie widzą?

Ma 23 lata i mówi — „Jestem ostatnim pokoleniem, które załapało się na wartości”. Uważa, że osobnicy ciut, ciut młodszy to już inny gatunek człowieka, „inna planeta, która przeraża, tak jest jałowa”. Inny sąd, również dość typowy w tym pokoleniu, i chyba też będący bardziej wizją niż prawdą: „Instytucja małżeństwa jest kompletnie skompromitowana”. Nie mogę nie zacytować jej słów Françoise Giroud (urodzona w 1916!) z niedawno wydanej u nas książki „Kobiety i mężczyźni”.

„W rezultacie może miłość jest tylko ozdobnym woalem skrywającym nieszczęście, a małżeństwo sposobem na samotne życie we dwoje, rozjaśnione przeblaskami łaski...”

Fascynuje mnie ta młoda generacja i czym wypełnią pierwsze dekady nowego tysiąclecia, co uczynią z tym krajem, tak poplątanym w sobie? Oni też mają poczucie, że Polska to szczególnie pobabrane miejsce, ale jakoś są z tego dumni. Jak to zdumiewająco przetrwało, owo poczucie naszej wyjątkowości, choćby w pobabraniu.

Kiedy inna młoda osoba mówi — „właściwie wszystko, co robiłam z dużym zaangażowaniem, było jakąś formą ucieczki” — mam wrażenie, że dotyka czegoś co jest zasadnicze w ludzkiej aktywności. A po chwili dodaje — „prawie nigdy nie wiedziałam przed czym uciekam. A przed czym ty teraz uciekasz?” Dobre pytanie.

Przed czym uciekają politycy? Patrząc na ich twarze, gdy wpadają w chwilę zaciętrzewienia, można stawiać diagnozy. Powszechna forma ucieczki — zmuszać innych do ucieczki.

Kiedy rozmawiam ze słynnym naszym psychoterapeutą i pytam — co najbardziej go uderza w (nowej) świadomości jego pacjentów? — mówi „kompletny brak jakichkolwiek autorytetów”. Potem, jako że sam bardzo wiele spraw załatwia, bo on biznesowy psychoterapeuta — opowiada, jak naruszone zostały w urzędach wszelkie dawne reguły gry i już nie wiadomo komu dać łapówkę, kto się obrazi, kto zagrozi policją, a kto z radością przyjmie. (To już doprawdy nie mój problem, pomyślałem). A kiedy przyznaje, że właściwie chciałby za jakiś czas wyjechać na stałe z Polski, do skandynawskiego kraju, na moje zdziwienie, że tam pusto i zimno, odpowiada — „ja właściwie nie lubię ludzi”.

Czyli nie można bezkarnie zwiedzać ludzkich komnat wypełnionych po brzegi duchowymi flakami.

Narzekań, które dotyczy nie tylko Polski — „że teraz jest szczególnie na świecie okropnie”. A przecież, gdy popatrzy się na współczesność i przeszłość przez lodowe okulary, to widać jak na dłoni, że nigdy nie było tak ludzko, luksusowo, sensownie i przyjemnie jak dzisiaj. Jak prostytutka jest podobno najstarszym zawodem świata, tak nie ma wątpliwości, że najstarszym zajęciem intelektualistów jest skarga, że kończy się dramatycznie dawny lepszy świat, a ten nowy jest bardziej płaski, głupi i podły.

A jednak jest wielki problem — jego istota, to wypatroszenie z duchowości, z magii, z wiary oraz ideologii — przynajmniej w naszym kręgu cywilizacji, który może złudnie wydaje nam się najważniejszy. Jesteśmy jak zarżnięty kurczak bez nadzienia. „Po co się żyje” — oto pytanie, które zadają sobie dzisiaj nawet dzieci, a ich rodzice nie potrafią na nie odpowiedzieć. Kiedyś nie było wolnej przestrzeni i czasu na takie pytania. Znano odpowiedź, albo nie pytano.

Kiedy w towarzystwie młodzieży spaceruję ulicami pewnego polskiego miasta średniej wielkości nadal mrocznymi o tej porze roku, mówią mi — „nikt z nas nie wie po co to wszystko, nikt nie widzi sensu”.

Zachodzimy do dyskoteki, która jest miejscem spotkań skinów, wewnątrz nad drzwiami ktoś nabazgrał — „tylko dla Polaków”. Wymóżdzenie i jakaś forma rozpaczki emanuje z głów, nie zawsze ostrzyżonych. Niedawno na rynku doszło do spotkania kilkusetosobowych grup skinów i antyskinów, czyli punków i anarchistów. W ostatniej chwili policji udało się rozdzielić obie grupy.

Ludzie, nawet chodzący co tydzień do kościoła już nie wierzą w życie pozagrobowe. To koniec XX wieku ujawnił nam, że żyjemy pod gigantyczną ścianą, że nasze rakiety wysyłane ku Jowiszowi nie potrafią nawet zarysować kosmosu. Dlatego nie mam wątpliwości, że największe osiągnięcie XX wieku to odkrycie innego kosmosu. Tego wewnętrznego. A pierwszy krok zrobił tu Freud. Najłatwiej mi dzisiaj czytać sprawozdania i refleksje z tych podróży. Oczywiście literatura od dawna wysyłała swoje pierwsze sondy, lecz dzisiaj te wyprawy idą o wiele dalej.

Architekt Naczelny Warszawy opowiada mi, że obserwując grę o to miasto, ma wrażenie, że setki rekinów rozrywa ciało kaszalota. Mówi, „Nie ma już poczucia dobra publicznego, zdechło”, on, rzecz jasna, też oskarżany o różne grzechy, głównie grzechy zaniechania. Ale każdy kto u nas

dzisiaj na górze nie wyjdzie z presji władzy choćby bez jakiegokolwiek uszkodzenia.

Obiecowałem kiedyś, że będę obserwował losy ministra więziennictwa Pawła Moczydłowskiego, niezwykle kompetentnego, uczciwego i odważnego polityka. Mając te wszystkie „przywary”, niezwykle długo utrzymał się na stanowisku, pewnie dlatego, że mało kto chce być szefem Hadesu. I właśnie teraz udało mu się ostatecznie podać do dymisji. Miał dosyć. Podanie się do dymisji — jak rzadki gest w Polsce, gdzie panuje epidemia niepodawania się do dymisji, nawet po publicznym udowodnieniu kumoterstwa i przekupstwa. (Np. minister Podkański).

Następna dymisja dotyczy Andrzeja Olechowskiego, już chyba ostatniego kompetentnego ministra w tym rządzie. Ma w sobie coś męskiego, nie tylko dzięki 2 metrom wzrostu i marsowej twarzy, gdy nasi politycy to wiejskie baby przebrane w garnitury, w gorsetach które kryją wzdęcia godnościowe. Olechowski sprawia wrażenie faceta jak na Polskę wyjątkowo dobrze pozbieranego i trzeźwego — tu gdzie nawet trzeźwi sprawiają wrażenie pijanych. Jego oceny rządu w którym był do wczoraj są spokojne ale druzgocące.

Małe kwalifikacje intelektualne, brak energii, jakaś straszliwa trudność podjęcia decyzji, od razu pot na czole — to są cechy premiera, które każdy widzi. Ten wielce niepewny siebie człowiek, który ilekroć widziany publicznie wydaje się zaszczuty przez kamery i dziennikarzy, zarazem jako Premier, chce wszystko sam. Problem, że Wałęsa też chce wszystko sam. Wstrząsająca sprawa — na czele tego kraju stoi dwóch ludzi jakoś ograniczonych umysłowo, z poczuciem, że oni wszystko muszą sami.

Olechowski mówi: „To Pawlak podejmuje decyzje. Nie ma głosowań”. Dalej tłumaczy chorobliwy brak decyzji tego rządu w wielu zasadniczych dla kraju sprawach. Pawlak nie chce ryzykować, „chce wyłącznie wygrywać. Rusza więc tylko takie sprawy, które gładko przechodzą, a tych trudnych nie podnosi”.

Przykro mi za stereotyp, ale to bardzo chłopskie cechy. Dalej Olechowski opowiada o nałogowym obsadzaniu stołków przez PSL, wedle niego SLD tak się nie pcha. Mówi o koncepcji PSLu, „Polski-mocarstwa regionalnego”, czyli niechęci do Polski w NATO i we Wspólnocie Europejskiej, są też liczne fobie antyniemieckie. Natomiast „SLD jest niechętny Zachodowi” i wedle byłego ministra „oni nigdy nie będą przekonani do opcji zachodniej”.

Olechowski tak podsumowuje sytuację polityczną w RP, „władza wykorzystywana jest otwarcie do zdobywania lub umacniania korzyści partyjnych lub osobistych (...) powszechnie działa się w myśl zasady 'czyja Polska', a nie 'jaka Polska'”.

Czy nie ma więc racji Prezydent, że próbuje obalić ten rząd? Paradoks — bo ma i nie ma. Ma, ponieważ Pawlak jest do szybkiej wymiany a rząd fatalny i w sobie skłócony. Nie ma — bo jest Wałęsą z bagażem swoich koszmarnych wad, a naszego prawa łamać nie wolno bo i tak cierpi na zwapnienie kości. Okropna sytuacja.

Postkomuniści kopani przez Prezydenta zwierają szeregi, by zaraz na śmierć się pokłócić. I pomyśleć mają taką przewagę w parlamencie, tyle atutów, a dali się przestraszyć jak dzieci. Problem, że bardzo niewygodnie jest w łóżku PSLowskim chłopom z SLDowskimi postkomunistycznymi biznesmenami. Ludzie SLD po prostu gardzą swoim chłopskim partnerem, to widać nawet po twarzach gdy siedzą razem. Nic dziwnego, że co chwila dochodzi do nowych nieporozumień — co za fatalne małżeństwo z publicznymi awanturami. Lecz by rozwód był możliwy trzeba mieć się gdzie wyprowadzić.

Czyli Wałęsa ma rację, że gniewa się na koalicję postkomunistów, ale co z tego, skoro ta jego racja jest tak nieporadna i brzydka. I widać gołym okiem, że postkomuniści są mu potrzebni jak ściana pełna luster, w której chce zwielokrotnić swoje odbicie.

Wielkie strachy na Lachy, ma być rozwiązany parlament, maca się jednostki nadwiślańskie, czy to będzie zamach stanu? Marszałek Sejmu, były komunista Oleksy, na którego łysinie można by usmażyć jajecznicę dla nie jednego rządu, ostrzega, że rozwiązany parlament się nie rozwiąże.

Posłowie spędzający nocę by bronić parlamentu, oto nasza Czechenia, do której jak to u nas nieuchronnie wkradnie się groteska. Prezydent mówi, że jak rozwiąże „to będzie zamach, ale na łobuzów”. Wielkie dyskusje naszych polityków, ekspertów, nadymają policzki, marszczą czoła — czy Prezydent chce łamać prawo? Wnioski, że nie wolno łamać prawa, prawo jest najważniejsze. Jednocześnie wszyscy się zgadzają, że nasze prawa są do luftu.

Nawet Unia Wolności krzyczy, że trzeba będzie bronić parlamentu własną piersią. Nawet politycy prawicy bronią znienawidzonego parlamentu przed Prezydentem, bo wolą postkomunistów od Wałęsy — ale tego nie powiedzą, powie-

dzą, że bronią prawa. Unia Wolności i prawica są doprawdy w sytuacji tragicomicznej. Kto by wymyślił tak okrutnie pokraczną figurę. Muszą bronić postkomunistów przed dyktatorskimi zapędami Prezydenta, by ten nie był wiecznym Prezydentem. I by bronić demokratycznych zasad. A w ten sposób chronią postkomunistów, którzy rządzą fatalnie — tu w pełni zgadzają się z Prezydentem. Problem, że Wałęsa traktuje Polskę, jak swój folwark, z którego nie może odejść, bo wszystkie kury i krowy wyzdychają. Pojawia się cień Piłsudskiego z karykaturalnym profilem — „gdyby na moim miejscu był Piłsudski, już dawno by...” — mówi Wałęsa. Wspaniała scena z marszałkiem Małachowskim, który robi mu moralny wykład. „Niech pan odpocznie. Dlaczego w tych strasznych nerwach musi Pan wprawiać całą Rzeczpospolitą w jakiś szaleńczy bieg”. Widzę jak Wałęsa nagle zmienia się w karcone dziecko, wzbiera w nim wściekłość, że jest upupiany, krzyczy: „Proszę nie dotykać prezydenta, nie wchodzić mu na odcisk. Bo jak przydzwonię, to będzie źle!” Potem całkiem rozsądnie, „gdyby Pan marszałek miał zostać prezydentem, to ja wyjeżdżam z kraju...” Oto co nieustannie chodzi po głowie Wałęsie — kto go chce podsiąść.

Bogdan Borusewicz, teraz UW, który kiedyś właściwie stworzył Wałęsę, wynalazł go w stoczni i pchnął przez mur, pytany — do czego zmierza Prezydent? ma prostą odpowiedź — „do utrzymania i utrwalenia swej prezydentury”. Prezydent występuje na publicznej scenie kilku kabaretów politycznych, spotkanie z Konwentem Seniorów to był dopiero cyrk — aż cisną się na usta słowa — szkoda żeście państwo tego nie widzieli. Można powiedzieć, że Wałęsa zafundował sobie za darmo kampanię prezydencką, ale kto kupi ten styl doprawdy, jak się kiedyś mówiło, „spod budki z piwem” (teraz mamy już puby). To jednak jest nie tylko zabawne. Są niestety dowody, że Prezydent wpłatał już armię do polityki, że prawdą są rewelacje prasy, że jeden z jego planów, to mianowanie generała Wileckiego na premiera. Ślusznie uważa, że po rozwiązaniu parlamentu, armia po zostanie jedyną realną siłą w kraju. Wałęsa też częściowo stworzony przez stan wojenny, który zostawił trwałą bliznę w nas wszystkich. Wchodzimy na niezwykle delikatny teren, gdzie nawet wojskowe miny mają ironiczne miny.

Wydaje się, że temat, czy nasza demokracja jest zagrożona, został już przemieleny. Kotlet z tego powstały też ma usta i mówi — „jest zagrożona, ale... bez przesady”. Jest zagrożona, bo wszystko się paskudzi, politycy skompromito-

wani, korupcja, egoizm, bezradność, złe prawa, a naród uważa, że politycy zasłużyli na wielkiego kopa. Problem, że chcieliby kopnąć sami, a nie by kopał Wałęsa, który sam zasłużył na kopa. Nikt na górze nie ma przywileju na kopanie. Niech już więc tak będzie jak jest — mówi wielu ludzi — lepiej tego nie ruszać, byle był spokój.

Ale oto po pytaniu o zagrożenie demokracji stawia się pytanie jeszcze bardziej dramatyczne — „czy grozi nam wojna domowa?” Humorystyczne pytanie. Co najwyżej pobiją się posłowie, bo z dołu społeczeństwo patrzy na ten spektakl i nic nie kapuje. „Biją się o stołki” ktoś mówi, „szkoda, że nie stołkami, byłoby ciekawiej” — ktoś dodaje.

Trudno sobie wyobrazić by dzisiejsza Polska była nie-demokratyczna, by Wałęsa był dyktatorem, czy ktokolwiek inny, kto w zasięgu wzroku. Tak demokracja jak jej brak musi mieć ludzi i narzędzia, by swój stan utrzymać. Skoro skorodowane są narzędzia demokracji, a nie ma nigdzie narzędzi jej braku, czy istnieje jakaś trzecia możliwość?

7 lutego 1995

SMECZ

Upadek prasy tygodniowej

Bez wątpliwości jedną z ważnych tradycji polskiego życia literackiego jest istnienie społeczno-politycznych pism tygodniowych. Tak było w dwudziestolecu międzywojennym, tak było i po wojnie. Sieć tych pism — raz mniejsza, kiedy indziej większa, odgrywała ważną rolę w kształtowaniu wymiany myśli, inicjowaniu polemik i dyskusji o kulturze i życiu społecznym. Można, oczywiście, różnie oceniać całą prasę powojenną, jednak nie ulega wątpliwości, że ona właśnie w dużej mierze wyznaczała dynamikę życia intelektualnego kraju.

Upadek prasy tygodniowej był skutkiem wprowadzenia stanu wojennego. Dawne redakcje w większości zostały rozwiązane lub przekształcone, niemal wszystkie zaś objęte zostały akcją bojkotu. Wydawać się zatem mogło, iż zachodzące w końcu dziewiętej dekady przemiany polityczne — jeszcze przed obradami „okrągłego stołu” — doprowadzą do zmiany sytuacji w

ruchu prasowym. I tak właśnie się na początku działo: zaświadczały to takie inicjatywy, jak próba reaktywowania *Po Prostu* czy powoływanie takich redakcji jak *Potop* czy *Tygodnik Literacki*. Ostatnimi Mohikanami tego procesu były w ubiegłym roku dwa pisma — *Przegląd Literacki* w Warszawie oraz krakowska *Dekada Literacka*. *Przegląd* zawiesił swą działalność w czerwcu, *Dekada* uczyniła to samo w listopadzie.

Można by zapewne zaryzykować tezę, że zmienia się model prasy tygodniowej w Polsce. W miejsce — by przywołać szacowną tradycję — pism w rodzaju *Wiadomości Literackich* pojawiają się kolorowe tygodniki wzorowane na *Der Spiegel* czy *Time*, w których całkowicie dominują sprawy polityki i życia społecznego, zaś kultura zajmuje, czasem spory, ale jednak tylko margines. Ma to zapewne coś wspólnego z przekroczeniem kolejnego progu umasowienia kultury w Polsce. Jest to jednak teza mocno, jak mniemam, dyskusyjna.

Rzecz w tym, iż potrzeba tygodników z całą pewnością istnieje. Nie ma natomiast środków finansowych na ich utrzymanie. W notkach redakcyjnych zarówno *Przeglądu Literackiego* i *Dekady* ten aspekt wysuwany jest na pierwsze miejsce. Redakcja *Dekady* uprzedzając czytelników o zawieszeniu swej działalności podkreśla, że — poza drobnymi zapomogami — nie cieszyła się specjalną uwagą władz miasta. Innych sponsorów nie udało się pismu pozyskać. Po wydaniu więc setnego numeru, co w obecnych warunkach jest w Polsce niewątpliwie sukcesem, redaktorzy zmuszeni zostali do rezygnacji. O tyle szkoda, iż wśród tygodników było to bez wątpienia pismo, które dorobiło się już pewnej tradycji, skupiło wokół siebie grupę autorów, było otwarte na dyskusje i polemiki, także na debiuty. To wszystko odłożyć dziś trzeba *ad acta*.

Zapewne — jest to efekt zachodzących przemian: na rynku, jeśli nie będą dotowani, utrzymają się tylko najsilniejsi. Samodzielny tygodnik szans nie ma — musi mieć oparcie bądź w większym koncernie prasowym, bądź w dotacjach z zewnątrz. Utrzymanie się ze sprzedaży jest nieomal niemożliwe — tak ze względu na rozpad sieci kolportażu, jak na zubożenie czytającej publiczności, której nie stać na kupowanie kilku tytułów.

Próżni nie ma. Miejsce tych, którzy schodzą z rynku, zajmują następcy. Tak też było i w roku ubiegłym, w którym powstały dwa pisma — pierwszym jest poznański *Nowy Nurt*, pismo redagowane dość chaotycznie, bez wyraźnego profilu (trudno za cechę charakterystyczną uznać deklarowany przez redakcję bunt przeciw mitycznym „salonom” — tę etykietkę przykleja sobie dziś niemal każdy), drugim pismem są warszawskie *Wiadomości Kulturalne* hojnie wyposażone na drogę przez ministra Dejmkę i z pewnością nie muszące martwić się o przetrwanie.

Powołanie tego ostatniego pisma poprzedziła dość żywa i ostra dyskusja. Dotyczyła przede wszystkim powołania redaktora naczelnego, cała sprawa ma jednak wymiar znacznie poważniejszy, dotyczy bowiem stosunku do państwa i jego instytucji, które przez cały czas po zmianach politycznych traktowane są jako domena partyjna. Dyskutanci podnosili niestosowność powoływania redakcji z klucza zwycięskiej lewicy. Odpowiadano im, że lewica wybory wygrała i ma zatem mandat do takiego właśnie postępowania. Rzecz w tym, że pieniądze na pismo nie pochodzą z kas SLD czy PSL, lecz z kasy publicznej. W takim wypadku byłoby rzeczą właściwą traktowanie stanowiska redaktora naczelnego jako stanowiska urzędnika państwowego i obsadzenie go w drodze konkursu. Uczyniono inaczej i doprowadzono do kolejnego rozłamu środowiskowego: pismo jest dość skutecznie bojkotowane. (Nawiasem mówiąc, zarówno w *Nowym Nurcie* i *Wiadomościach Kulturalnych* jako pierwsi zameldowali się ci pisarze, którzy z równą gorliwością wsparli stanowojenne *Tu i Teraz* Kazimierza Koźniewskiego — wydaje się to dość symptomatyczne).

Nie chcę w żadnej mierze negować potrzeby istnienia takiego właśnie pisma. Przeciwnie — w obecnej sytuacji jest rzeczą rozsądną wyłożenie z kasy państwowej pieniędzy na utrzymanie redakcji pisma docierającego do wszystkich ośrodków w kraju i rzetelnie informującego o tym, co się dzieje w świecie kultury. Jest natomiast nadużyciem tworzenie pisma przyporządkowanego jednej tylko opcji politycznej i przez jej przedstawicieli kontrolowanego. Nie od rzeczy jest też tu okoliczność, iż *Wiadomości* oferują jak na polskie warunki bardzo wysokie honoraria, mają zapewnioną długą egzystencję i doskonały kolportaż — część przynajmniej z tych sum można było przeznaczyć na utrzymanie już istniejących i osadzonych na rynku czytelniczym czasopism, choćby właśnie *Dekady*. Ale to nie wchodzi w grę tam, gdzie dąży się przede wszystkim do wyszarpania możliwie największego „postawu sukna”. Taka polityka kulturalna jest arogancją demonstracją braku kultury politycznej.

Leszek SZARUGA

Sprawy i troski

Historia i przyszłość Puszczy Białowieskiej

„Polska upadła. Przyglądając się bezstronnie 400-letniemu panowaniu polskiemu, musi jednak myśliwy złożyć Polakom szczerze podziękowanie. Zniszczona i zubożała w las i zwierzyne Puszcza bądź co bądź ocalała, ocalał też i żubr, którego nigdzie w Europie nie zdołali ustrzec. Zawdzięcza to puszcza swym królom”.

„Zniszczyć ją było łatwo, zaś dla człowieka żadnego zysków — nawet ponętne, wszak nigdzie nie było tak wartościowego lasu jak w Białowieży; doskonale były również warunki transportu drewna wobec licznych rzek spławnych z systemem Narewki na czele. Lecz zdawano sobie sprawę czym jest Białowieża, toteż nie zdecydowano się jej zniszczyć gwoździ jednorazowych zysków; pamiętano, że tam polował Jagiełło i jego potomkowie, Batory i wielu innych, o których z dumą wspominają Polacy”.

„Ten sam duch dbałości o puszcę nie wygaś nigdy wśród najbliższych obrońców Puszczy — strażnicy leśnej; przeświadczenie bowiem, że las, zwierzęta, a zwłaszcza żubry, stanowią dobro królewskie, wstrzymało wielu od nadużyć, niezależnie od strachu przed karą”.

Georgij Karcew, kamerjunkier Mikołaja II i dziejopisarz Puszczy Białowieskiej (cytaty wg. „Dziejów Puszczy Białowieskiej w Polsce Przedrozbiorowej” Ottona Hedemanna).

Prasa informuje o umieraniu Puszczy Białowieskiej, w polskich mediach trwa spór czy podejmowane przez administrację środki zaradcze mają rzeczywiście niezbędny, sanitarny charakter czy są jedynie zręcznym kamuflażem rabunkowej gospodarki leśnej. Opinie wydają się zgodne co do nadmiernej eksploatacji tej

części puszczy, która nie jest parkiem narodowym (a więc przeszło dziewięćdziesięciu procent polskiej części puszczy). Szczególnie niepokojące są informacje o nieodwracalnym zaburzeniu równowagi puszczańskiej ekologii bądź poprzez zachwianie struktury gatunkowej i wiekowej lasów, bądź poprzez naruszenie jej stosunków wodnych. Jak słusznie zauważali przyrodnicy Polski międzywojennej „Puszcza Białowieska jest obiektem przyrody powstałym w przeciągu tysiącleci, który przy nieodpowiedniej gospodarce może być zrujnowany w przeciągu lat kilkunastu”. U zarania niepodległości w trakcie dyskusji na temat zagospodarowania białowieskich lasów redakcja *Lasu Polskiego* wydrukowała słowa, które powinny stać się mottem polityki leśnej każdego polskiego rządu: „Puszczy Białowieskiej nie można zaliczyć całkowicie do obiektów gospodarczo-dochodowych. Znaczenie jej jako pomnika przyrody, jako obiektu naukowego, obiektu zadowalającego estetyczne i duchowe potrzeby człowieka, podkreślane jest wszędzie w literaturze i uznane na całym świecie; to zmusza nas do zaliczenia jej w poczet obiektów chluby narodowej”. Przyrodnicze walory puszczy są powszechnie znane, jej położenie na szczycie europejskiego działu wodnego, linie graniczne zasięgów kilku najważniejszych roślin europejskich cisa, jodły, bluszczu, dębu bezszypułkowego, ostoja żubra, występowanie ostatniego europejskiego lasu pierwotnego (jego pierwotny charakter wykazał w latach dwudziestych poprzez badania fitosociologiczne i fitogeograficzne, sponzorowane przez Narodowy Fundusz Kultury, profesor Józef Paczoski). Historia badania Puszczy jest zresztą ważnym elementem historii polskiego przyrodoznawstwa, by wspomnieć prace Giliberta, Wileńskiej Szkoły Botanicznej, doświadczenia restytucyjne nad żubrem i tarpanem, a także jakże ważne choć często niedoceniane badania przyrodników amatorów jak np. udane prace nad krzyżowaniem żubra z bydłem domowym prowadzone w połowie dziewiętnastego wieku przez ziemianina z Wileńszczyzny Leopolda Walickiego. O wadze Puszczy Białowieskiej decydują także jej związki z historią Litwy i Polski. Zmagania o uratowanie tego wyjątkowego obiektu trwają już kilka stuleci.

Otton Hedemann, syn duńskiego inżyniera meliorującego Polesie, po relegacji za działalność polityczną ze studiów na Uniwersytecie Kijowskim, prowadził gospodarstwo swojego ojca pod Homlem. W 1922 roku otrzymał posadę nauczyciela w szkole powszechnej w Bracławiu. Nieuleczalnie chory przeniósł się do Wilna, aby ostatnie lata swojego życia poświęcić badaniom dziejów Puszczy Białowieskiej w Rzeczypospolitej przedrozbiorowej. Jego kilkuletniej, niestety przerwanej śmiercią pracy, zawdzięczamy studium historii ostatniej europejskiej ostoi prądawnych lasów. Powstanie „Dziejów Puszczy Białowieskiej w

Polsce Przedrozbiorowej” było możliwe dzięki pomocy finansowej Narodowego Funduszu Kultury. Od wieków wyjątkowość Puszczy kojarzy się nie tylko z jej unikalnym charakterem przyrodniczym, ale także ze związkami z historią Wielkiego Księstwa Litewskiego i Rzeczypospolitej. Do dzisiaj nie wiadomo kiedy dokładnie rozpoczęła się kolonizacja Puszczy przez człowieka. Do trzynastego wieku zamieszkiwali ją Jadzwingowie. W 1827 roku poszukiwacze skarbu znaleźli przedchrześcijańskie miejsca pochówku. W okresie kolonizacji litewskiej początkowo Puszcza należała do książąt wołyńskich. Później Giedymin podarował ją Kiejstutowi jako dodatek do Trok, kolejnym właścicielem białowieskich lasów został Wielki Książę Witold. Od wieków Korona pretendowała do własności puszczy wysyłając osadników i organizując polskie prawodawstwo. W siedemnastym wieku las ten wszedł w skład województwa brzeskiego, a zachodnia ściana puszczy była granicą Litwy i Korony. Królowie dbali o las często wchodząc w konflikty z magnatami i ze szlachecką bracią w sprawie przywilejów eksploatacyjnych i tytułów własności, by wspomnieć choćby spory Zygmunta Augusta z „wchodnikami”.

Z puszczy pozyskiwano drewno, potaż (najprawdopodobniej najstarsza z działalności przemysłowych Białowieży), dziegieć, smołę, węgiel drzewny (w 1796 roku na terenie puszczy działały 82 piece), żelazo z rudy błotnej, tytoń, łuczywo, orzechy, grzyby, barszcz, wypasano bydło, budowano młyny i karczmy. Przywileje użytkowe były regulowane szeregiem praw, nierzadko strzeżonych przez społeczność puszczy jak kopy bartnickie (sądy pszczelarskie). Użytkownicy wnosili opłaty w naturze, jak np. „kury łyczne”, zobowiązani byli także do poszanowania puszczańskiej przyrody, prawo zobowiązywało np. bartników do takiej eksploatacji „aby w zwierzu i drzewie nie działa się żadna szkoda”. Polowania białowieskie należały do największych w Europie. Władysław Kopaliński uważa, że największe polowanie w dziejach Polski urządził w Białowieży August III w 1752 roku. Przypuszczać jednak można, że ośmiodniowe polowanie Jagiełły w 1409 roku, opisane przez Długosza, niczym nie ustępowało saskiemu. Zasolone mięso wysłano do Płocka aby stworzyć zapas na przyszłą wojnę z Krzyżakami.

Pomimo wielowiekowej eksploatacji leśnej największe straty ponosiła puszcza w wyniku wojen i katastrof, jakie nawiedzały polsko-litewskie państwo. Hedemann odnalazł dokumenty świadczące o stratach jakie puszcza poniosła w rezultacie szwedzkiego potopu, wojen moskiewskich, postojów chorągwi tatarskich Abramowicza i Asanowicza. Inwentarz Puszczy Białowieskiej z 1670 roku zawierał informacje o skali degradacji gospodarki leśnej w Białowieży, kiedy to „nawet dzikie barcie poniszczają”.

Za każdym razem gdy w historii Polski podnosiły się głosy o uzdrowienie ustroju Rzeczypospolitej zyskiwała na tym Puszcza, tak było gdy w drugim roku panowania Stanisława Augusta sekretarz łowiecki Jego Królewskiej Mości, Godfryd Henryk Harnak nawoływał do ograniczenia i kontrolowania magnackich przywilejów. O racjonalną gospodarkę zabiegał królewski minister Antoni Tyzenhauz. Królowie polscy i książęta litewscy otaczali zwierzęta ochroną. Żubra podobnie jak i bobry ochraniano już na początku szesnastego wieku. O Puszczę i jej mieszkańców dbano nawet w okresach wojny. Zachował się list hetmana Sapiehy z odsieczy smoleńskiej adresowany do rotmistrza Godebskiego z poleceniem, by nie ciemnić leśnictwa białowieskiego nadmiernymi żadaniami dostaw żywności. To dzięki wielowiekowej trosce królewskiej pomimo obcych najazdów i prywaty magnackiej puszcza zachowała swój pierwotny charakter do tego stopnia, iż jak ujął to Hedemann: „Jeśli chodzi ściśle o Puszczę Białowieską, to wszystko wskazuje na to, że zarząd dóbr stołowych przekazał ją w roku 1795 rządowi rosyjskiemu mniej więcej w takim samym stanie, w jakim otrzymał w roku 1589”. Ten sam autor ocenia iż „pierwsze trzy lata gospodarki rosyjskiej zadały Puszczę Białowieskiej krzywdę większą, niż poprzednie trzy stulecia gospodarki polskiej”. Oprócz plagi głodu jaki nawiedził Rzeczypospolitą wkrótce po objęciu zarządu przez Rosjan i problemów przygranicznych (granica zaborów przebiegała przez Puszczę) najgłębniejszy wpływ miało rozgrabianie dóbr królewskich i rozdawnictwo Puszczy pomiędzy carskich faworytów nierzadko jako wynagrodzenie za tłumienie Powstania Kościuszkowskiego. Puszcza płaciła także cenę za rosyjską politykę ekspansjonistyczną na morzach. Już w 1795 carskie ukazy zabraniały eksportu drzewa nadającego się do budowy okrętów. Na niewiele zdawał się patriotyczny bojkot leśnych starostów informujących carską administrację, „że w zniszczonych lasach nie ma grubszego drzewa”. Nie bez przyczyny wspominając świetność litewskich puszczy pisał Mickiewicz w „Panu Tadeuszu”:

„Pomniki nasze! ileż co roku was pożera
Kupiecka lub rządowa, moskiewska siekiera”

Józef Władysław Kobyłański, biograf barona Brinkena, Naczelnego Nadleśnego Królestwa Polskiego w latach 1818-1833, odnalazł i przypomniał rzadki dokument. Jest to skarga urzędników Korpusu Leśnego skierowana do Ministra Prezydującego w Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu w sprawie korupcji, niegospodarności i pospolitych kradzieży dokonywanych przez barona Brinkena. Śledztwo przeprowadzone przez komisję rządową

wykazało zasadność zarzutów skargi i doprowadziło do natychmiastowego zawieszenia Naczelnego Leśnego. Skorumpowany urzędnik powrócił do łask wraz z upadkiem Powstania Listopadowego i zajęciem Warszawy przez rosyjską armię. Bezczelność Brinkena była tak duża, że poszukując w Niemczech współpracowników nie wymagał od nich kwalifikacji (choć sam był absolwentem Uniwersytetu w Getyndze i dwóch akademii leśnych oraz autorem nagrodzonej przez cara pierścieniem brylantowym, interesującej pracy *Mémoire Descriptif sur la forêt impériale de Bialowieza en Lithuanie*), a jedynie „umiejętności mydlenia Polakom oczu”. W okresie pierwszej wojny światowej Niemcy wywieźli z Puszczy około pięciu milionów sześciennych drzewa. Zbudowali oni i pozostawili w dodatku szereg nowoczesnych urządzeń przemysłowych przeznaczonych do eksploatacji i obróbki drewna. W okresie nieistnienia państwa polskiego i rabunkowej rosyjsko-niemieckiej gospodarki obszar Puszczy Białowieskiej zmniejszył się co najmniej o kilkadziesiąt tysięcy hektarów. Z Puszczy zniknęło wielu opisywanych uprzednio jego mieszkańców, bóbr, żubr, niedźwiedź, soból, łosie. Pomimo to bogactwo przyrodnicze puszczy było tak znaczne, że jak przedstawia to Konrad Wróblewski, autor monografii o żubrze, opisujący je leśnicy mieli kłopoty, ponieważ klasyczna nomenklatura leśna nie wystarczała i konieczne było odwołanie się do kategorii botanicznych stworzonych przez botanikę ludową.

Jeszcze trwała wojna gdy do Białowieży dotarli pierwsi przyrodnicy zarówno botanicy jak i zoologowie, by zapewnić Puszczę należyłą ochronę ze strony nowo powstającego państwa polskiego, już w 1919 roku wydano pierwsze zarządzenia ochronne. Władysław Szafer wspomina swoje pierwsze wyjazdy do Białowieży wypełnionej hukiem działań wojennych, konieczność zdobywania specjalnych przepustek od władz wojskowych i noclegi na kamiennych posadzkach opuszczonych domów. Rozumiano konieczność wykorzystania białowieskiego drewna do odbudowy zniszczonego kraju i przez to ograniczony charakter strefy objętej ochroną (dzisiaj sytuacja Polski jest nieporównywalna i strefa Parku Narodowego mogłaby być rozszerzona bez większego uszczerbku dla gospodarki). Władysław Szafer zabiegał aby Park Narodowy objął 40 tysięcy hektarów, zdołał uzyskać tylko około pięciu tysięcy. Pierwszym kierownikiem Parku Narodowego (nazwy tej konsekwentnie używali polscy przyrodnicy nawet przed jej formalnym uzyskaniem przez rezerwat w 1932 roku) został Józef Paczoski. Na tym niełatwym stanowisku wytrwał do 1928 roku, kiedy to został odwołany w wyniku niekompetencji niektórych urzędników ministerialnych i intryg miejscowej administracji leśnej niezadowolonej z utraty możliwości eksploatacyjnych, związanej z rygorystycznym przestrzeganiem

przez profesora zasad ochrony rezerwatu. W pierwszym okresie niepodległości władze zawiedzione naiwnym mirażem dobrodziejstw sprowadzania obcego kapitału z państw wysoko rozwiniętych technologicznie wydzierzały część lasów angielskiej spółce Century. Rabunkowa, niszcząca gospodarka prowadzona przez „wysoko rozwinięty technicznie” kapitał zmusiła polski rząd do wypowiedzenia umowy i zapłacenia wysokich odszkodowań.

Puszcza Białowieska dotrwała do naszych czasów choć znacząca jej część znajduje się dzisiaj poza granicami Polski. Nie zniszczyły jej ani rabunkowa gospodarka niemiecka, ani często fatalna polityka PRL. Jej obecność nakłada na Polskę szczególną odpowiedzialność uratowania tego kompleksu leśnego (ochrona nie może ograniczać się jedynie do Parku Biosfery uznanego i w pewnym stopniu kontrolowanego przez międzynarodową społeczność). Odpowiedzialność tym większą, że Puszcza stanowi część „zielonych płuc” Polski neutralizujących w znacznym stopniu skutki części zanieczyszczeń. Z radością należy powitać polsko-białoruską współpracę w ochronie Puszczy (wspólny Park Narodowy) i należy dążyć do jej rozszerzenia na inne kraje regionu, zwłaszcza na państwa bałtyckie i okręg królewiecki, aby objęła całość kompleksów leśnych regionu. Zagłada Puszczy spowodowana bezmyślną polityką byłaby polską i międzynarodową tragedią, której należy uniknąć za wszelką cenę (zwłaszcza utraty niewielkich doraźnych wpływów eksploatacyjnych). Otto Hedemann podkreślał, że najczarniejsze lata lasów białowieskich związane były w historii z obcymi okupacjami, że polskolitewskie państwo chroniło Puszcę. Miejmy nadzieję, że władze Niepodległej Polski nie będą zachowywać się wobec Białowieży jak władze okupacyjne.

Piotr DASZKIEWICZ

O religii bez namaszczenia

Rachunek sumienia Kościoła?

1.

W artykule o „Książce papieża”, który ukazał się w grudniowym numerze *Kultury*, wspomniałem o zamiarze papieża przeprowadzenia u progu trzeciego tysiąclecia chrześcijaństwa generalnego rachunku sumienia Kościoła, otwartego przyznania się do jego historycznych win i błędów. Powitałem oczywiście tę myśl z należnym jej podziwem i entuzjazmem, równocześnie zdając sobie sprawę z olbrzymich trudności, natury psychologicznej, społecznej i duszpasterskiej, na jakie wykonanie takiego zamiaru musiałoby natrafić. Bo oznaczałoby to, jak się wówczas wyraziłem, „radykalne przeoranie kościelnej mentalności”; byłby to zatem akt na miarę II Soboru Watykańskiego. Opierałem się w tym jednak tylko na doniesieniach prasowych, z natury rzeczy nieprecyzyjnych. Była wśród tych doniesień wiadomość, że są w otoczeniu papieża ludzie, którzy są tej idei przeciwni, podobnie jak w swoim czasie byli ludzie przeciwni idei Jana XXIII zwołania soboru. Wyraziłem więc obawę, że myśl papieża może spalić na panewce i skończyć się jakimś mało znaczącym kosmetycznym zabiegiem.

Od tego czasu został ogłoszony List Apostolski Jana Pawła II *Tertio Millennio Adveniente* na temat przygotowań do obchodu wielkiego jubileuszu chrześcijaństwa w roku 2000 i wyrażone w artykule obawy okazały się (jak dotychczas) uzasadnione. Dlatego i znak zapytania w tytule obecnego artykułu też jest (jeszcze) uzasadniony. List mówi bardzo niewiele na temat ewentualnego rachunku sumienia Kościoła i to, co mówi, w niczym nie odbiega od konwencjonalnych formuł stwierdzających grzeszność ludzi Kościoła, lecz nie

dopuszczających myśli, że mógł zgrzeszyć sam Kościół jako instytucja. Papież wspomina w tym dokumencie, że zasięgał opinii przewodniczących krajowych episkopatów i zwłaszcza kardynałów na specjalnie zwołanym w tym celu konsystorzu w dniach 13 i 14 czerwca; być może więc, że List Apostolski jest kompromisem z krytykami pierwotnego zamiaru papieża, który mógł iść znacznie dalej. W każdym razie, sądząc z Listu, na żadne radykalne przeoranie mentalności kościelnej się nie zanosi. Najwyżej List Apostolski da asumpt do publicznej debaty na ten temat — ostatecznie pozostało jeszcze kilka lat do roku 2000 — ale, sądząc z charakteru proponowanych przygotowań do wielkiego jubileuszu, i to jest mało prawdopodobne. Przygotowania te mają się odbyć w dwóch fazach. Pierwsza faza od 1994 do 1996 ma istotnie zawierać pewne elementy kościelnej samokrytyki, a druga od 1997 do 1999 ma mieć charakter teologicznej refleksji, koncentrującej się kolejno w poszczególnych latach na osobach Syna Bożego, Ducha św. i Boga Ojca (w tej kolejności). Wreszcie rok 2000 ma być rokiem Trójcy Św., uroczystości skupionych głównie w Ziemi Świętej i w Rzymie, oraz wielkiego „spotkania wszystkich chrześcijan”.

Charakter samokrytyki Kościoła, jaką proponuje List Apostolski, dobrze oddaje następujący cytat z ustępu 33 (tłumacząc z tekstu angielskiego):

Dlatego słuszne jest, by w okresie poprzedzającym koniec Drugiego Tysiąclecia Chryścijaństwa Kościół stał się bardziej świadom grzeszności swoich dzieci, wspominając te okresy historii, w których postępowały one w sposób sprzeczny z duchem Chrystusa i Ewangelii i, zamiast dawać światu świadectwo życia tchnącego wartościami wiary, dawali upust myślom i czynom zakrawającym na anty-swiadectwo i skandal.

Chociaż Kościół przez swoje włączenie w Chrystusa jest święty, to jednak nigdy nie ustaje on w czynieniu pokuty i zawsze uznaje swoich grzesznych synów i córki za swe własne dzieci.

Uderza bezbolesna ogólnikowość tego pokutnego wyznania. I nie jest ono niczym nowym, jak o tym świadczy następujący zaraz po tych słowach cytat z soborowej konstytucji *Lumen Gentium*, który mówi z grubsza to samo. Znamienne jest, że Kościół czyni to wyznanie, słowami papieża i soboru, w imieniu swoich grzesznych dzieci, nie w imieniu

instytucji. Istotne zaś jest, że ludzie Kościoła grzeszyli właśnie w imię Kościoła jako instytucji, rzekomo dla jego dobra. Grzeszyli również jako jednostki ulegając swym osobistym pokusom, ale nie to jest najbardziej gorszące. Gorszące jest, że ludzie Kościoła grzeszyli jako duszpasterze, nakazując wiernym czynić zło i usprawiedliwając to zło fałszywą nauką, jakoby taka rzekomo była wola Boża, że *Bóg tak chce*, jak wołał papież Urban II, wzywając do pierwszej wyprawy krzyżowej przeciwko niewiernym. Inkwizycja działała w imieniu Kościoła i palono ludzi na stosie na żądanie Kościoła. O tym, niestety, nie ma w Liście Apostolskim mowy. Oczywiście papież, tak samo jak każdy biskup, kapłan i wierny, jest świadom tego historycznego zła. W Liście Apostolskim zdaje się o tym świadczyć fakt, że papież w dalszej części tego samego ustępu 33 pisze, że chodzi mu zwłaszcza o to *co się wydarzyło* (jak to ostrożnie sformułował) w ciągu ostatnich dziesięciu stuleci. Nie znaczy to oczywiście, by przed rokiem 1000 podobnie ciemnych kart w historii Kościoła nie było. Zaczęło się to, z grubsza mówiąc, od czasów konstantyńskich, gdy Kościół ostatecznie wyszedł z katakumb i z miejsca stał się polityczną potęgą. Ta okoliczność ma dla rachunku sumienia Kościoła szczególne znaczenie, o którym więcej poniżej.

W kolejnych ustępach tego samego rozdziału papież omawia pewne określone grzechy przeszłości — i teraźniejszości. Na pierwszym miejscu wymienia brak jedności chrześcijaństwa i cytuje odpowiednią deklarację soborową, która powiada, że „czasami winę za to ponosiły obie strony”. Nie widać z tego, na czym konkretnie wina za brak jedności miałyby polegać i jak należałoby ją naprawić. Z kolei w ustępie 35 mamy następną winę, którą był zwłaszcza w niektórych stuleciach „brak tolerancji i nawet stosowanie przemocy w służbie prawdy”. Jest to dziwnie dwuznaczne sformułowanie, bo słowa „w służbie prawdy” wyglądają na częściowe usprawiedliwienie nietolerancji i przemocy. Okolicznością łagodzącą miał być klimat kulturalny tych czasów, który sprawiał, że ludzie uważali za słuszne dawanie świadectwa prawdzie przez stosowanie przemocy. I znowu winni byli tylko ludzie, a nie ma wzmianki o tym, że byli to ludzie reprezentujący instytucję Kościoła i odpowiedzialni za Kościół. W kolejnym ustępie 36 papież już przechodzi do grzechów teraźniejszości. Tu na pierwszym miejscu jest grzech, który oczywiście nie obciąża ludzi kierujących Kościołem, lecz zwykłych ludzi. Bo tym grzechem jest „*obojętność religijna*”, która sprawia, że

ludzie żyją jak gdyby nie było Boga albo są tylko powierzchownie religijni i nie są zainteresowani w dochodzeniu do transcendentalnej prawdy. Jest wielu chrześcijan, skarży się papież, którzy nie są zainteresowani kwestią „*teologicznej poprawności swej wiary*”. A przyczyną tego wszystkiego ma być „*kryzys posłuszeństwa wobec magisterium Kościoła*”.

W ten sposób zrobiliśmy koło i wróciliśmy do punktu wyjścia. Głównym i bodaj jedynym grzechem kościelnej przeszłości i teraźniejszości według Listu Apostolskiego okazuje się być brak jedności chrześcijaństwa, jedności pojętej jako posłuszeństwo wobec magisterium Kościoła czyli w ostatecznej instancji wobec papieża. W rzeczy samej papież Jan Paweł II ledwie dostrzega istnienie w świecie innych wyznań poza rzymskim katolicyzmem — mimo słów o winie po obu stronach, mimo wzmianek o ekumenizmie czy o wielkim spotkaniu wszystkich chrześcijan w roku 2000. List nie wymienia z nazwy żadnego innego chrześcijańskiego wyznania; jeśli nie mówi nic o ich poszczególnych grzechach, to pomija milczeniem także ich pozytywny wkład do dwutysiącletniej historii Kościoła. I w celebracji tego dwutysiąclecia wyznaniom nie pozostającym w łączności z Rzymem papież wyznacza całkowicie bierną rolę.

2.

Ale nie mogę poprzestać na samej krytyce papieskiego Listu. Sama tylko krytyka jest destrukcyjna i pozostawia zły smak w ustach. Nadchodzący przełom tysiącleci jest momentem niezwykle istotnym i to, co papież mówi o symbolicznym znaczeniu tego momentu, jest równie istotne. W religii czas ma swój aspekt świętości. Już w Starym Testamencie nie tylko co siódmy dzień był święty, ale także co siódmy rok, w którym ziemi pozwalano leżeć odłogiem i niewolnik odzyskiwał wolność. Tak się zrodziła tradycja okresowych religijnych jubileuszów. Rok 2000 będzie szczególnie wielkim, bo rzadkim, jubileuszem, rocznicą Wcielenia, kiedy Słowo stało się Ciałem i czas, jak pisze papież, *stał się wymiarem Boga, który jest wieczny* (10). Taki jest religijny sens momentu, który dla niechrześcijan jest tylko mechaniczną konsekwencją faktu, że liczymy lata systemem dziesiętnym i że w tym liczeniu doszliśmy do okrągłej liczby 2000. Dla chrześcijan nie jest ważne, że Jezus narodził się prawdopodobnie na kilka lat przed początkiem naszej ery: o tyle chrześcijanie robią ustępstwo na rzecz konwencji. Dla niechrześcijan nie jest ważne, że nasz system liczenia lat upa-

miętnia jednak rok urodzenia Jezusa z Nazaretu; o tyle, przyjmując ten system, czynią ustępstwo na rzecz chrześcijańskiej religii, jej szczególnego znaczenia w dziejach cywilizacji.

Nasuwa się tu refleksja, że w porównaniu z czasem, w jakim ludzkość, *homo sapiens* istnieje na ziemi, okres 2000 lat jest stosunkowo bardzo krótki. Ludzkość istnieje przynajmniej kilkadziesiąt tysięcy lat, jeśli nie więcej, a zatem istnieli ludzie, w pełnym tego słowa znaczeniu ludzie, na tyle lat przed Chrystusem i nawet przed Abrahamem. (A cały czas istnienia ludzkości jest proporcjonalnie równie krótkim ułamkiem czasu istnienia wysoko zorganizowanego życia, skoro epoka samych tylko dinozaurów trwała co najmniej sto milionów lat. Ale to nawias). Warto uprzytomnić sobie jak krótka w tym kontekście jest archeologiczna pamięć ludzkości, o ile jeszcze krótsza jest pamięć historyczna, i jeszcze krótsza pamięć pisana. Dla chrześcijan jest ważne, że w tym kontekście Jezus narodził się zaledwie wczoraj i całe 2000 lat chrześcijaństwa jawią się nam jako zaledwie początek jego historii. Dla chrześcijan, jak dla wszystkich ludzi religijnych, ta refleksja jest istotna, bo religia jest sferą nie tyle faktów co wartości absolutnych. Bóg chrześcijan to nie tylko Bóg i Ojciec Jezusa, i nie tylko Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba, ale i Bóg ludzi z pieczary Cro-Magnon, ludzi epoki kamiennej, także Bóg Neandertalczyków. Innymi słowy jest On bez porównania większy i wrażliwszy niż się nam jawi w modlitwie wieczornej czy nawet w kościele. Tym samym także Jezus jest dla chrześcijan bez porównania większy i świętszy niż to potrafi sobie uprzytomnić nasza pobożna wyobraźnia.

Zdaje mi się, że te refleksje nie są bez znaczenia dla nękającego nas problemu rachunku sumienia Kościoła przed wielkim jubileuszem roku 2000. Dla problemu naszych grzechów *kościelnych*, grzeszności Kościoła, nie tylko ludzi Kościoła i szeregowych wiernych. Przede wszystkim Kościół jawi się nam jako wciąż jeszcze bardzo młody, jako społeczność, która wciąż jeszcze dopiero się uczy tajemnic Objawienia i radosnych lecz trudnych przykazań Ewangelii. Po drugie, Kościół jako dziedzic Ewangelii Chrystusa okazuje się również dziedzicem całej tej mieszaniny świętości i zbrodni, wszystkich najwznioślejszych i najniższych archetypów, które składają się na dzieje ludzkości od najpierwotniejszego Adama (Adam znaczy człowiek). Ludzie zawsze byli jednostkami, ale zawsze też byli społecznością; grzeszyli indywidualnie, ale grzeszyli także społecznie, także jako Kościół.

Nieszczęściem Kościoła było, że po kilku stuleciach głębokiej penetracji starożytnego świata wyłącznie „ubogimi” środkami perswazji stał się nagle, na początku IV wieku, potęgą polityczną, dysponującą wszystkimi środkami ustawowego i fizycznego przymusu. Pokusa szybkiego stworzenia tymi środkami powszechnej i jednolitej katolickiej *Civitas Dei* okazała się zbyt silna i odtąd ta polityczna ambicja panowania współistnieje w Kościele, i wciąż konkuruje, z ewangeliczną ambicją służenia Bogu i bliźniemu. Jedno wyklucza drugie, bo oczywiście niemożliwe jest stosowanie przemocy „w służbie prawdy”. A jednak współistnieje ze sobą to bardzo ludzkie, jeśli nie aż szatańskie zło i prawdziwa świętość. I nie jest to tylko katechizmowa, teoretyczna świętość, ale świętość jak najbardziej autentyczna, bo nikt nie może zaprzeczyć, że Kościół mimo wszystko nigdy nie przestał spełniać swego ewangelicznego posłannictwa. Mimo wojen religijnych i palenia heretyków na stosie, mimo nietolerancji i sekciarskiego fanatyzmu — może nie tyle mimo co — *obok* tego wszystkiego. Mamy tu jeszcze jeden z licznych paradoksów chrześcijaństwa; uznanie współistnienia zła i dobra w Kościele jest po prostu przejawem chrześcijańskiego realizmu.

Dziś potęga polityczna Kościoła i stosowanie przez Kościół przemocy należy w dużej mierze do przeszłości. Ale nie całkiem. W tym zastrzeżeniu nie chodzi mi tyle o fakt istnienia szczątkowego państwa kościelnego ani o związany z tym znacznie bardziej ważki fakt istnienia kościelnej służby dyplomatycznej (w postaci nuncjatur), ani wreszcie o również szczątkowy już dziś zwyczaj zawierania, tam gdzie to jest jeszcze możliwe, konkordatów. Takie *quasi*-państwowo-prawne pozostałości istnieją także w innych wyznaniach, głównie w kościele anglikańskim w Anglii (ale nie w innych krajach wspólnoty anglikańskiej). Wszystko to jest historycznym dziedzictwem dawnej *quasi*-państwowej struktury nie podzielonego ongiś rzymskiego Kościoła Katolickiego, a po jego podziale również prawosławia. I wszystko to jest teraz w stopniowym zaniku. Nowoczesne chrześcijaństwo działa — a mam tu na myśli zarówno chrześcijaństwo katolickie jak i protestanckie, prawosławne i inne — tylko i wyłącznie mocą przekonującą głoszonej prawdy. Charakter dzisiejszego świata jest taki, że o religijności czy areligijności dorosłego człowieka decyduje tylko jego osobiste wewnętrzne przekonanie. I rzeczą Kościoła jest tylko głoszenie swojego chrześcijańskiego przekonania i zaszczepianie go tym, do których wnętrza zdoła ono autentycznie przemówić.

Nie jest to wcale zadanie minimalistyczne. Wprost przeciwnie, cały autentyczny stan posiadania (jeśli się tak można wyrazić) chrześcijaństwa w dzisiejszym świecie tylko tą drogą został osiągnięty; wszystko inne było (jak to papież słusznie mówi w Liście Apostolskim) antyświadcstwem i ten stan posiadania faktycznie pomniejszało. To był właśnie ten nurt świętości płynący w historii Kościoła obok i przeciw nurtowi politycznej instytucyjnej ambicji. Jeśli ten święty nurt dał ten wynik, że tylko jego kontynuowanie jest we współczesnym świecie możliwe, to dlatego że przemówił on do przekonania pozakościelnemu świeckiemu światu, do tego stopnia, że innego podejścia ten świat już nie akceptuje. Innymi słowy, świecki świat uznał za swoje pewne zasadnicze chrześcijańskie wartości — poszanowanie człowieka, poszanowanie prawdy, troskę o człowieka, jego wolność, supremację sumienia — które Kościół chrześcijański (wbrew swym własnym pokusom) przez dwa tysiące lat wiernie głosił*. To jest największy triumf Kościoła, choć w annałach kościelnych ten triumf jest słabo zapisany. Przekonania ludzi i ich moralne standardy są mniej wymierne niż, dajmy na to, liczba ochrzczonych czy praktykujących.

Jednak nadal jest rozpowszechnione w Kościele — i traktowane jako rzecz całkowicie normalna — stosowanie presji moralnych i moralnych sankcji nie tyle w interesie prawdy i zasad życia chrześcijańskiego co w interesie instytucjonalnej dyscypliny i organizacyjnej zwartości Kościoła — czyli w interesie władzy duchownej, co znowu nadaje im charakter polityczny. Przykładów jest mnóstwo — od lokalnych nakazań i wymagań stawianych indywidualnym wiernym aż po rzekomo zawsze nieomyłne orzeczenia papieskie czy dykasterii watykańskich. Nie ma dostatecznej świadomości, że wszelki dyktat moralny, poparty autorytetem sukni duchownej czy urzędu nauczycielskiego Kościoła, może być równie dobrze słuszny jak niesłuszny i musi dlatego być podporządkowany nakazom indywidualnego sumienia i zbiorowego sumienia *consensus Ecclesiae*. Nie ma tej świadomości, mimo że soborowa deklaracja o wolności religijnej *Dignitatis humanae* ten prymat sumienia, po raz pierwszy bodaj w historii

* Oczywiście idealizuję tu ten „świecki świat”. Ten świat też ulega pokusom (nie mniej niż instytucjonalny Kościół), ale przynajmniej wie i potrafi ocenić (chyba dzięki Kościołowi, dzięki chrześcijaństwu) co jest dobre i święte. Jego hipokryzja, jak to już dawno zauważył francuski mędrzec, jest holdem złożonym przez występki cnoty.

Kościół, dobitnie podkreśla. Chrześcijanina nigdy nie obowiązuje ślepe posłuszeństwo, także wobec władzy duchownej. Dlatego jest rzeczą zupełnie niezrozumiałą, że List Apostolski papieża wśród grzechów Kościoła (dzisiejszego) wymienia „*kryzys posłuszeństwa wobec magisterium Kościoła*”. Jak gdyby najgorsze akty nietolerancji i przemocy w dziejach Kościoła, które papież gdzie indziej potępia, nie były wynikiem błędnych decyzji władz kościelnych i ślepego posłuszeństwa ich wykonawców. Kryje się za tym przedziwna teza, że zbawienie ludzkości dokonuje się przez zaszeregowanie ludzi w ramach zwartej, odgórnie kierowanej organizacji, która jedna tylko jest w stanie zaaplikować im zbawienną naukę. Jest to właściwie odwrócenie ewangelicznej nauki, według której pierwszym krokiem do zbawienia jest przemiana indywidualnych ludzkich serc, *metanoia*. W każdym razie zbliża się to niebezpiecznie do charakteru politycznych ideologii, w których doktryna służy jako uzasadnienie istnienia władzy.

Nieszczęściem Kościoła było, że na początku IV wieku za panowania cesarza Konstantyna Kościół stał się nagle polityczną potęgą. Już w poprzednim artykule wspomniałem, że dokonanie rachunku sumienia Kościoła u progu trzeciego tysiąclecia oznaczałoby radykalne przeoranie kościelnej mentalności. Z obecnych rozważań zdaje się wynikać, że to przeoranie mentalności polegałoby głównie na pewnym odpolitycznieniu Kościoła. Ale zdaje się wynikać także i to, że takie odpolitycznienie już się od pewnego czasu dokonuje. Potężnym krokiem naprzód na tej drodze była, przy wszystkich swoich grzechach Reformacja, która była w równej mierze buntem politycznym co religijnym. Dalszym krokiem naprzód był niedawny Sobór, głównie przez rewaluację pojęcia Ludu Bożego i wprowadzenie zasady kolegialności w rządach Kościołem, ale także przez nowe ustosunkowanie się do rzeczywistości świeckiej, do innych wyznań chrześcijańskich i sprawy wolności sumienia. I teraz do daty wielkiego jubileuszu chrześcijaństwa pozostało jeszcze pięć lat. Pierwotna myśl papieża dokonania rachunku sumienia Kościoła za dwa minione tysiąclecia zasługuje na ponowne przemyślenie. Jest jeszcze czas na napisanie nowego Listu Apostolskiego. Nade wszystko nadszedł czas na przeprowadzenie szerokiej debaty na ten temat. Bo chodzi o rachunek sumienia nie tylko grzesznych jednostek czy tylko kościelnej hierarchii, ale całego Ludu Bożego. Po tym rachunku sumienia łatwiej będzie ludziom uwierzyć, że Kościół chrześcijański

ma jeszcze przed sobą dalsze tysiąclecia i że wreszcie pycha żywota, nietolerancja i przemoc znikną z życia ludzkości w ogóle, tak jak znikły z życia Kościoła.

Antoni POSPIESZALSKI

Postscriptum

Zaszły ostatnio dwa wydarzenia, jedno w kraju drugie za granicą, które zdają się świadczyć, że myśl o instytucjonalnym rachunku sumienia jest hierarchii kościelnej dosyć obca i że troska o instytucję jest nadal stawiana na pierwszym miejscu przed troską o ludzi, którym Kościół ma służyć. Pierwszym z tych wydarzeń była rocznica Świąteczna Orkiestra Pomocy, wielka akcja charytatywna zorganizowana przez Jerzego Owsiańskiego, do której hierarchia z małymi wyjątkami odniosła się z całkowitą obojętnością, a przynajmniej w jednym przypadku wprost wrogo. Mam tu na myśli znane wystąpienie biskupa kieleckiego, który zarzucił Owsiańskiemu „granie na ludzkich uczuciach w okresie świątecznym i laicyzację działalności charytatywnej”.

Drugim wydarzeniem było zwolnienie przez Watykan biskupa Jacquesa Gaillota ze stanowiska ordynariusza diecezji Evreux we Francji. Ta decyzja wywołała prawdziwą burzę na całym świecie. Sprawa była tak szeroko relacjonowana i komentowana, że nie ma potrzeby tego wszystkiego powtarzać. Istotne jest, że i tu interes Kościoła jako instytucji został postawiony przed i ponad ewangelicznym zadaniem, któremu Kościół ma służyć i które stanowi rację jego istnienia. I tak dekret o zwolnieniu biskupa stwierdza w ostatnim punkcie (5), że „biskup Gaillot okazał się niezdolny do pełnienia *posługi jedności, co jest pierwszym obowiązkiem biskupa*” (podkreślenie moje — AP). Dekret słowem nie wspomina o ofiarnej posłudze biskupa na rzecz ubogich, chorych, upośledzonych, zwłaszcza ludzi z marginesu społecznego jak chorzy na AIDS i homoseksualistów, oraz ludzi, którzy (jak to wielokrotnie stwierdzał) sami nigdy do Kościoła nie zajrzą. To właśnie zyskało mu ogromny mir wśród wiernych jego diecezji i wśród niewierzących. Z dekretu wynika, że przełożeni wprost mu takiej działalności zakazywali, bo czytamy tam, że „Ojciec Święty przy okazji wizyty *ad limina apostolorum* skierował do niego surowe ostrzeżenie, by więcej nie działał na zewnątrz wspólnoty kościelnej” (3).

Czyli obowiązkiem biskupa jest służyć tylko wspólnocie kościelnej, nie zaś ludziom pozostającym poza Kościołem. Nie jest to chyba zgodne z Ewangelią.

Ten dramatyczny akt obrony jedności Kościoła wywołał głęboki rozłam w Kościele Francji; wielu biskupów (m.in. Marsylii, Cambrai, Lille, St. Briec) stanęło otwarcie w obronie swego inkryminowanego brata w biskupstwie. Podobnie wiele wybitnych osobistości, duchownych i świeckich, poza granicami Francji. O tyle doszła znowu do głosu proklamowana przez sobór zasada kolegiałności, tak bardzo w praktycznym życiu posoborowego Kościoła zaniedbana, i zasada, w tej samej konstytucji soborowej uwypuklona, że Kościół to nie tylko hierarchia, ale cały Lud Boży. Toteż cały Lud Boży, łącznie ze świeckimi, powinien mieć swój udział w rachunku sumienia Kościoła u progu trzeciego tysiąclecia.

A. P.

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Sąsiedzi

Notatki rosyjskie

Równo dwa miesiące temu zakończyłem „Rosyjskie notatki” informacją, że Borys Jelcyn podpisał 9 grudnia 1994 ukaz, nakazujący użycie „wszelkich środków” dla „rozbrojenia nielegalnych ugrupowań wojskowych” w Czeczenii. Zaczęła się wojna. Trwa już dwa miesiące. Końca jej nie widać. Stolica Czeczenii Grozny, siedziba 600 tysięcy ludzi, leży w gruzach. Liczba ofiar przekroczyła, według niektórych obliczeń, 25 tysięcy. Większość stanowią cywile. Liczba uciekinierów sięga setek tysięcy.

Wojna w Czeczenii stała się decydującym czynnikiem rosyjskiej polityki wewnętrznej. Przede wszystkim podzieliła społeczeństwo rosyjskie. W parlamencie radykalnie zmieniły się stanowiska: frakcje projelcynowskie wypowiedziały się przeciwko wojnie, Żyrynowski i komuniści poparli prezydenta. Krwawe porażki pierwszych ataków, trudna ofensywa i duże straty w Groznych, którego zażarcie bronią Czeczeńcy, pozwalają zwolennikom wojny oskarżać jej przeciwników o zdradę narodu. Poseł do Dumy Siergiej Kowalow, wybrany w swoim czasie pełnomocnikiem do spraw praw ludzkich, spędził okres niszczycielskich nalotów w Groznych, a po powrocie próbował zrelacjonować kolegom posłom, co tam widział. Został przez większość dosłownie opluty. Wyzwisk, jakimi go obrzucono, zagraniczni korespondenci nie byli w stanie przełożyć na żaden język.

Niektóre gazety i periodyki krytykują wojnę, w telewizji zdarzały się relacje z terenów walk. Także niektórzy generałowie — co jest niewątpliwie zjawiskiem nowym — krytykują wojnę i sposób jej prowadzenia. Generał Lebień, dowódca 14-armii, stacjonującej w Naddniestrzu nazwał swojego towa-

rzysza broni z Afganistanu, ministra obrony Pawła Graczowa, „najbardziej niewydarzonym dowódcą, jakiego Rosja miała”. Kategorycznie sprzeciwił się użyciu wojsk w Czeczenii („do tego celu mamy oddziały wewnętrzne Ministerstwa Spraw Wewnętrznych”) wiceminister obrony generał Borys Gromow, ostatni sowiecki dowódca w Afganistanie. „Z narodem nie można zwyciężyć — powiedział w wywiadzie. — To się jeszcze w światowej praktyce nie zdarzyło” (*Wiek*, Nr 5, 1995).

Na pytanie, jak rozwiązać problem czeczeński, generał Gromow odpowiada: „Ja obłożyłbym blokadą całą Czeczenię. Potem środkami ekonomicznymi i sankcjami wymusiłbym na Dudajewie, aby ściśle przestrzegał ustaleń, które zostały przedyskutowane i zatwierdzone w czasie rokowań”.

Także Władysław Aczałow bezlitośnie potępia wojnę. To również generał, ale emerytowany. W październiku 1993 generał Ruckoj mianował go ministrem obrony. Potem, jak wiadomo, Ruckoj, Aczałow i inni poszli za kratki. Proces, też dobrze wiadomo, nigdy się nie odbył, wszyscy wyszli na wolność. Teraz były dowódca sowieckich wojsk powietrzno-desantowych i bohater z Afganistanu oskarża Graczowa, ministra spraw wewnętrznych Jesina i szefa kontrwywiadu Stiepaszyna („trzy kanalie” mówi o nich Aczałow), że „okryli Rosję hańbą przed całym światem”. Armia, przed którą drżał świat, okazała się nic nie warta. Dziennikarze (*Sieгодня z 7.2.95*) zapytują generała: „A co należało robić?” Na to rozmówca odpowiada szczegółowo. Jego wskazówki, jak zdobywać miasta — w latach *pieriestrojki* Aczałow był specjalistą od miast — są warte uwagi — bo je zdobywał. Z dumą opowiada, jak wiał Baku. Wprowadził mianowicie ok. 20 tysięcy żołnierzy do stolicy Azerbejdżanu, w której chciał objąć władzę Front Narodowy. „Cała operacja trwała 7 godzin, od północy do 7-ej rano. Już o 7-ej zameldowałem, że Baku jest podzielone na dzielnice — mieliśmy dwunastu rannych”. Generał nie pamięta, że padło wielu zabitych, być może dlatego, że byli to cywile. Ale i po Baku generał Aczałow nie siedział bezczynnie. Wspomina piękne czasy „demokraty Gorbaczowa”: „Po Baku były operacje w Azji Środkowej, Armenia, Górny Karabach”. Potem zaś — Nadbałtyka: „Powierzono nam przygotowanie operacji. Ja zajmowałem się Litwą, inni — Łotwą i Estonią”. A oto jak trzeba postępować: „Wszystkie zagadnienia rozpracowaliśmy. W Wilnie wiedzieliśmy wszystko: kto dokąd pójdzie, gdzie stanie, aż do rejonowej centrali telefonicznej... Nigdy nikomu

nie uwierzcie, że Gorbaczow nie był o wszystkim od początku do końca poinformowany”.

Na Litwie Aczałowowi nie polecono działać. Operacja nie była wojskowa, były ofiary — z jego punktu widzenia — niepotrzebne. Jego wywiad jest atakiem generała na niezdolnych amatorów, którzy dziś dowodzą armią rosyjską. „To wszystko sprawia na mnie takie wrażenie — skarży się z goryczą generał — jakby się nikt nigdy od nikogo niczego nie nauczył”.

Aby ostatecznie przekonać opinię publiczną o swoich wielkich kwalifikacjach, generał Aczałow wspomina Polskę. Po Afganistanie, w 1981 roku, Aczałow był młodym dowódcą w randze generała-majora. „Bardzo poważnie szykowałem się do operacji w Polsce — powiada. — Warszawę miały brać dwie dywizje. Dowodziłem wtedy 7-mą dywizją, staliśmy w Kownie. Była to bardzo silna dywizja, wyposażona w najpotężniejszą technikę. W lutym poleciliśmy do Warszawy, w mundurze generała łączności armii sowieckiej schodziłem całą Warszawę. Nawet do Sejmu wszedłem. Najważniejszym obiektem był dla mnie gmach KC PZPR. Udawaliśmy pijanych, wzięliśmy aparat fotograficzny, był też z nami polski generał w mundurze pułkownika. Weszliśmy do środka, wszystko dokładnie obejrzelismy, sprawdziliśmy, jak są rozlokowane korytarze, jak ludzie uzbrojeni. W końcu była to poważna sprawa. Siedzieliśmy w Polsce przez dwa miesiące. W pewnym momencie już-już mieliśmy wkraczać. Po przekroczeniu Wisły ulica Marszałkowska dzieli Warszawę na dwie części, północną i południową. Południowa część była moja”.

Opowieść niedoszłego zdobywcy południowej części Warszawy kończy się zdaniem: „Tak należy wszystko przygotowywać”. Tymczasem w Groznym, jego zdaniem (które potwierdzają wszyscy naoczni świadkowie), odbyło się wszystko dokładnie na odwrót: nie było map miasta, nie było przygotowanych wojsk, jednolitego dowództwa, itp. (*Sieгодня z 7.2.95*).

Co do jednego wszyscy się zgadzają: inwazja Czeczenii nie była przygotowana i nastąpiła znienacka. Wyjaśnienia, dlaczego w ogóle wybuchła — w grudniu 1994 — są najróżniejsze i budzą więcej pytań aniżeli udzielają odpowiedzi. Dlaczego na przykład wojna zaczęła się zimą? Jest to okres mało sprzyjający wprowadzeniu wojsk, szczególnie na Kaukaz. Dlaczego zaczęła się akurat w chwili, kiedy odbywała się demobilizacja starych żołnierzy i mobilizacja rekrutów, których posłano na front zanim nauczyli się chociażby strzelać?

Standardowa odpowiedź zwolenników wojny znajduje się również w ukazie prezydenta: „trzeba było poskromić buntownika Dudajewa”. Pytanie, dlaczego Moskwa czekała z tym trzy lata. Dżochar Dudajew rozpędził Radę Najwyższą Czeczeńsko-Inguskiej Republiki we wrześniu 1991 roku. Moskwa ani drgnęła. Więcej, ówczesny przewodniczący Rady Najwyższej ZSSR Rusłan Chasbulatow pojechał do Groznego i „legitymizował” przewrót Dudajewa. Następnie generał Dudajew, towarzysz broni Gromowa, Acałowa i Lebiedia z czasów Afganistanu, odłączył Czeczenię od Inguszzii (która nie chciała opuścić ZSSR), zorganizował wybory i został demokratycznie wybrany prezydentem republiki. Moskwa nadal nie reagowała. Więcej, prowadziła z Dudajewem negocjacje i interesy. Dziś oskarża go o organizowanie bandytyzmu na południu Rosji, o stworzenie mafii, o prześladowanie rosyjskiej ludności w Czeczenii. Nawet jeśli to wszystko jest prawdą, pozostaje pytanie, dlaczego właśnie teraz powstała paląca potrzeba by z nim skończyć.

Konieczność pokonania Czeczenii tłumaczy się tym, że może ona dać przykład innym. A kiedy wszystkie autonomiczne republiki Rosji zechcą niepodległości, koniec z Rosją. Jednak pozostałe republiki nie zdradzają żadnej ochoty do opuszczenia jej. Dwie największe republiki autonomiczne, Tataria i Baszkiria, po uzyskaniu autonomii, jakiej się domagały, podpisały z Moskwą umowy. Dlaczego nie prowadzono wstępnych rokowań z Czeczenią?

Wielką popularnością cieszy się tłumaczenie wojny naftą. Czeczenia ma naftę, której Rosja potrzebuje. Jest to tłumaczenie mało przekonujące. Pola naftowe wokół Groznego dają ok. 2-3 milionów ton nafty rocznie. W innych rejonach Rosji wydobywa się rocznie nie mniej niż 300 milionów ton. Nafta z Groznego nie jest Rosji niezbędna. Inny argument dotyczący nafty: Azerbejdżan podpisał z koncernem zachodnich firm — z British Petroleum na czele — umowę o wydobywaniu nafty z Morza Kaspijskiego. Prowadzono też rozmowy na temat budowy dla tej nafty drugiego rurociągu. Obecny — prowadzący z Baku do Noworosyjska — przechodzi przez terytorium Czeczenii. Po pierwsze jednak od podpisania umowy do wydobywania nafty jest daleka droga, tym bardziej, że nie jest jeszcze wyjaśnione do kogo należy dno Morza Kaspijskiego ani nie uzgodniono zamiaru wydobywania nafty z morza. Budowa drugiego rurociągu — przez Turcję albo Iran — jest kosztowna. *Summa summarum*, nafta też nie tłumaczy nagłego wybuchu wojny.

Dlatego powodów należy szukać nie w Groznym, a w Moskwie. Pamiętajmy, że w grudniu 1995 mają się odbyć wybory do Dumy, a latem 1996 wybory prezydenta. Pozycja polityczna Borysa Jelcyna jest coraz słabsza. Jego popularność się kurczy. „Mała zwycięska wojna”, którą mu obiecali ludzie mu bliscy, mogła rozwiązać wiele problemów.

Zaplanowany spacer do Groznego nie okazał się spacerkiem. Tym niemniej miasto zostało zniszczone i zdobyte przez wojska rosyjskie. Można wstępnie podsumować owoce operacji. Głównym jej wynikiem jest przekształcenie Rady Bezpieczeństwa, niekonstytucyjnego organu stworzonego około dwóch lat temu w kancelarii prezydenta, w Najwyższą Instancję, która podejmuje decyzje najwyższej wagi państwowej. Ciekawe, że po rozstrzygnięciu wojny do Rady Bezpieczeństwa wprowadzono przedstawicieli obu izb Dumy, Iwana Rybkina i Władimira Szumiejkę. Innymi słowy, do organu wykonawczego weszli członkowie organu ustawodawczego.

Wojna zmieniła układy w Dumie. „Wybór Rosji”, frakcja pod przewodnictwem Jegora Gajdara, która — coraz krytyczniej co prawda — popierała prezydenta, została głównym blokiem opozycji antywojennej, a frakcja Żyrynowskiego i „Rosyjska Droga”, na której czele stoi m.in. były puczysta Łukianow, zamieniły się w podpory prezydenta i główną bazę rządu.

Wojna, zbędne tłumaczyć, otwiera szerokie pole do manewrowania opinią publiczną. Przede wszystkim został nazywany wróg. Mianowanie wroga było w Związku Sowieckim jedną z ważniejszych funkcji Najwyższej Instancji. W Rosji demokratycznej wrogów było mrowie, ale każdy miał własnego, którego sobie sam wybrał. Dziś do „indywidualnych” wrogów doszedł oficjalny, z prezydenckiego mianowania: Czeczenia. Znaczenie tego faktu trudno przecenić. Wszyscy przecież pamiętają, że najważniejsze, to zacząć: dziś Czeczenia, jutro...

Wojna jest niepopularna. W styczniu tylko 8 % indagowanych w sondażu opowiedziało się za wojną, ale 32 % przeciw Dudajewowi. 30 % nie wiedziało, co odpowiedzieć. W miarę jak będzie przybywało ofiar rosyjskich, nastroje będą się radykalizowały. Nie wiadomo tylko, w którą stronę: za wojną czy przeciw. Wojna jest też szkołą szowinizmu i nienawiści. Jeden z korespondentów wojennych, opisując trudności ulicznych walk w Groznym, zwrócił uwagę na zmiany w charakterze żołnierzy, na ich „spokojne zezwierzczenie”. Wyczuwalnie zmienia się też stosunek władzy do środ-

ków informacji. Oszczędza się te, które wiernie przekazują rządowy punkt widzenia, a wywiera nacisk na przeciwników. Kłamstwa na temat przebiegu wojny, jej powodów i sytuacji w kraju stają się znów, jak za dobrych sowieckich czasów, głównym składnikiem informacji. Oskarżenia „wrog Rosji” i „sprzedawczyk” są szeroko rozpowszechnione.

Prowojenne tytuły podkreślają: „Poskramiając dziś Czechenię, Rosja walczy o własny byt”. Píše to w dodatku do *Sowietskoj Rossii* zatytułowanym *Rosja prawosławna* (7.2.95) Konstantin Duszenow. Przewodniczący Związku Bractw Prawosławnych Sankt-Petersburga Duszenow tłumaczy: „To nie jest wojna Rosji z Czechenią, o nie! Jest to wojna światowych zakulisowych sił przeciw Rosji... Co więcej, jest to przedłużenie odwiecznej walki z Rosją, którą planowali m.in. Anglik Macinder (nie wiem, kto zacz — A.K.), Niemiec Haushofer, Polak Brzeziński i Żyd Kissinger”.

Rozmyślenia K. Duszenowa wydają się mądre i zrównoważone w porównaniu z wystąpieniami popularnego autora „Edzia” Limonowa, który wydaje obecnie „gazetę działania wprost”, organ nacjonalbolszewizmu pod tytułem *Limonka*.

Moim zdaniem głównym celem wojny w Czechenii jest stworzenie napięcia społecznego i atmosfery zagrożenia, która wymaga mobilizacji wokół wodza. Wojna może posłużyć jako pretekst do anulowania wyborów, zarówno parlamentarnych jak prezydenckich. Taki jest, myślę, cel „zakulisowych sił” wokół Borysa Jelcyna, które przekonują prezydenta, że „dla dobra Rosji” musi zostać na Kremlu.

Wypada przypomnieć, że dotychczas nie uchwalono ustaw o wyborach prezydenta, Dumy państwowej i struktury Rady Federacji Rosyjskiej. Jest mało prawdopodobne, by zdołano je uchwalić w toku najbliższych jedenastu miesięcy. Wypada też przypomnieć, że Liberalno-Demokratyczna Partia Żyrynowskiego nie uważa wyborów za konieczne. Członek Rady Politycznej tej partii, zastępca przewodniczącego Dumy Aleksander Bengerowski, w odróżnieniu od swego szefa człowiek poważny, informatyk, w niedawnym wywiadzie (*Wiek* Nr 5) oświadczył: „Jako analityk uważam, że wybory w Rosji są mało prawdopodobne... Zaczyna się nowy etap rewolucji burżuazyjnej — tworzenie kapitału narodowego. Do tego potrzebny jest okres stabilizacji, silna władza dla utworzenia klasy średniej... Uważam, że wybory miałyby się z celem”.

12.2.1995

Adam KRUCZEK

Sprawy wschodnie

W czasach przedzoborowych sprawy wschodnie, tzn. obejmujące tereny między rdzenną Polską i rdzenną Rosją, musiały wzbudzać poważne zainteresowanie. Potem zaczęły powoli gasnąć, chociaż jeszcze odżywały niekiedy, jak na przykład w okresie popularności „Trylogii” Sienkiewicza, czy podczas wojny bolszewickiej 1919-20 r. Po 1945 r. atrakcyjność tych wschodnich ziem znikła bez mała całkowicie, ale jednak niekiedy poszczególne osoby „zarażały się” problemami tamtych terenów.

Do tych osób należy między innymi ks. Roman Dzwonkowski SAK, pallotyn, profesor KUL-u. Zaczynając od 1970 r. spędził on tam, na Wschodzie szereg wakacji i dojechał nawet na Kaukaz.

Ks. Dzwonkowski pochodzi z Mazowsza i jego zainteresowania ziemiami wschodnimi zaczęły się od tego, że przysłuchiwał się opowiadaniom swego ojca i jego kolegów o wojnie bolszewickiej i służbie na Kresach Wschodnich. Poza podróżami na tereny wschodnie ks. Profesor prowadził również badania tych spraw i opublikował już szereg artykułów i prac¹, a ostatnio wydał dwie książki na te tematy². Pierwsza z nich to zbiór szeregu rozmów z ks. Janem Pałygą SAK na ogromny wachlarz tematów obejmujących obecną Ukrainę, Białoruś, Litwę i południową Łotwę, czyli Łatgalię, a niekiedy wykraczającą nawet na Kaukaz lub do Kazachstanu. Zawiera ona masę materiału i porusza ogromną ilość problemów, w okresie od 1917 do 1993 r. opartych częściowo na badaniach, ale głównie na osobistych wrażeniach i obserwacjach wyniesionych z licznych podróży na Wschód, jak również z relacji przekazanych przez ludzi tam żyjących. Usterką tej książki jest, że nie podaje ona bibliografii.

Druga książka jest jakby skondensowaną wersją pierwszej, chociaż w czasie cofa się ona nieco poza rok 1917.

1. Na przykład „Parafie rzymskokatolickie na Białorusi i Ukrainie w 1988 r. — obsada personalna” (napisane pod pseudonimem „P. Lida”), *Zeszyty Historyczne*, Nr 88, Paryż maj 1989.

2. *Za wschodnią granicą 1917-1993*, wyd. Wspólnota Polska Pallotinum, Warszawa 1993 (w tekście oznaczona jako 1), 447 str.; *Polacy na dawnych Kresach Wschodnich*, wyd. Wspólnota Polska, Lublin 1994 (w tekście oznaczona jako 2), 151 str.

Obie książki są napisane z wielką i bezpośrednią znajomością omawianych spraw, więc powinny być niezmiernie ciekawą literaturą dla wszystkich, którzy interesują się sprawami wschodnimi. Pozwolę sobie jednak dodać kilka naświetleń i interpretacji.

Może i szkoda, że ks. Profesor omówił jedynie problematykę narodowościową i religijną, jak podano w podtytule drugiej książki i nie rozszerzył jej na sprawy światopoglądowe, bo przecie na tych terenach od szeregu wieków po dzień dzisiejszy ma miejsce konfrontacja pomiędzy orientacją wschodnią i zachodnią. A różnią się one między sobą tym, że zachodnia stawia człowieka na czele hierarchii wartości, a wschodnia siłę i władzę. Ponieważ wielu ludzi woli widzieć na pierwszym miejscu człowieka; katolicyzm i polskość, które reprezentują tam kulturę zachodnioeuropejską, były i w dalszym ciągu są na tamtych terenach atrakcyjne. Stąd wynika ponowne ożywienie katolicyzmu w ostatnich latach i chęć usłyszenia w kościołach języka polskiego, który wielu wiernych jedynie rozumie, ale nie potrafi w nim się wypowiedzieć. W tym odrodzeniu parafii katolickich w ostatnich latach zasadniczą rolę odegrali tzw. prości ludzie, co zostało odpowiednio uwypuklone w omawianych książkach.

Natomiast można by dodać, iż przed rozbiorami, w okresie uprzedniego rozkwitu elementów zachodniej kultury (katolicyzmu i polskości) na tych terenach, rozkwitu na o wiele większą skalę, zasadniczą rolę odegrały zakony i miejscowi panowie, fundatorzy zarówno kościołów jak i klasztorów³.

Wydaje się, że ks. Profesor zbyt ostro ocenił postępowanie władz carskich w stosunku do Kościoła. Po pierwsze trzeba podkreślić, że nastawienie tych władz było w dużej mierze spowodowane poparciem, jakiego udzielił Kościół dwóm powstaniom polskim w przeciągu zaledwie trzydziestu paru lat. Trudno się więc dziwić temu, że po drugim powstaniu władze carskie przystąpiły do rusyfikacji Kościoła katolickiego. Jednak ogromna większość parafii przeciwstawiała się

3. Na przykład w okolicach z których pochodzę rozlokowanie najbliższych ośrodków zakonnych i ich fundatorów było jak następuje: Duniłowice — dominikanie, Białozorowie; Udział — franciszkanie, Korsakowie; Łutki — pijarzy, Żabowie; Berezecz — bazylianie, Korsakowie; Głębokie — karmelici, Korsakowie. Na skutek powstań władze carskie zlikwidowały wszystkie te ośrodki zakonne i świątynie zamieniły na cerkwie prawosławne. (Dalsze dane: Z.S.S. „Niektóre parafie w dawnym W.X. Litewskim”, *Duszpasterz polski za granicą*, nr 2/175, Rzym 1990).

skutecznie temu procesowi, natomiast miał on powodzenie w tych diecezjach, w których administratorzy diecezjalni i większość kapituły zaakceptowała przyjęcie języka rosyjskiego, o czym obszernie pisze ks. Dzwonkowski (2, str. 60-63), kończąc takim zdaniem:

Upadek caratu uniemożliwił realizację długofalowego planu posłużenia się Kościołem katolickim do rusyfikacji katolików na Białorusi i Ukrainie (2, str. 63).

Opinia ta, która ocenia pozytywnie wypadki związane z załamaniem się cesarstwa rosyjskiego, stoi w jaskrawym konflikcie z tym, co ks. Profesor pisze o losach Kościoła pod rządami sowieckimi, wynikłymi z upadku caratu (1, str. 49-90, inne w obu książkach).

Odnoszę wrażenie, że potępienie caratu jest specjalnie popularne na KUL-u. Na przykład w maju 1990 r. na sympozjum *Polacy w Kościele katolickim w ZSSR* wprowadzający wykład wygłosił ks. prof. Bolesław Kumor. Naświetlił on niezmiernie krytycznie politykę władz carskich wobec Kościoła przed 1914 r. Ma się rozumieć, w porównaniu na przykład z zaborem austriackim Kościół pod rządami carskimi miał o wiele cięższe życie, ale w porównaniu z późniejszymi losami w tejże samej Rosji, ale już za rządów sowieckich, warunki istnienia za czasów carskich były względnie znośne⁴.

Jako przykład można przytoczyć istnienie najpierw w Wilnie, a potem od 1842 r. w Petersburgu Akademii Duchownej, utrzymywanej na koszt państwowy, która miała zaspokajać potrzeby wszystkich katolików w imperium rosyjskim. Studiował na niej cały szereg późniejszych biskupów i była ona prekursorem KUL-u. A jednak ks. prof. Kumor ocenił ją tak:

Była faktycznie wyższą uczelnią bardziej z przywilejów niż w rzeczywistości. Nigdy nie rozwinęła większych horyzontów naukowych. (Str. 17)⁵

4. Rosja carska była jednak państwem chrześcijańskim i na przykład w jednej z dwóch zawodowych szkół oficerskich kawalerii, znajdującej się w Odessie, elewów katolików prowadził w pewnym okresie do lokalnego kościoła katolickiego jeden ze starszych kolegów-„innowierców” Marian Przewłocki, późniejszy generał kawalerzysta w Wojsku Polskim. (Na podstawie relacji innego absolwenta tej szkoły w Odessie, płka Romualda Boryckiego).

5. Praca zbiorowa pt. *Polacy w Kościele katolickim w ZSSR*, wyd. KUL, Lublin 1991. Zawiera ona referaty wygłoszone na wzmiankowanym sympozjum.

Władze carskie usiłowały rusyfikować nie tylko Polaków lecz również Białorusinów, co zresztą było o wiele łatwiejsze. Żeby się temu przeciwstawić niektóre dwory polskie prowadziły tajne szkoły nauczania języka białoruskiego. Podobnie chciał temu przeciwdziałać bp wileński Edward Ropp, wprowadzając język białoruski do liturgii. Jednak został z tego powodu usunięty z Wilna przez władze carskie w 1907⁶.

Pisząc o okresie międzywojennym przedstawia ks. Profesor niezmiernie ciekawie rezygnację Watykanu z posługiwania się Polakami w celu przedłużenia egzystencji katolicyzmu w Sowietach i zastąpienie ich Francuzami, co jednak dało dość opłakane wyniki (1, str. 104-108).

W związku z tym okresem trzeba sprostować niewielkie potknięcie polegające na stwierdzeniu, iż Korpus Ochrony Pogranicza strzegł granicy z Niemcami (1, str. 224). Faktycznie KOP, który był częścią wojska, strzegł granicy z Sowietami, Łotwą i Litwą, natomiast granicy z Niemcami, Czechosłowacją, Rumunią i Wolnym Miastem Gdańskiem strzegła Straż Graniczna, nie należąca do wojska, podlegała ona chyba Min. Spraw Wewnętrznych.

W czasie drugiej wojny światowej, kiedy Niemcy uderzyły na Sowiety 22 czerwca 1941 r. i w szybkim tempie posuwały się na wschód, przed Kościołem katolickim stanęło poważne zadanie szerzenia wiary na zajmowanym przez Niemców terenie, nie tylko do niedawna polskim, ale szczególnie sowieckim, na którym nie było działalności kościelnej już od czterdziestu lat. Szereg księży udało się na wschód, ale zostali tam wkrótce wymordowani. Zdaniem Autora przyczynili się do tego współpracujący z Niemcami Białorusini, którzy żądali wprowadzenia języka białoruskiego w kościele łacińskim, a kiedy to nie zostało spełnione, za zgodą Niemców lub z nimi razem, przystąpili do wyeliminowania tych księży. W akcji tej brała rzekomo udział Białoruska Narodowa Samoobrona. (1, str. 161; 2, str. 64.)

Natomiast Józef Mackiewicz pisze⁷, iż Watykan polecił

6. Wspomina o tych sprawach ks. Dzwonkowski, podając jednak rok 1917 (2, str. 62). Bp Ropp był synem kurlandzkiego Niemca, protestanta i Polki, katolicki. Jego pełny tytuł brzmiał — ks. bp Edward baron von der Ropp. (Vide: Stanisław Mackiewicz, „Słowniki w Słomiance”, *Pamiętnik wileński*, Pol. Fundacja Kulturalna, Londyn 1972, str. 424, oraz Z. S. Siemaszko, „Biskup wileński Matulewicz...”, *Zeszyty Historyczne*, nr 84, maj 1988 (str. 12).

7. *Nie trzeba głośno mówić*, Instytut Literacki, Paryż 1969 (str. 79). Jest to chociaż powieściowe, ale jedyne jak dotychczas całościowe

biskupom z diecezji sąsiadujących z sowieckimi terenami podjęcie działalności na wschodzie, ale bez rozgłosu, tak ze względu na brak zgody rządu niemieckiego na tę działalność, jak i ze względu na uniknięcie wrażenia, że księża katolickcy włączają się w niemiecką „krucjatę antybolszewicką”.

Ze strony niemieckiej, jak pisze Mackiewicz, sprawa ta była przedmiotem szeregu interwencji u Hitlera, który na sugestię Rosenberga nakazał nie dopuścić do misyjnej działalności katolickiej na terenach sowieckich. Przystąpiono więc do likwidacji księży, w której mogły brać udział organizacje białoruskie współpracujące z Niemcami — jak sugeruje ks. Dzwonkowski (1, str. 161). Ale trzeba pamiętać, że od początku organizacje te były w poważnym stopniu spenetrowane przez komunistów, którzy nie zdążyli uciec przed Niemcami. Miało to miejsce w pierwszym rzędzie na terenach sowieckich, ale również częściowo na terenach należących przed wojną do Polski. Ponieważ usunięcie księży z obszarów zajętych przez wojska niemieckie leżało w interesie zarówno Niemiec jak i komunistów, którzy pozostali pod okupacją, mogło na tym tle dojść do współpracy. O ile chodzi o Baranowicze (o których pisze ks. Dzwonkowski, 1, str. 161), to ze wspomnień komendanta Okręgu Nowogródzkiego AK wynika, że Białoruska Narodowa Samoobrona była tam wyjątkowo agresywna, może z powodu opanowania jej przez podziemie sowieckie⁸.

Zadziwiająco mało jest wiadomości w obu książkach (w sumie prawie 600 str.) o około milionie katolików, którzy na skutek układu Ribbentrop-Mołotow znaleźli się w głębi Sowietów. Jedyne wspomniano, iż księża z armii gen. Andersa nie mieli prawa udzielania posług religijnych miejscowej ludności (1, str. 157). Nie ma nic o tym, że prawie wszyscy kapelani Wojska Polskiego, którzy znaleźli się w niewoli sowieckiej (około 30 księży katolickich i 6 kapelanów innych wyznań), zostali zlikwidowani już na Boże Narodzenie 1939 r. Nie ma też nic o tym niespotykanym zjawisku zezwolenia katolickiemu biskupowi Gawlinie na przyjazd i działanie w Sowietach. Chociaż było ono ograniczone do oddziałów Wojska Polskiego i rodzin wojskowych, jednak przecie musiało oddziaływać na miejscową ludność, która nie-

przedstawienie tego, co działo się na terenach polsko-litewsko-białoruskich pod okupacją niemiecką.

8. Janusz Prawdnic-Szlaski, *Nowogródzyczna w walce 1940-1945*, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1976.

jednokrotnie była choć biernymi świadkami uroczystości związanych z wizytacją poszczególnych oddziałów przez bpa Gawlinę, który nawet nie jest wspomniany w tych książkach⁹.

Nierówne rozłożenie informacji wynika chyba stąd, iż pierwsza książka (*Za wschodnią granicą*) ma popularną ostatnio w kraju, a w tym wypadku niezbyt fortunną, formę wywiadu. Czyli wybór tematów poruszanych zależy w pierwszym rzędzie od pytającego, a nie odpowiadającego, który jest lepiej zorientowany w sprawach omawianych.

Należy zwrócić uwagę na to, że punktem wyjściowym rozmawiających księży jest podział narodowościowy, który nie pasuje do omawianych zagadnień, a w szczególności nie pasuje do sytuacji na Białorusi. Dlatego obie te książki (druga też jest oparta na podziale narodowościowym) — chociaż dostarczają dużą ilość niezmiernie interesujących wiadomości — są trudne do przyswojenia przez postronnych czytelników. Żeby te książki lepiej zrozumieć należałoby wprowadzić podwójne znaczenie takich pojęć jak „Polak” i „polskość”¹⁰.

Pierwsze, starsze pojęcie, wynikające z istnienia wielonarodowej Rzeczypospolitej przed rozbiorami, jest szerokie, pluralistyczne, tolerancyjne, otwarte na inne kultury, języki i obyczaje. Wyrazicielem tego nastawienia był król Zygmunt August, który mówił: „Nie jestem królem sumień Waszych”. To tradycyjne pojęcie już prawie całkowicie zanikło w dzisiejszej Polsce, jak również na emigracji. W środowiskach tych jest już ono trudne do zrozumienia i przyjęcia. Natomiast jest jeszcze całkiem żywe na wschód od Bugu, a w szczególności na Białorusi. W tym pojęciu mieszczą się takie określenia używane przez tamtejszych ludzi jak: *gente Ruthenus, natione Polonus* (1, str.129), „Białoruś naszą Ojczyzną — Polska naszą Macierzą” (1, str.167) lub „po polsku nie umiem, ale dusza u mnie polska” (1, str.19). Świadczą o tym również dane statystyczne wskazujące, że w niektórych *obłastiach* Białorusi spośród uważających się za Polaków jedynie

9. Materiały do tych spraw można między innymi znaleźć w bibliografiach do mojej książki *W sowieckim osaczeniu 1939-1943* (Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1991), jak również do mego opracowania „Życie religijne obywateli polskich w głębi ZSSR w latach 1939-1957”, które znajduje się we wspomnianej już pracy zbiorowej *Polacy w Kościele katolickim w ZSSR*. (W opracowaniu tym wydawcy zamienili przymiotnik „sowiecki” na „radziecki”).

10. Opieram się tu w pierwszym rzędzie na rozważaniach ks. prof. J.M. Bocheńskiego ze Szwajcarii na temat „Co to znaczy być Polakiem?”, *Kultura*, Paryż, kwiecień 1993.

kilkanaście lub nawet tylko kilka procent używa języka polskiego na co dzień (2, str.18)¹¹. Z tego tradycyjnego i pluralistycznego pojmowania rzeczywistości tamtejszej wynika następująca zasada odnosząca się do języka liturgii, sformułowana w 1992 r. przez Związek Polaków na Białorusi:

Prawo wyboru języka należy wyłącznie do wiernych, a nie do osób z zewnątrz. Powyższe zasady powinny być respektowane przez Kościół i państwo, zainteresowane osoby i instytucje (2, str.68).

Inne zrozumienie „polskości”, nowsze, oparte jest na zasadach etnicznych i nacjonalistycznych, na sloganie „Polska dla Polaków”. Jest to pojęcie zamknięte w sobie, nietolerancyjne, niechętnie w stosunku do inności i przypisujące jedynie sobie wszystkie osiągnięcia wielonarodowej Rzeczypospolitej. Podejście to wyklucza pluralizm i dąży do przypisania każdego człowieka do jednej narodowości. Nie uznaje ono dwukulturowości.

To nacjonalistyczne podejście zdecydowanie panuje w granicach obecnego państwa polskiego i w dużej mierze na emigracji. Ma ono również pewną ilość zwolenników na terenach wschodnich, szczególnie tam, gdzie występuje konfrontacja nacjonalistyczna, czyli szczególnie w Wilnie i okolicy, jak również na zachodniej Ukrainie, natomiast rzadziej na Białorusi.

Skutki nacjonalistycznego podejścia mogą być różne. Można je przedstawić posługując się nastawieniem księży przyjeżdżających z Polski na Wschód. Jedni z nich, szczególnie ci którzy przyjechali tam wcześniej, wychodzili niekiedy z założenia, że stosunki na ziemiach, które przed wojną wchodziły w skład państwa polskiego, powinny być takie same jak w rdzennej Polsce. Nastawienie tego rodzaju powodowało oskarżanie ich o polonizowanie tych terenów¹². Inni księża, którzy udawali się tam później, wychodzili z założenia, że

11. U podstaw tego zjawiska jest nie tyle wynarodowienie lub prześladowanie języka polskiego, co tradycja związania z polskością, pomimo posługiwania się językiem polskim jedynie od święta lub nawet wcale nie.

12. Czasem oskarżenia były bezpodstawne, jak na przykład w wypadku ks. Krzysztofa Pożarskiego, który został ku wielkiej szkodzie mojej parafii w Duniłowiczach usunięty przez arcybpa Świątkę i obecnie działa bardzo skutecznie w Pskowie, rozszerzając swą pracę duszpasterską na Archangielsk, Murmańsk i Kottas.

tak jak „Polska jest dla Polaków”, tak „Białoruś dla Białorusinów” i konsekwentnie dążyli do wyeliminowania polskich elementów z życia parafialnego.

Podobne podejście występuje nieraz ze strony niektórych funkcjonariuszy polskich konsulatów, którzy stawiają sobie za cel dobre stosunki z lokalnymi partiami nacjonalistycznymi. Nic więc dziwnego, że miejscowi ludzie mówią „Polska odwróciła się od nas” (1, str. 175).

Warto też przytoczyć jedną z wypowiedzi ks. Dzwonkowskiego:

W katechizacji prowadzonej na Białorusi i na Ukrainie przez siostry z Polski, używany jest, w zależności od terenu, język białoruski, ukraiński, rosyjski i polski. Ten ostatni zajmuje z reguły ostatnie miejsce, często wbrew oczekiwaniom rodziców, którzy zwracają się o to, żeby ich dzieci były katechizowane po polsku. Nieznajomość tego języka sprawia jednak, że katechizacja prowadzona bywa z zasady w innym, najbardziej dla dzieci zrozumiałym języku (2, str. 68).

Jest to jeszcze jeden przykład polskiego odejścia od pluralizmu i opowiedzenia się po stronie jednego, dominującego języka, który jest dlatego najlepiej znany, że faworyzowały go władze, a nie dlatego, że wyniesiony został z domu. Zasada ta zastosowana na przykład do Białorusi, gdzie od 1945 r. forsowano język rosyjski, powoduje, że dzieci dwujęzyczne (rosyjsko-polskie lub rosyjsko-białoruskie) są nauczane zasad wiary przez polskie siostry jedynie po rosyjsku¹³. A wydawałoby się, że w środowisku mieszanym językowo nauczanie religii powinno być również co najmniej dwujęzyczne. Faworyzowanie wśród młodych jedynie języka większości w szybkim tempie doprowadzi do sytuacji jaka jest obecnie w Wilnie i okolicy, gdzie istnieją odosobnione, nieliczne parafie mniejszościowe (w tym wypadku polskie), na których hierarchii większościowej (tzn. litewskiej) wcale nie zależy i dlatego obsługa religijna w tych parafiach nie jest na najlepszym poziomie.

Ale jest jeszcze inne zjawisko, które należałoby poruszyć.

13. Wynika z tego, że rusyfikacja parafii katolickich, której skutecznie przeciwstawiło się miejscowe duchowieństwo i wierni sto lat temu, teraz wprowadzana jest przez obsługę duszpasterską przybyłą z centralnej Polski.

Oto studenci „ze Wschodu”, którzy studiują w Polsce, nazywani są Litwinami, Białorusinami, lub Ukraińcami, chociażby nawet pochodzili z rodzin polskich i uważali się za Polaków. Na KUL-u mieszkają oni w osobnym domu studentkim. Zapytana siostra zakonna z KUL-u, która z tymi sprawami jest związana, jaki jest cel odgraniczania tych studentów „ze Wschodu” od miejscowych, odpowiedziała, że są oni na takim poziomie, iż nie można ich ulokować razem z „naszą młodzieżą”. Tego rodzaju zarozumiałość i pogarda dla innych z pewnością wyhoduje wielu antypolskich Litwinów, Ukraińców i Białorusinów, chociażby nawet mieli polskie zaplecze¹⁴.

Na zakończenie chciałbym zwrócić uwagę na to, że wydawcy obu książek używają nadal skrótu ZSRR (Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich), który w swoim czasie wprowadziło środowisko Marchlewskiego i Dzierżyńskiego, a potem zaadoptowała PRL, a nie skrótu ZSSR (Związek Sowieckich Socjalistycznych Republik), który był w powszechnym użyciu w okresie niepodległości.

I jeszcze jedna drobna uwaga, nie tak dawno mówiło się z polska Homel i Mohylów (mohylowski), a nie z rosyjska Gomel (*vide* mapki w drugiej książce) i Mohylew (mohylewski), jak w tych wydaniach.

Londyn, 27 grudnia 1994 r.

Z.S. SIEMASZKO

14. Jak bardzo zmieniło się podejście od tych czasów, kiedy, jak mi opowiadał niedawno zmarły Maurycy Dzieduszycki (ur. w 1925 r.), rodzice jego brali ślub najpierw w kościele rzymskokatolickim, a potem przejeżdżali do cerkwi unickiej i tam przechodzili przez ceremonię ślubną po rusku.

Kronika kulturalna

Podziękowanie

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Byłabym wdzięczna za umieszczenie tej notatki w *Kulturze*, jeśli Pan to uważa za stosowne. Chodzi o reakcję społeczeństwa związaną z przekazanymi przeze mnie dziełami sztuki na oba zamki królewskie. Otrzymałam w ciągu ostatnich tygodni obfitą korespondencję w tej sprawie. Chciałabym się podzielić z czytelnikami wrażeniem, jakie na mnie wywarły te listy i kartki, wrażeniem dla mnie nieoczekiwanym.

Piszą przedstawiciele władz Wolnej i Niepodległej. Piszą koledzy humaniści. Niejedno z tych pism należałoby umieścić w antologiach naszej epistolografii. Powtarza się w licznych tonach jedna melodia. Zaczął sam Prezydent, dziękując „jako Prezydent i jako obywatel”. Jeden z wybitnych naszych uczonych pisze jako „jedna czterdziestomilionowa część obdarzonego Narodu”. Otóż te listy są bardzo piękne, bo podkreślają wdzięczność piszących nie tylko w imieniu wysokiego urzędu, ale także jako członków całego społeczeństwa. Piszą bowiem ci, którzy się wprzęgli, by ciągnąć ten niełatwy wóz naszej kultury po wyboistych drogach jej losów. Jako ostatnie ogniwo tych, którzy te rzeczy zebrali i przechowywali, odbieram dziś wspianą reakcję.

Odebrałam też reakcje, które wydają mi się szczególnie ważne. Otóż za „wzbogacenie Polski” dziękują strażniczki przy Zamku w Warszawie i kelnerki z sąsiedniej kawiarni. Obie te grupy spędziły tam noc po przyjeździe dzieł sztuki, jedno dla pilnowania bezpieczeństwa, drugie dla utrzymania przy siłach transportujących i dyrektorów muzeów. Miałam także list tej samej treści z Gdyni, od kobiety, którą dwadzieścia parę lat temu spotkałam tutaj przy chorym. Pisze

też córka kościelnego z Jagielnicy (Podole), obecnie we Wleńniu (Śląsk), że jest „ze mnie dumna”. To ja jestem dumna z przynależności do społeczeństwa tak uczulonego, tak wrażliwego na najwyższe dobra duchowe. Te listy z Polski całej, od Gdyni do Jagielnicy, są wzruszającym wyrazem świadomości ogółu.

Doszedł też szereg listów i kartek od osób nieznanych, bez podania adresu. Dziękują i podpisują się często imieniem i nazwiskiem, bez podania adresu, w kilku wypadkach tylko imieniem. Dowodzi ten objaw, że nasze społeczeństwo całe, bez względu na stopień wykształcenia, jest nadzwyczaj wrażliwe na dobra duchowe i tym samym bogate w możliwości. Tu nie chodzi o intelekt, lecz o wartości duchowe. Każdy z nas miał zrozumiałe obawy, czy pół wieku komunizmu nie stępilo tej właśnie wrażliwości. Bynajmniej tak nie jest. Nie powinniśmy narzekać na brak kultury u nas. Z tego drobnego przykładu, którym jest ta moja korespondencja, widać wyraźnie rzecz istotną: widać, że jest kogo kształcić, że nasze społeczeństwo duszę wrażliwą posiada.

Jestem głęboko wdzięczna Opatrzności, bo stałam się ostatnim ogniwem długiego łańcucha, na którym te duchowe bogactwa dotarły do mojego Narodu, do jego świadomości ogólnej.

Łączę wyrazy wielkiego uznania i serdecznie pozdrawiam

Rzym, 18 stycznia 1995 r.

K. LANCKOROŃSKA

Literatura i polityka na Ukrainie

Dzieje literatury ukraińskiej były i są mocno powiązane z polityczną historią tego kraju i może bardziej od niej zależne niż w innych szerokościach geograficznych naszej planety. Niewiele krajów zaznało w ciągu swego istnienia totalnego zakazu używania własnego języka w drukowanym słowie, a Ukraina musiała poddać się takiemu barbarzyństwu, podykto-

wanemu w XIX wieku przez carską Rosję. Niewiele też jest narodów na świecie, których etnograficzne terytorium było w ciągu stuleci coraz to w nowy sposób krajane granicami obcych interesów narodowych, co w konsekwencji sprawiło, że do drugiej połowy XX w. nie było wspólnego piśmienictwa lecz szereg paralelnie i nierównie rozwijających się procesów twórczych, wydawniczych i czytelniczych, mianowicie w Związku Sowieckim, Czechosłowacji, Polsce, Rumunii, na Węgrzech oraz na emigracji od Warszawy do Nowego Jorku i Edmontonu.

Nic dziwnego, że procesy pełnego scalenia i odrodzenia wspólnego dziedzictwa w literaturze i sztuce wstąpiły w fazę realizacji dopiero dzięki odzyskaniu niepodległości w 1991 roku. Ale i te przemiany przebiegają w czasie i przestrzeni w ramach rzeczywistości polityczno-socjalnej. Realia okresu przejściowego od wczorajszej dyktatury komunistycznej, podporządkowanej w dodatku imperialnym interesom Moskwy, do społeczności demokratycznej, od ekonomii centralnego planowania do wolnej gospodarki rynkowej, od hierarchicznych struktur kierowanej i srogo kontrolowanej polityki kulturalnej do swobodnej twórczości, są często chaotyczne i trudne. Dyktuje je ciężka sytuacja ekonomiczna młodego państwa, powikłane uwarunkowania wewnątrzpolityczne, ciężar spuścizny naznaczonej ogromem strat pomordowanych i zamęczonych twórców, skazami oportunistów i służalczości, długoletnim oderwaniem od starych korzeni europejskich, od współczesnej literatury i sztuki zachodniej.

W telegraficznym skrócie, obraz literatury ukraińskiej od czasu jej ugruntowania przed pierwszą wojną światową do powstania niepodległej Ukrainy można sprowadzić do kilku znamienitych etapów. Pierwszym był okres spontanicznego i wszechstronnego rozwoju na Ukrainie Sowieckiej w latach 20-tych z paralelnymi ośrodkami za granicą: we Lwowie, Czerniowcach, Użhorodzie, Pradze, Warszawie, Paryżu i Wiedniu. Potem nastąpił czas prześladowań i terroru w latach 30-tych nazwany „rozstrzelanym odrodzeniem” i triumf realizmu socjalistycznego. Lata wojny przyniosły spontaniczne próby odnowy i jednocześnie represje Niemców, Rumunów i częściowo Węgrów. Po wojnie nastąpił podział na literaturę wewnętrzną i emigracyjną, z tym że emigracja przejęła rolę przewodnią. Wiodącym ośrodkiem było zjednoczenie pisarzy, krytyków i artystów MUR (Mysteckij Ukrajinśkyj Ruch) w Niemczech południowych pod przewodnictwem charkowskiego filologa i krytyka Jurija Szerecha (Szewe-

lowa), a następnie pismo *Arka*, a z czasem pismo *Suczasnist*, i Związek Pisarzy w Stanach Zjednoczonych „Słowo”.

Podobnie jak w życiu politycznym proces przemian na polu literatury nie nastąpił gwałtownie. W ramach procesów *pierestrojki* na Ukrainie zanik kontroli i cenzury nad twórczością pisarzy ze strony partii komunistycznej odbywał się wolniej i nie tak radykalnie jak na przykład w sąsiedniej Polsce. Nawet w Rosji, w okresie władzy Gorbaczowa, procesy te przebiegały bardziej gwałtownie dokonując ideologicznych i organizacyjnych podziałów i dyferencjacji.

Organizacyjnie w życiu literackim mało się zmieniło. Pozostał Związek Literatów (Spilka Pyśmennykiw), jednak pod kierunkiem umiarkowanych i nie skompromitowanych pisarzy, takich jak Oleś Honczar, autor „Soboru”, czy prozaik Jurij Muszketyk, lub poeta Wiktor Kordun. Kontynuacja dawnych form organizacyjnych spotkała się z protestem opozycyjnych młodych pisarzy.

Większość pisarzy przyjęła ten atak jako niesprawiedliwy i przejaw skrajności. Nie doszło jednak do secesji i utworzenia odrębnego, radykalnego związku. Przedstawiciele władz zaatakowanego związku zwracają uwagę, że obecnie Związek Pisarzy Ukrainy ma zupełnie odmienne funkcje i zadania niż dawniej. Nie rozdaje ani przywilejów, ani synekur. „Dziś nasz Związek ma zupełnie inny charakter — mówi jego sekretarz, poeta Kordun. Jest on obecnie organizacją czysto zawodową, po prostu związkiem zawodowym dbającym o prawną i socjalną ochronę swych członków i ich rodzin”. Związek nie ma nic przeciwko temu, aby powstawały nowe organizacje. Obecnie powstało stowarzyszenie młodych pisarzy pod nazwą „Nowa Literatura”.

Jeśli idzie o pisma literackie to w dalszym ciągu ukazują się wszystkie dawne miesięczniki kijowskie, a więc *Dnipro*, *Kyjiv*, *Witczyzna*, *Wseswit*, a we Lwowie dawny *Żowteń* zmienił nazwę na *Dzwyn*, zaś charkowski *Prapor* przyjął nazwę *Berezil* (tak nazywał się słynny teatr w Charkowie w latach dwudziestych pod kierownictwem zamordowanego w latach trzydziestych reżysera Łesia Kurbasa). Ale powstały też nowe trybuny literackie jak na przykład *Czetyr* i *Perewał* w zachodnioukraińskim mieście Iwano-Frankowsk (dawny Stanisławów). Podczas gdy pierwsze czasopismo jest trybuną nowatorstwa i eksperymentów, chociaż każdy numer tworzy wspólnotę tematyczno-treściową, to drugie jest raczej pismem w starym, konwencjonalnym stylu, z poezją, krytyką i nowościami wydawniczymi. W pobliskim i niegdyś ważnym ośrodku

kulturalnym, Kołomyi, ukazywało się czasopismo *Czarnohora* redagowane w tradycyjnym stylu, ale w międzyczasie upadło. Zresztą los ten podzieliło, na skutek trudności gospodarczych, wiele i to nawet bardzo ambitnych inicjatyw czasopiśmienniczych w rozmaitych ośrodkach prowincjonalnych. Niektóre z nich jednak przetrwały, jak np. ekskluzywne pismo *Jesz-an-Zilla* we Lwowie, drukujące niekiedy takie dziwaczności jak np. ukraińskie poezje arcyksięcia Wilhelma Habsburga, patrioty, nazywanego Wasylem Wyszywanym, bo nosił wyszywaną koszulę ukraińską. W dalszym ciągu ukazuje się w Charkowie *Ukrajński Zasiw*, przy którym powstało stowarzyszenie młodych pisarzy nowatorów „Czerwona Fira”. Charków posiada też bogaty almanach *Czumackij Szlach*.

W Kijowie powstały również nowe pisma jak *Osnowa* pod redakcją poety Walerija Ilja, szczycące się genealogią swej poprzedniczki z roku 1861; *Switowid*, pod kierunkiem Wiktora Korduna jako koordynatora, przeniesiony z Nowego Jorku i posiadający w dalszym ciągu część redakcji za oceanem. Tak samo w Kijowie ukazuje się miesięcznik *Suczasnist'* powstały w 1961 w Monachium, a potem przeniesiony do Stanów Zjednoczonych.

Różnica między dawnymi i nowymi czasopismami polega głównie na tym, że tradycyjne czasopisma koncentrują się na przedrukach tekstów z dzieł swego czasu zabronionych, natomiast pisma nowe publikują głównie utwory współczesne. Jest to następstwem kryzysu na rynku papierowym i potwornej inflacji. Na drukowanie książek nie ma pieniędzy. Pisma nie ubiegają się też o podwyższenie swych nakładów, bo opłaty pocztowe za prenumeratę są po prostu nie do zapłacenia.

W ogóle kryzys gospodarczy niweczy wiele programów i zamysłów wydawniczych. Wydawnictwa państwowe — jest ich jeszcze 20 — koncentrują się głównie na wydawaniu podręczników szkolnych. Wydawnictw prywatnych jest mnóstwo, ale ich finanse są wątle i stąd stała fluktuacja. Jedne domy wydawnicze powstają a drugie niespodziewanie umierają. Najlepiej prosperuje wydawnictwo „Folio” w Charkowie dzięki temu, że wydaje głównie klasykę zagraniczną po rosyjsku i ukraińsku. Dzięki wysokiej sztuce graficznej wydawnictwu udało się wejść też na rynek rosyjski. Stosunkowo dobrze trzyma się wydawnictwo kijowskie „Łybidj”. Ważną rolę odgrywa wydawnictwo „Smołoskyp” pod kierownictwem Zinkewycza, przeniesione z Ameryki do Kijowa. Warto też nadmienić, że wiele książek ukazuje się dzięki fundacji

„Odrodzenie” finansowanej przez amerykańskiego milionera George'a Sorosa.

Jakiegoś ogólnego planu, czy to ze strony rządowej czy z ramienia Związku Pisarzy, odnośnie priorytetów i kolejności wydawania utworów swego czasu zakazanych lub nie znanych z innych powodów, nie ma. Wszystko odbywa się przeważnie żywiołowo, często chaotycznie. Mimo to za prezydentury Leonida Krawczuka istniały akcje pomocy w postaci stypendiów, zasiłków materialnych na wydawanie dzieł, subsydiów dla pism i konferencji twórczych. Natomiast mecenat prywatny prawie nie istnieje. Nowobogacy z gospodarki nielegalnej, a tym bardziej przywódcy mafii, nie odczuwają potrzeb kulturalnych a niejednokrotnie trudno im umieścić nielegalne fundusze w celach popierania kultury. Ale i legalne firmy, jak np. banki komercyjne, gotowe do ratowania kultury, nie garną się do tego z powodu dziwnej polityki podatkowej. Nie uznaje ona żadnych ulg przy funduszach na cele filantropijne jak to bywa we wszystkich państwach cywilizowanych. Dopiero za prezydentury Leonida Kuczmy wydano rozporządzenie zwalniające przynajmniej wydawnictwa od podatków obrotowych i od wartości dodanej.

W takich warunkach nie ma mowy o normalnym rynku książkowym i o normalnej konkurencji lub reklamie. A ponieważ nakłady dzieł bywają nikle o bestsellerach mowy być nie może. Zresztą konkurencję — często najgorszego gatunku — robią wydawnictwa rosyjskie, które zalewają Ukrainę taną makulaturą erotyczną lub spirytualistyczną. A ponieważ Rosja posiada papier i produkcja tam jest o wiele tańsza, Ukrainie trudno konkurować z tego rodzaju „piśmiennictwem”. Książki, ze względu na brak subwencji, są drogie, a pauperyzacja społeczeństwa nie sprzyja ich kupowaniu. Rozwija się więc inna dziedzina kontaktów między pisarzami i czytelnikami — żywe słowo. Wieczory autorskie zaczynają znowu być w modzie. Dawniej były obejściem cenzury, dzisiaj są skutkiem braku papieru. Nie wszędzie ta forma kontaktów jest rozwinięta w równym stopniu, zresztą ulega zmianom w poszczególnych regionach. Niegdyś Kijów był przewodnią siłą, dzisiaj prym przejął Lwów, gdzie młodzieży widocznie przejadła się już nachalna polityzacja, i tłumnie przychodzi na spotkania z poetami.

Niestety, mało efektywnymi w tej dziedzinie są radio, telewizja i prasa. Poziom informacji kulturalnej jest mniej więcej — oprócz nowego zabarwienia patriotycznego — tak

samo niski jak za czasów sowieckich. Zresztą dział ten prowadzą ci sami ludzie. A że w dawnej prasie faktycznie nie było stałych działów literackich, bo to było zarezerwowane dla jednego tylko tygodnika *Literaturna Ukraina*, i przy oszczędności papieru, wszystko pozostało po staremu albo się pogorszyło.

Bardzo niedobrze wyszła literaturze ogólna polityzacja życia kulturalnego. W ten sposób nieliczna prasa literacka została zupełnie obłupana z tekstów literackich, a w miejsce tego uprawia przeważnie publicystykę polityczną i to na miernym poziomie.

Polityzacja szkodzi literaturze, ale w warunkach niespodziewanie odzyskanej niepodległości jest prawdopodobnie nie do uniknięcia. Stąd też pęd wielu czasopism do drukowania politycznych tekstów i udział literatów w życiu politycznym na niekorzyść literatury. W ostatnim parlamencie było aż dwudziestu pisarzy, ale ponieważ nie zdali egzaminu w oczach wyborców lub nienawidzących ich urzędników, zostali w większości wyrzuceni za burtę. Ale tylko nieliczni wrócili do pisarstwa. Większość bawi się dalej w politykę. Niektórzy poszli do dyplomacji i nielicznym z nich udało się zabłysnąć w nowym rzemiośle jak np. dotychczasowemu ambasadorowi w Izraelu, Jurijowi Szerbakowi — lekarzowi z wykształcenia a pisarzowi z zamiłowania. Odegrał on wielką rolę w zbliżeniu między Ukrainą i Izraelem, a kwestia ta była z różnych przyczyn bardzo obciążona przeszłością. Po udanej misji w państwie żydowskim Szerbak poszedł w górę i został ambasadorem w Stanach Zjednoczonych. Nie jest to dziś wyjątek, znane są też przykłady z innych krajów.

Polityzacja ma jednak przeważnie negatywne skutki. Oto główny organ Związku Pisarzy, *Literaturna Ukraina*, zamiast roztrząsać sprawy literatury, stał się niemalże wyłącznie trybuną polemik politycznych. Na skutek tego zanikła krytyka literacka, częściowo z braku łamów na uprawianie tej dla życia literatury fundamentalnej dziedziny, częściowo z winy samych krytyków. Niewątpliwie wielu z nich trudno jest przejść z dawnych pozycji socrealizmu na wolne od ideologicznych nawyków traktowanie tekstów pod kątem widzenia kunsztu pisarstwa, nowych treści czy śmiałych eksperymentów. Ów zanik krytyki literackiej jest chyba najboleśniejszą stroną we współczesnych procesach twórczych. Pisarze zostali jakby sami i ta samotność niektórym, a czytelnikom przede wszystkim, nie wychodzi na zdrowie.

Upolitycznienie literatury, a raczej dużej części twórców,

wystąpiło w radykalny sposób po oświadczeniu nowego prezydenta kraju, Leonida Kuczmy, o uznaniu języka rosyjskiego jako oficjalnego, obok ukraińskiego jako języka urzędowego. Pisarze przyjęli to oświadczenie jako obalenie dotychczasowej polityki językowej zorientowanej na derusyfikację Ukrainy. Rozpoczęła się nieustająca akcja konferencji, zbierania podpisów, pisania listów z protestami do prezydenta, co siłą rzeczy pożało energię i siły na niekorzyść pracy twórczej.

Mimo to ukazują się oczywiście nie tylko reedycje utworów zapomnianych, zabronionych i nieznanych, ale i nowości wydawnicze. Na skutek istniejących chaotycznych warunków i braku pism bibliograficznych, pozwalających na orientację w utworach beletrystycznych i poetyckich, jest rzeczą niełatwą próba przedstawienia całościowej syntezy. Zasłużone w tej dziedzinie pismo *Knyżnyk* przestało ukazywać się w roku 1993. Ograniczę się więc do ogólnej charakterystyki współczesnej twórczości literackiej. Przeważa już nie odrzucony realizm socjalistyczny ale realizm krytyczny przedstawiający niedawną przeszłość i teraźniejszość bez retuszu i upiększeń. Jest to kierunek odzwierciedlający życie jednostki w kafkowskich labiryntach biurokracji, zagubienie w warunkach kolektywizmu i bezduszości urzędniczej, świat nierówności społecznej w ramach sztywnej hierarchii partyjnej. Wielu autorów średniego pokolenia powraca do spraw epoki kłamstwa i obłudy, fałszywych wartości i pojęć. Przodują na tym polu prozaicy jak Anatolij Dymarow (ur. 1922), Jewhen Hucalo (ur. 1937), Walerij Szewczuk (ur. 1939).

Do nowatorów należą autorzy traktujący życie społeczne z sarkazmem, nie cofający się przed poruszaniem tematów, które były dotychczas tabu, jak erotyka, oszustwo, cwaństwo, schorzenia psychiczne. W tym kierunku celują Jurij Andruchowycz (ur. 1960) lub Jewhen Paszkowskyj (ur. 1950).

Specyficzna tematyka zarówno w prozie jak i poezji to apokaliptyczne wydarzenie katastrofy atomowej w Czarnobylu. Wielu twórców poświęciło swoje dzieła temu wstrząsowi cywilizacji. Czarnobyl odbił się też głębokim echem w twórczości poetyckiej. Spośród wielu poematów i wierszy wybija się przede wszystkim dzieło Iwana Dracza „Czarnobylska Madonna”. Ogólny ton i myśl przewodnią tych wszystkich utworów stanowi radykalny odwrót od powszechnej niegdyś akceptacji i wychwalania techniki.

Natomiast w prozie dotychczas nie powstało jakieś epokowe dzieło, w którym jawiłaby się tragiczna dola Ukrainy w okresie stalinizmu. Funkcję tę wykonują publikacje dokumen-

tacyjne i wspomnieniowe. Na tym odcinku prym wiedzie Roman Iwanyczuk (ur. 1929).

Bujniej niż proza rozwija się poezja, przy czym najwyższą skalę obok „wielkiej damy” sztuki wierszowanej, Liny Kostenko i Mykoły Winhranowskiego osiągnęli młodzi. Witalij Korotycz, przedstawiciel średniego pokolenia, wyjechał najpierw do Moskwy podczas *perestrojki* Gorbaczowa, gdzie podjął się kierownictwa popularnego tygodnika rosyjskiego *Ogoniok*. Następnie, przed puczem w sierpniu 1991 roku, wyjechał do Stanów Zjednoczonych skąd nie powrócił ani na Ukrainę, ani do Rosji i utracił związek z ojczystą literaturą.

Nowa generacja poetów tworząca po prześladowaniach w warunkach wolności, to zupełnie odmienna formacja od poprzednich pokoleń, mniej dbająca o tradycyjne kanony wierszowanej myśli, a bardziej szukająca głębokości tekstu, powiązań ze wszechświatem, prezentująca świeżość nie zużytych obrazów i metafor, głębsza w odkrywaniu transcendentnych dążeń ludzkich, tęsknot i zagrożeń. Do nich należą przedstawiciele szkoły, powiedziałbym, antropo-filozoficznej, lwowianin Ihor Kałyneć, mieszkający w Kijowie, ale tkwiący głęboko w lasach wołyńskiego Polesia, Wiktor Kordun, i mistrz zaskakujących metafor ze wschodu Ukrainy, Wasyl Hołoborodko. Potem idą trochę młodszy, niefrasobliwi, awanturniczy, bliżsi ziemi i jej zwykłych spraw, nie gardzący erotyką, Jurij Andruchowycz i Wołodymyr Cybulko, choć na tym polu prześcignęła wszystkich jedna z najdziwniejszych młodych poetek, Antonina Cwyd.

Podsumujmy przegląd dwoma aspektami: kwestią podręczników literatury i sprawą recepcji obcego piśmiennictwa. Stare sowieckie antologie i zarysy historii literatury poszły w większości na przemiał. Nowych jednak z początku nie było i pomagano sobie przestarzałym dziełem historyka Hruszewskiego. Dopiero teraz ukazał się pierwszy tom solidnej „Historii ukraińskiej literatury XX stulecia”, który jest wspólnym dziełem około dwudziestu czołowych współczesnych historyków literatury. Dodatkowym informacyjnym źródłem są almanachy z drugiego zjazdu Międzynarodowego Kongresu Ukraińców we Lwowie w 1993 r.

Natomiast recepcja literatury obcej to sprawa niezwyklej wagi, gdyż Ukraina była przez pół wieku odcięta od najważniejszych dzieł literackich powstających za granicą. Zajmuje się tym prawie wyłącznie miesięcznik literacki *Wseswit*. Jest to zadanie przerastające możliwości jednego czasopisma. Ale mimo to *Wseswit* co miesiąc odsłania rąbek dawniej zakazane-

go świata literatur amerykańskiej, niemieckiej, francuskiej, skandynawskiej, włoskiej, hiszpańskiej, polskiej, czeskiej lub węgierskiej. W ten sposób ukraińscy czytelnicy dostają do rąk po raz pierwszy dzieła od Gabriela Garcii Marqueza do Milana Kundery i Czesława Miłosza czy Friedricha Dürrenmatta.

Bohdan OSADCZUK

Lubelskie „Spotkania Kultur”

Od końca września do końca października 1994 r. odbywał się w Lublinie cykl imprez pod nazwą SPOTKANIA KULTUR. Przez 5 tygodni w siedzibie organizatora — Teatru NN, swoją twórczość prezentowali artyści uprawiający różne dziedziny sztuki. Byli wśród nich: malarze, graficy, fotograficy, muzycy, aktorzy, reżyserzy, pisarze, poeci, tłumacze, krytycy sztuki, wreszcie animatorzy kultury — prowadzący małe i wielkie instytucje kulturalne. Organizatorom przyświecała idea przybliżenia polskiemu odbiorcy sztuki narodów sąsiadujących z Polską i współtworzących dziedzictwo kulturalne tej części Europy.

SPOTKANIA zainaugurowała wystawa lwowskiego plastyka — Wołodymyra Łobody. Wernisażowi, który miał miejsce 22 września, towarzyszyło spotkanie z Tadeuszem Karabowiczem — poetą, tłumaczem literatury ukraińskiej oraz projekcja filmu o skansenie w Holi.

Kolejne cztery dni od 26 do 30 września wypełniło SPOTKANIE z 18-osobową delegacją intelektualistów niemieckich, której przewodniczył prezes Związku Pisarzy Niemieckich — Erich Loest, który miał swój wieczór autorski. Efektem wizyty było przyjęcie wstępnych założeń projektu „Wspieranie literatury polskiej w Niemczech i literatury niemieckiej w Polsce”. Organizatorem pobytu, oprócz Teatru NN, było Deutsche Gesellschaft, a współpracowali MDK „Vetter”, Muzeum Literackie im. J. Czechowicza i Zakład Filologii Germańskiej UMCS.

Dwudniowe SPOTKANIE ZE LWOWEM 5 i 6 października rozpoczął teatralny wernisaż artystów Stowarzyszenia Artystycznego „Szlach”. Wystawa ich obrazów i grafik towarzyszyła wieczorowi autorskiemu poety — Wiktora Neboraka oraz spotka-

niu z Halą Kanarską — krytykiem teatralnym. Znany z wcześniejszych wizyt w Lublinie Teatr im. Łesia Kurbasa pokazał „Zabawy dla Fausta”, wg. Fiodora Dostojewskiego.

9 października wystąpił z koncertem oryginalnych pieśni — sięgających swoim rodowodem czasów Kijowskiej Rusi — Zespół Śpiewaczy ze wsi Kriaczkiwka na Połtawszczyźnie.

10 października zagrał i zaśpiewał jeden z najpopularniejszych bardów opozycji — moskiewski dramaturg — Julij Kim.

11 i 12 października swój artystyczny dorobek prezentowała stolica Białorusi — Mińsk. SPOTKANIE rozpoczął wernisaż malarstwa i grafiki Michała Aniempadzystawa. Po nim nastąpiły spotkania: z sekretarzem generalnym Białoruskiego Centrum ITI — Antoniną Michalcową oraz przedstawicielem Ministerstwa Kultury Białorusi — Wacławem Waładzko. Zakończył je pokaz video spektaklu „Zapiski wariata” — laureata Grand Prix na I Międzynarodowym Festiwalu Teatrów Jednego Aktora — Mińsk '93. Drugiego dnia odbyły się kolejne spotkania: z poetą — Leonidem Drańko-Majsiukiem, prowadzone przez Sergieja Kowaliowa oraz z krytykiem teatralnym — Halą Kanarską. Białoruską prezentację zakończył spektakl, laureat nagrody Związku Twórców Teatralnych Białorusi na wspomnianym festiwalu — „Testament od Władimira”.

13 października miał miejsce jedyny polski akcent SPOTKAN KULTUR. I to polski tylko ze względu na proveniencję. Bowiem Ośrodek „Pogranicze” z Sejn, który prezentował swoją działalność, zajmuje się problematyką zjawisk powstających na styku kultur. Jego twórcy penetrują kulturę wszystkich narodów zamieszkujących Europę Środkowo-Wschodnią. Program prezentacji obejmował spotkania z liderami „Ośrodka”: Krzysztofem Czyżewskim i Bożeną Szroeder, ich gościem — ambasadorem Republiki Węgier w Polsce — Akosem Engelmayerem, projekcję filmów dokumentalnych, promocję pozycji wydawniczych. Wszystko wśród fotografii obrazujących dotychczasową pracę.

Drugie kulturalne centrum Ukrainy — Kijów, wypełniło swymi działaniami kolejne dni SPOTKAN: 17, 18 i 19 października. Pierwszego dnia miał miejsce wieczór autorski Jurija Andruchowycza — pisarza, połączony z promocją świeżo wydanej w języku polskim jego książki „Rekreacje”. Drugim dniem zawiądnęła Galeria Uniwersytetu Kijowsko-Mohylańska Akademia. Ekspert tej Galerii — Sergiej Szkanow, otworzył wystawę złożoną z prac znajdujących się w jej zbiorach, autorstwa współczesnych artystów ukraińskich, zaprosił na projekcję filmów dokumentalnych pod wspólnym tytułem „Historia Sztuki Ukrainy” oraz przedstawił swojego gościa — Switłanę Szabałtinę, która wykonała utwory fortepianowe współczesnych kompozytorów ukraińskich i wygłosiła referat pt. „Związki Romantyzmu

ukraińskiego z muzyką Chopina”. Trzeci dzień poświęcono postaci wybitnego reżysera Sergiusza Paradżanowa. Historię jego życia i twórczości przedstawił Sergiej Szkanow. Po jego wystąpieniu odbyła się projekcja filmu „Kolor granatu”. Prezentację Kijowa zakończył spektakl „Ja, Jan...” Teatru laboratorium NASCENTES.

21 października to dzień Czeskiego Centrum z Warszawy. Instytucję będącą swoistym ambasadorem kultury czeskiej w Polsce reprezentowała jego dyrektorka — Irena Krasnicka. Towarzyszył jej gość Centrum — Krzysztof Wojciechowski — fotografik, tłumacz literatury czeskiej. Dyrektor Krasnicka otworzyła wystawę fotograficzną „Hrabal oczyma przyjaciół — fotografików” i zaprosiła na film poświęcony twórczości niedawno zmarłego pieśniarza Karla Kryla. Była okazja do zapoznania się z działalnością placówki i jej wydawnictwami.

Szczególny charakter miało kolejne spotkanie: 24 października — poświęcone kulturze Romów. Wyjątkowość owego zdarzenia polegała na tym, iż Cyganów pokazano „oczami Polaków”. W programie wieczoru znalazły się: otwarcie wystawy fotograficznej „Pożegnanie taboru” autorstwa Andrzeja Polakowskiego, promocja książki Adama Bartosza „Nie bój się Cygana” (niestety bez udziału autora), koncert piosenek cygańskich w wykonaniu zespołu z MDK „Vetter” oraz projekcja filmu „Historia Cyganki” zrealizowanego przez Gregora Kowalskiego.

Ostatni dzień SPOTKAN, a był nim 26 października, wypełnili krymscy Tatarzy. Dali oni okazję do poznania historii i kultury tego narodu. Szewket Kajbulajew — redaktor naczelny pisma *Kjaserwet* mówił o wiekach wspaniałości, tragicznych minionych dziesięcioleciach oraz dniu dzisiejszym Tatarów krymskich. Za artystyczną stronę imprezy odpowiadali: fotografik — Rifkat Jakupow oprowadzający po własnej wystawie fotografii z Krymu i plastyk — Ramiz Nietowkin, prezentujący jedną z form swojej bogatej twórczości — mistrzowsko wykonane rysunki i akwarele.

Wart odnotowania jest fakt ogłoszenia konkursu dla młodzieży szkół ponadpodstawowych na recenzję ze SPOTKAN. Jury konkursowe przyznało nagrodę pieniężną Katarzynie Grzybowskiej — uczennicy Społecznego Liceum Ogólnokształcącego im. A. Stanisławskiego w Lublinie.

Honorowy patronat nad SPOTKANIAMi objął Prezydent Miasta Lublina, a finansowego wsparcia udzieliły im: Wydział Kultury Urzędu Miejskiego, Fundacja Stefana Batorego i Fundacja Kultury.

SPOTKANIA KULTUR mają szansę stać się cykliczną imprezą organizowaną w Lublinie.

ANTOLOGIA POEZJI NIEMIECKOJĘZYCZNEJ SCHYŁKU DWUDZIESTEGO WIEKU

Wydawnictwo „Książnica” w Katowicach oraz zespół redakcyjny przygotowujący do druku antologię współczesnej poezji niemieckojęzycznej pragną zaprosić do ewentualnej współpracy młodych tłumaczy (np. studentów germanistyki) poezji niemieckojęzycznej na język polski. Idzie tu o poezję niemiecką, austriacką i niemieckojęzyczną szwajcarską powstałą mniej więcej na przestrzeni ostatnich trzech dziesięcioleci.

Zainteresowani proszeni są o przesłanie — tytułem próby — od trzech do pięciu dowolnie wybranych przełożonych na język polski niemieckojęzycznych wierszy (wraz z oryginałami) powstałych po roku 1968.

Tłumacze, którzy wykazą się należytych umiejętnościami zostaną listownie poinformowani o możliwościach dalszej współpracy.

Przełożone teksty wraz z oryginałami proszę przysyłać na następujący adres:

Andrzej Słomianowski
Albert-Schweitzer-Weg 3
D-66450 Bexbach
Allemagne

Dwutygodnik polonijny

prasa
polska

Adres redakcji:

Prasa Polska
3, rue Robert Houdin
75011 Paris, FRANCE
Tel. (33-1) 49.29.04.30
Fax (33-1) 49.29.97.60

Ukazuje się od marca 1994 • Około 40 stron • Format A4

Polska widziana poprzez najlepsze teksty prasy krajowej — od dzienników do kwartalników. Także międzynarodowy przegląd polonijny i forum polskie, w którym wypowiadają się autorytety naszego życia społecznego.

Celem pisma jest utrzymanie trwałych związków z krajem, zbliżenie środowisk polonijnych oraz wzmacnianie poczucia wspólnoty ziemi, kultury, języka.

Wystarczy wysłać swój adres, aby otrzymać najnowszy numer.
Serdecznie zapraszamy.

Koszt prenumeraty rocznej — 26 numerów (półrocznej — 13 numerów) wynosi:
FF 320 (190), DM 95 (60), £ 38 (25), SUSA 55 (35), SCAN 70(45), SAUS 80 (50)

Książki

Koniec z końcem

W 1992 roku Adam Podgórecki, socjolog Uniwersytetu Warszawskiego i Uniwersytetu Carleton w Ottawie, przysłał mi kolejny tomik swoich maksym i anegdot, powiedzonek i alegorii Si-Tiena, chińskiego mędrca, który od lat stanowi jego *porte-parole*. Znalazłem tam następującą przypowieść o mądrości, którą tłumaczę:

„Mędrzec Gwu Su zwrócił się do Si-Tiena z pytaniem; Powiedz proszę, co jest doniosłe?

— Nie chodzi o dopracowanie szczegółów, ale o to by iść ważnym tropem, odparł Si-Tien.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Że nie część, ale całość się liczy — odparł Si-Tien.

— Może zechcesz to wyjaśnić? — poprosił Gwu-Su.

— Chcę po prostu powiedzieć, że liczy się nie pojedyncze ogniwo, ale cały spleciony łańcuch — brzmiała odpowiedź Si-Tiena.

— Co się zatem liczy? — spytał Gwu Su.

— Najważniejsze nie wdawać się w dyskusję z osłem — odparł Si-Tien”.

Wierny tej zasadzie napisał najważniejszy traktat socjologiczny o polskim społeczeństwie, jaki się w powojennym okresie ukazał od czasów „Życia na niby” Kazimierza Wyki, ale zarazem wierny swojej pokoleniowej zasadzie zawodowej wyniosłości zadbał o to, by traktatowi utrudnić drogę do czytelnika¹. Postaram się niektóre z tych utrudnień załagodzić, bo warto.

1. Adam Podgórecki, Polish Society, Praeger, Westport, Conn., 1994. Książka ukazała się w wydawnictwie Praeger w małym nakładzie, jest w Europie trudno dostępna — czekałem zamówiwszy ponad trzy miesiące — i bardzo droga (liczy 190 stron, ale kosztowała 152 guldeny czyli ok. 85 dolarów), wydawnictwo nie podjęło żadnej próby koprodukcji albo kodystybuji w Polsce, itd.

Przed wszystkim zatem Podgórecki nie traci czasu na intelektualne gierki i cyzelowanie metodologicznych narzędzi; chce mówić o społeczeństwie i o tym, dlaczego socjologia nie potrafi tego społeczeństwa ani opisać ani zrozumieć. Uważa, że to co się z polskim społeczeństwem stało i to, w jaki sposób wykształściło ono gry narzucone przez mijające stulecie, pozwala mówić o „naturalnym laboratorium w skali makro” (s. 9). Jest przy tym zdecydowanie związany z krakowsko-warszawskimi krytycznymi intelektualistami, których dojrzewanie i zawodowe awanse przypadają na lata sześćdziesiąte (od 1964 do 1968 roku odsiadywałem liceum ogólnokształcące, więc z twórczością tej grupy zacząłem się stykać dopiero w latach siedemdziesiątych; na studiach i pisząc doktorat). Nie potrafi wybaczyć komunistycznej przeszłości nie tylko Baumanowi i Kołakowskiemu, ale nawet Sztompce czy Wesołowskiemu. Na próżno by u niego szukać „grubej kreski” Mazowieckiego. Książce dobrze to robi, bo jest znacznie soczystsza i ciekawsza niż to co powstaje w cieniu wielkich nawróceń na antykomunizm i liberalizm.

Omawiając typ naukowca-socjologa Podgórecki trafnie zauważa, że ukształtował się on pod ciśnieniem polskiej tradycji inteligentkiej („żarliwy amator”) oraz pod wpływem austro-niemieckiej tradycji uniwersyteckiej („feudalny biurokracizm”), a w okresie socjalizmu państwowego przekształcił w dwie główne odmiany — badacza instrumentalnego i malowniczo-widowiskowego (*spectacular*). Nawiasem mówiąc Podgórecki jako pierwszy w polskiej literaturze przedmiotu i jeden z pierwszych na świecie zwraca uwagę na dziwną ślepotę „szkoły frankfurckiej”². Chodzi mianowicie o to, że choć przedstawiciele „teorii krytycznej” analizowali faszyzm i osobowość autorytarną, to nabierali wody w usta kiedy chodziło o analizę psychospołecznych aspektów zniewolenia niemieckiej nauki, czyli osobowości niemieckiego naukowca społecznego. Dlaczego? Otóż moim zdaniem także dlatego, że sami byli dość typowymi przedstawicielami tej akademickiej niemczyzny i potrafili równie autorytarnie bronić własnych zagrożonych interesów co Heideggerowie i inni (obrzydlawie potraktowali na przykład Waltera Benjamina³).

2. Dubiel badał wczesną historię szkoły frankfurckiej i w czasach, kiedy spotykaliśmy się jeszcze na letnich dyskusjach w Dubrowniku planował analizę podobnych zagadnień. O ile mi jednak wiadomo odsunął się od świata i zaszył w swoim domu w Toskanii. Honneth skończył terminowanie u Habermasa i objął katedrę filozofii politycznej w Berlinie gdzie zajmuje się klasyką w rodzaju Hegla, Rousseau i Marksa oraz patologią społeczną na nieco modną nutę (w tomie wydanym właśnie u Fischera mowa jest o prostytutce, ale nie socjalistycznych uczonych tylko panienek z trzeciego świata w świecie pierwszym).

3. Przygotowując w 1988 roku światowy kongres poświęcony teorii

Podgórecki ma więc rację, że badając polskie produkty socjalistycznej nauki i inne postsocjalistyczne środowiska socjologiczne możemy się wiele nauczyć także jeśli idzie o zrozumienie osobowościowej podstawy innych totalitarnych obłądów (np. fundamentalizmu muzułmańskiego).

Podgórecki nader wnikliwie zauważa, że ślepotą teoretyczną spotęgowana jest jeszcze jednym nader znamienym faktem. Oto wielu spośród patologicznych, pozornych socjologów z byłych krajów komunistycznych uchwyciło niezłe katedry na uniwersytetach Zachodu. Gdyby chcieli przeprowadzić rzetelną i szczerą analizę swojej pozornej działalności i kariery w kraju za komunizmu, musieliby poniekąd napisać donosy na samych siebie, a na to niewielu ma ochotę. Wolą, słusznie z własnego punktu widzenia, prowadzić badania, tym razem nie pozorowane i udawać, że zawsze tak było. Nie chodzi o to, by ich wskazywać palcem, ale o to, by wyjaśnić dlaczego tak niewiele prac socjologicznych poświęconych jest typom osobowości naukowca z PRL. Jest to tym dziwniejsze, że sprawy są jeszcze w pamięci całkiem świeże. Pamiętam na przykład, że kiedy SB za pośrednictwem organizacji partyjnej na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu⁴ zablokowało moją nominację uniwersytecką, udało mi się, po nieudanej ucieczce na kulturoznawstwo we Wrocławiu i administracyjnej funkcji w PAN-ie, wylądować w Zakładzie Psychologii IFiS-u. Otóż jego szef był typowym socjalistycznym docentem a później profesorem, który trzymał się kurczowo rąbka politycznej łaski, jakim był przyznany mu ciasny ale własny zakładzik w PAN-ie. Cała działalność badawcza zakładziku była dość pozorna, skupialiśmy się na ogół wokół badań wyłącznie w dobie pisania sprawozdań, a ponieważ

krytycznej i naukom o zarządzaniu wpadliśmy z moim holenderskim kolegą, Fritsem Engeldorpem-Gastelaarsem na nie opublikowane listy Maxa Horkheimera do Waltera Benjamina z okresu poprzedzającego samobójstwo Benjamina w Pirenejach. Nie wystawiają one, oględnie mówiąc, najlepszego świadectwa Adorno i Horkheimerowi jako managerom nauki.

4. Nie byłem nigdy członkiem partii, a kiedy mnie zapytano, czy nie zostałem (tuż przed obroną doktoratu) sugerując, że może wtedy uda się przekonać nieżyczliwe SB, odpowiedziałem z pełną młodzieńczą wdzięku arogancją, że ja do partii należeć nie muszę, bo jestem inteligentny i dam sobie i tak radę. Mój promotor tak się przestraszył, że przybiegł do mnie do domu w wigilię mojej obrony by uprzedzić, że nie będzie nawet próbował przyjąć mnie do pracy, bo mogłoby mu to popsuć szyki w rozeźlonemu na mnie KW — biedaczek był wtedy przejęty tym, że jedząc obiady w stołówce KW może się stykać na co dzień z władzą. Dziś patrzę na to z melancholijnym chichotem i myślę, że bardzo mi wówczas swoim zachowaniem pomógł w zachowaniu niezawisłości i samorządności osobistej.

byliśmy inteligentniejsi od czytających te sprawozdania, więc egzystencja choć nudna i uboga była w środowisku nienaturalnym państwowego socjalizmu prawie pewna (my wisielśmy na pozorach u szefa, szef u profesora z Warszawy, ten ostatni u władców i harmonia była całkowita jak w bajeczce o rzepce).

Wracając do Podgóreckiego należy stwierdzić, że w czasie naszej małej pozornej stabilizacji on już przegrał bitwę o instytucjonalne zdobycze w ramach polskiej socjologii i szukał oparcia w świecie zachodnim. O ile jednak w pokoleniu Podgóreckiego jeszcze bitwy takie staczano, o tyle tacy socjalistyczni docenci jak nasz ówczesny nawet nie próbowali (szczytem ich marzeń było dostarczanie pesymistycznych prognoz Olszowskiemu, który uchodził za inteligentnego politbiurowca i popierał różne złudzenia kierowniczych kadr intelektualnych). Podgórecki opisuje rozbicie stwarzanego przezeń instytutu (prewencji i resocjalizacji, bowiem skupił się na socjologii prawa) i z jakimś zdumieniem stwierdza, że polski świat akademicki przyglądał się niszczycielskiej działalności partyjno-ubeckich łajdaków z zadziwiającą obojętnością (*puzzling indifference* — s. 24). Słusznie też właśnie tej obojętności i konformistycznej, lekkiwej neutralności swoich kolegów po fachu przypisuje decydującą rolę. Właśnie cisi i potulni, obojętni i zastraszeni okazali się architektami sukcesu nomenklatury. Wyprowadza stąd dwa ciekawe wnioski teoretyczne co do nowatorstwa w zarządzaniu nauką. Po pierwsze uważa, że trzeba było zmieknąć jakiegoś władcę i uzyskać dostęp do nagród i przywilejów (taki patron byłby wówczas zapewnił dostęp do nagród i ochronił przed karami). Po drugie uznaje, że uzyskawszy ów dostęp można było zbudować sobie zaplecze zwolenników (*constituency* czyli dosłownie zbiór wyborców). Po trzecie dochodzi do wniosku, że skoro nie uzyskali dostępu do patrona i nie zbudowali zaplecza zwolenników, to byli zjawiskiem przedwczesnym. Nie sądzę by ta przedwczesność wynikała z braku patrona i zaplecza zwolenników w środowisku naukowym. Zgadza się, że w ówczesnym kontekście politycznym rezygnacja z poszukiwań patrona była błędem co najmniej taktycznym. Należało znaleźć, powiedzmy, swojego Kliszkę, który lubił Norwida — ot, powiedzmy, Olszowskiego, który lubiłby prewencję i resocjalizację. Zgadza się też, że znalazłszy patrona trzeba go było wykorzystać do zbudowania sobie półjawnej sieci poziomej zawodowych i pozazawodowych (np. w prasie albo telewizji, wymiarze sprawiedliwości albo TPN-ie) popleczników, przyjaciół i klientów. Ale nie sądzę, by pojawienie się szkoły socjologii prawa było „przedwczesne”, bo nie sądzę, że istnieje boski zegar jedynie słusznej samej pory, którego brak powoduje działania nie w porę, a więc przedwczesne albo spóźnione. „Przedwczesne” było może tylko w tym dość wąskim i

nieintuicyjnym sensie, że instrumentalne nastawienie środowiska naukowego (ładnie ukazane przez Zanussiego w „Barwach ochronnych” i „Strukturze kryształu”) nie pozwalało temu środowisku jeszcze docenić wyrafinowanej pikanterii intelektualno-moralnej zapewnianej środowisku zawodowemu przez zwolenników postawy pryncypialnej. Natomiast ma Podgórecki rację, że wśród kandydatów na pryncypialnych rywali władców na stanowiskach nieformalnych przywódców opinii publicznej, niezależnych intelektualistów i w ogóle „władców dusz” też wrzała zażarta walka. Równie zażarta, co walka o stanowisko pierwszego sekretarza partii komunistycznej. Charakterystyczne, że choć Podgórecki nie cofa się przed wymienieniem nazwisk ubecko-partyjnych niszczycieli swego instytutu (Jedlewski, Krukowski, Kosewski), w przypadku malowniczo-widowskich kandydatów do rządu dusz zachowuje pełną dyskrecję. Píše, że ci malowniczo-widowskowi też są żałośni i pozorni, też nie uprawiają nauki a walczą o wpływy, ale przyznaje, że czasem zdobywają się na akt odwagi cywilnej. Głoszą bowiem coś innego niż władze. Wystarcza by ich uchronić przed wymienieniem z nazwiska. Ale nie wystarcza by uniknąć potępienia. Jakże stąd wnioski? Pesymistyczne: obok instrumentalnie nastawionych koniunkturalistów i widowsko-malowniczych moralistów tylko tradycyjni, autentyczni badacze reprezentują prawdziwy etos naukowy, ale ci szybko znikają (*[are] rapidly disappearing*, s. 31).

Tyle o socjologach i braku analiz i wyjaśnień ze strony przedstawicieli tego zawodu. Następnie autor przechodzi do analiz polskiego społeczeństwa po II wojnie światowej. Zwraca uwagę na podstawowy a rzadko analizowany fakt olbrzymiego awansu wielkich mas ludzi (42 % obywateli powojennej Polski cieszyło się z wyższej pozycji społecznej niż pozycja, którą zajmowali ich ojcowie — Podgórecki powołuje się na Stefana Nowaka i Adama Sarapatę) i na duże znaczenie wtórnego źródła dochodów dzięki „ukrytej gospodarce”. Oba te istotne fakty wskazują na fundamenty tolerancji i obojętności wobec komunistycznych swawoli — co Podgórecki trafnie nazywa „nieczystą koegzystencją” (*dirty togetherness* — s. 44). Wskazują też na podstawowe przeszkody w zwiększaniu roli społeczeństwa obywatelskiego i samorządności lokalnej dla kontroli władz politycznych. Podgórecki niezwykle trafnie (wiem co mówię, wielu moich przyjaciół działa we władzach lokalnych) cytuje rzecznika praw obywatelskich, Ewę Łętowską, która mówi, że choć sytuacja zmieniła się na lepsze, bo nowe „post-solidarnościowe” władze cieszyły się mandatem społeczeństwa (którego brakowało komunistom mogącym co najwyżej liczyć na strach i obojętność), to jednak właściwej więzi i sprzężeń zwrotnych z zapleczem, z *constituency* w dalszym ciągu brakowało, a

samorządność lokalna nie doczekała się należytego poparcia i zachęty. Tłumaczy to, moim zdaniem, sukces postkomunistów i nihilizmu społecznego, odnotowanego już przez Wykę w doskonałym „Życiu na niby” (chwała Podgóreckiemu, że to wielkie dzieło powojennej polskiej socjologii wyjął z przegródki „polonistyka a może historia” i włożył do przegródki „socjologia”). Tłumaczy także, dlaczego polskie życie społeczne (typowe zresztą także dla innych zbiorowości żyjących w warunkach systemu komunistycznego) rozpada się na „życie duchowe” z jednej, wzniosłej strony i na „załatwianie spraw” z drugiej, przyziemnej i nieco szarej strony codziennej krzątania (Podgórecki cytuje tu Janinę Wedel, której pracę „Polska prywatna” z roku 1986 warto by i w kraju wydać). Prowadzi to do wynaturzenia wielu instytucji społecznych — na przykład instytucji rodziny, która nie potrafi unieść olbrzymiego ciężaru „kompensacji” patologii życia społecznego i degeneruje się. Mam wrażenie, że wiele polskich rodzin to intersubiektywne więzienia równie nieprzyjemne co wiele polskich szkół czy uczelni. Ale taki ostry podział na duchowe ozdoby i podejrzanе interesy prowadzi też do bylejałości i korupcji, do całej infrastruktury „nieczystej koegzystencji” legitymizującej bylejałość (jak to ujmuję pewna moja przyjaciółka: „Polak potrafi, ale mu się nie chce”) i — co słusznie podkreśla Podgórecki — perwersyjnie legitymizującej i umacniającej system prawny i polityczny. Wobec takiej infrastruktury całkiem słusznie postępują ci widowiskowi kandydaci na „władców dusz”, którzy własne zasady traktują nie jako scenariusz do przyziemnej, skutecznej działalności, ale jako katalpę do widowiskowego, efektownego gestu. Takie efektowne gesty zastępują bowiem skuteczne działania, gdyż te ostatnie wyhamowuje i neutralizuje infrastruktura nieczystej koegzystencji. Stąd gestykulacja jest najważniejsza — i sejm woli rozmawiać o aborcji niż o przystąpieniu do GATT, o konkordacie niż o prywatyzacji, o koronach orzełka niż o prawach i podatkach, itd.

Zatem pragnąc wyjaśnić uspołecznienie polskiego społeczeństwa musimy, zdaniem Podgóreckiego, sięgnąć po narzędzie teoretyczne jakim jest model metapostaw, które się wyłoniły u Polaków w następstwie historycznych i społecznych nacisków. Do metapostaw takich zalicza autor na przykład „bierne przetrwanie” i „pryncypialność na pokaz”. Te metapostawy kształtują, jego zdaniem, strukturę społeczną. W szczególności prowadzą do marnotrawienia energii na stworzenie fasady osobowościowej (dane socjologiczne i historyczne, pisze Podgórecki, potwierdzają tezę, iż społeczeństwo polskie jest szczególnie skłonne do wypracowywania przesadnie rozbudowanych osobowości fasadowych, które następnie traktuje się jako autentyczne

— s.72). Ponieważ takie fasady wymagają starannej pielęgnacji, więc też społeczeństwo polskie nieufnie traktuje obcych, którzy mogliby za nie zajrzeć. Stąd Podgórecki, cytując Łukasiewicza, powiada, że polskie społeczeństwo jest w zasadzie zamkniętą wspólnotą równych jednostek połączonych więzami krwi i plotki. „Krew i plotka” — oto klucz do zrozumienia naszej zbiorowości, w której po II wojnie światowej do selekcji negatywnej jednostek dołączono jeszcze nowatorską, komunistyczną selekcję całych pokoleń.

Krew i plotka: brzmi to nader poważnie i niezbyt pochlebnie. Ale Podgórecki ma sposób na pokrzepienie serc. Rezygnuje z kasandrycznych tonów i wspomina ciepło etos inteligencji. Byłoby źle, ale udało się odnaleźć złoty róg. Na szczęście od logofagów, przez kluby Krzywego Koła i towarzysztwa kultury moralnej (faktycznie, pamiętam mgliście, że na pierwszych latach studiów ocierałem się o te ostatnie) wiedzie prosta droga do Jana Józefa Lipskiego, KOR-u i „Solidarności”, a więc do rewolucji oczekiwań, upadku komunizmu i historycznej szansy Polaków na społeczniejsze uspołecznienie. Czy mamy szansę na wykorzystanie tej szansy?

To zależy od tego, jak wykorzystamy posttotalitarne reguły społecznej gry. Zdaniem autora w społeczeństwie posttotalitarnym nadal istnieje nomenklatura, komunistów nie rozliczono, autorytaryzm i biurokracja nadal mają zbyt szerokie i dowolne pole do popisu, ludzie popadają w apatię, a oddolne formuły demokracji zbyt powoli i nieśmiało zapełniają się żywą treścią. Podgórecki wygłasza tu apel moralny, który brzmi bardzo szczerze i przekonująco:

„Podstawowe znaczenie ma przekonanie ludzi o sensie bezstronnych procedur w społeczeństwie zatrutym brudną koegzystencją i wzajemnymi przysługami. Należy też wyjaśnić rozmaite odmiany marksowskiej 'fałszywej świadomości', wydobyc z archeologiczną precyzją na światło dzienne prawdziwą wartość i znaczenie pojęć, bezlitośnie usunąć mity — mity związane zarówno z naukowymi jak i pseudonaukowymi koncepcjami otaczające legendą rozmaite jednostki. Jest rzeczą godną uwagi, że w epoce totalitaryzmu, kiedy cenzura narzucała milczenie, słyszano ciągle te same nazwiska. Nazwiska te partyjna propaganda wyrzuciła w świadomości ogółu. Dlaczego i w posttotalitaryzmie nadal słyszymy głosy z tymi samymi nazwiskami, choć tym razem głoszą myśli sprzeczne z ówczesnymi przekonaniem? Czy spróbowali choć w części wynagrodzić nam oczywiste szkody, jakie wyrządzili? A gdzie są ci, którzy wzięli na siebie ciężar podtrzymania ognia wartości społeczeństwa obywatelskiego? Czy już odeszli? Kto

zauważy że nazwiska tych, których stalinowska propaganda skazała na śmierć cywilną, nadal są nieobecne? Nie każdy stanął w ordynku walczącej Solidarności” (ss. 118-119).

Nietrudno zauważyć słabości konstrukcji książki Podgóreckiego. Surowa ale prawidłowa diagnoza teoretyczna niepotrzebnie została osłodzona środowiskowym krzepieniem inteligentnych serc. Można było lepiej wykorzystać wątek analizy demitologizacji legendy Miłosa. Można było bardziej rozbudować empiryczne analizy środowiskowej patologii — także wśród rówieśników Podgóreckiego dziś zarządzających socjologią. Mimo to uważam ten apel (symboliczny dla przesłania całej książki) za wzruszający i słuszny. Ale nie tylko apel zasługuje na naszą uwagę. Także wnioski teoretyczne są niebanalne i zdradzają umysł oryginalnego i płodnego socjologa. Oto drugi wniosek teoretyczny brzmi, że społeczeństwo polskie nie jest nazbyt bogate w bezosobowe formuły ludzkich interakcji. To się zgadza. Ucieka się w sztywność biurokracji albo ciepło osobistych stosunków. Tam, gdzie ma się rozwijać społeczeństwo *sensu stricto*, społeczeństwo obywatelskie, coś między rodziną a państwem, tam się robi pustawo. Stąd słabość regulacji prawnej: do jakich intuicji opartych na bezosobowych, zobiektywizowanych interakcjach ma się odwoływać?

Podgórecki powinien mieć własną szkołę w socjologii. Mam nadzieję, że polskie wydanie jego pracy *Polish Society* ukaże się w tanim wydaniu jako jeden z podstawowych podręczników dla studentów wydziałów nauk społecznych: historyków, kulturoznawców, psychologów, pedagogów i socjologów. Że Podgórecki zacznie bywać na warsztatach badawczych, wykładach gościnnych i dyskusjach telewizyjnych. I że obecni kandydaci na władców dusz uznają wielkość tego oryginalnego samotnika z Ottawy. Ale prócz nadziei mam też obawy. Rozwiąć je mogą socjologowie, którzy nie boją się zajrzeć za fasadę własnej dyscypliny. Może w odróżnieniu od neokomunistycznych polityków okażą się do tego zdolni?

Sławomir MAGALA

Gruzy Wieży Babel

Wyczyny powieściopisarskie Umberto Eco — światowy bestseller „Imię róży” i mniej entuzjastycznie przyjęte „Wahadło Foucaulta” — sprawiają, że publiczność literacka zapomina, iż autor ten jest z zawodu profesorem semiologii (dosł. „nauki o znakach”) czyli dyscypliny usytuowanej pomiędzy językoznawstwem a... hm, teorią literatury, krytyką sztuki i filozoficzną eseistyką. Z właściwą sobie pracowitością połączoną z talentem do brylowania boloński profesor-autor-gwiazdor postanowił o tym przypomnieć i owocem tego jest napisane w latach 1990-93 „Poszukiwanie języka doskonałego w kulturze europejskiej”*. Pod „językiem doskonałym” Eco rozumie idealny system symboliczny będący w stanie oddać pełnię rzeczywistości (myślowej i konkretnej), którą reprezentuje i pozwala przekazać innym. Myśl o takim superjęzyku, w którym nie byłoby mglistości, dwuznaczności i w ogóle całej tej niedopowiedzianej reszty jaka zdaje się kryć za każdą wypowiedzią w zwykłej mowie jest starym marzeniem *homo loquens* i stanowi odwieczny bodziec najrozmaitszych spekulacji lingwistycznych.

Stańczyk stwierdził kiedyś, że najwięcej na świecie jest lekarzy, bo gdy stanął raz na krakowskim Rynku z obwiązaną twarzą każdy przechodzień dawał mu niezawodną radę na ból zębów. Jak się wydaje jeszcze więcej jest językoznawców, o czym łatwo przekonać się poruszając w towarzystwie jakiegokolwiek temat dotyczący języka „jako takiego”. Żywa dyskusja gwarantowana: czy to w kwestii ortografii („dwóch” czy „dwuch”?), zapożyczeń (znałem pana, który lansował zamiast germanizmu „blacha” rdzennie polską „klepankę”), asymilacji nowych terminów (inny pan z pianą na ustach twierdził, że „taksówka” winna się poprawnie nazywać „samochód-liczypodróż” bo pochodzi od „taxometru”) czy też pochodzenia wyrazów. To ostatnie to temat niewyczerpany, poczynając od skromnych amatorów upierających się, że „bocian” pochodzi od „błócian” (no, bo chodzi po błocie), aż po prof. A. Mickiewicza z *Collège de France*, który zwracał uwagę słuchaczy na zbieżność pomiędzy imieniem babilońskiego króla Nebukadnezara (czyli Nabuchodonozora) z białoruskim *ne-Bob-odno-car* (czemu, *nota bene*, przypuszczalnie zawdzięczamy słynną puentę „Wielkiej Improwizacji”).

* Umberto Eco, *La recherche de la langue parfaite dans la culture européenne*, tr. de l'italien J.-P. Manganaro, préface J. Le Goff; Seuil, Paris 1994, 442 p., ISBN 202012596.

Ponieważ język jest najbliższym sąsiadem myśli sprawia wrażenie czegoś tak intymnego i świetnie znanego każdemu kto zechce się nad nim trochę zastanowić, że pozornie *każdy* ma tu szanse wiekopomnych odkryć. Działa tu podobny mechanizm jak w popularnym nastawieniu do poezji — wszyscy wydają się powołani — toteż domorostłych lingwistów-„grafomanów” w każdym pokoleniu jest co najmniej tylu, co pseudopoetów. A równocześnie język rzeczywiście *jest* czymś złożonym i tajemniczym, toteż od wieków pasjonował najęźsze umysły od Platona po Wittgensteina i dużą część historii myśli ludzkiej stanowią dzieje tej pasji.

Umberto Eco postanowił prześledzić historię *iluzji* — jak to z naciskiem podkreśla — języka doskonałego w dziejach myśli europejskiej. Słowo „iluzja” odnosi się tu zarówno do wiary w to, że język taki kiedyś istniał lecz uległ „zepsuciu” (Eco nazywa go „językiem doskonałym” *a posteriori*), jak też i przekonania, iż język taki można by stworzyć (język *a priori*) — czy to całkiem sztucznie czy choćby przez świadome „oczyszczenie” jakiegoś języka naturalnego. Pierwsza forma tej koncepcji lingwistycznej utrwalała została już w biblijnej opowieści o fiasku Wieży Babel: „...tam pomieszal Pan język wszystkim ziem; i stamtąd rozproszył je Pan po obliczu wszystkich ziem” (Gen. 11.9). Nasuwa się tu natychmiast naturalne pytanie — i zaczęto stawiać je już w starożytności — jakim to językiem mówiła ludzkość przed owym katastrofalnym wydarzeniem? Kwestia ta ściśle wiąże się z innym problemem, mianowicie jakim językiem przemawiał Pan do Adama oraz do jakiego języka należały imiona, które nasz praojciec „dał... wszystkimu bydłu, i ptactwu niebieskiemu, i wszelkiemu zwierzowi polnemu” (Gen. 2.20). Logicznie biorąc zagadnienie to nie jest w sposób konieczny związane z problemem „języka idealnego”, gdyż Pan mógł posługiwać się dowolnym językiem naturalnym (hebrajskim, jak początkowo zgadzali się wszyscy uczeni), ale zrozumiałe założenie dodatkowe, iż Istota Doskonała nie może używać niedoskonałego środka komunikacji, prowadziło do konkluzji, że ów pierwszy język był równocześnie Językiem Idealnym, czyli takim, w którym wszystko miało swoją *prawdziwą* nazwę.

Hebrajski był długo najsilniejszym kandydatem z tej choćby racji, że był językiem Starego Testamentu, a ponadto świetnie nadaje się do najrozmaitszych spekulacji nad ewentualnym ukrytym znaczeniem jego wyrazów. Jak we wszystkich językach semickich jego gramatyka oparta jest głównie na tzw. apofonii czyli ściśle określonej wymianie samogłosek w wyrazach po to, by uzyskać ich zmiany znaczeniowe. Podobny mechanizm występuje marginalnie w niektórych językach indoeuropejskich (por. różnice czasu w angielskim *I get : I got*), ale w semickich

90 % gramatyki na tym właśnie się opiera. Z tej racji języki te nie notują w swych systemach pisma krótkich samogłosek, bo te są dla każdego użytkownika oczywiste same przez się. Tak więc wystarczy w hebrajskim napisać YHWH by wiadomo było, iż piszący ma na myśli boskie imię Jahwe(h). Zapis tego wyrazu jest w pewnym sensie skrótem, formułą symboliczną, a więc nasuwa myśl, że może istnieje też procedura pozwalająca przekształcić go w inną formułę, również znaczącą, a do tego wyrażającą jakiś głębszy, zaszyfrowany sens. Myśl ta leży u podstawy koncepcji interpretacyjnych zawartych w tekstach Kabały (nazwa wywodząca się z pierwiastka QBL „uprzedni/wcześniejszy”), tzn. zbioru pism powstałych w Średniowieczu (głównie w Hiszpanii) i poświęconych dociekaniom nad pierwotnym, właściwym czy też „zamierzonym” sensem Tory. Po wygnaniu Żydów z Hiszpanii w końcu XV w. ta swoista „alchemia słowa” rozpowszechniła się w całej Europie i zasiłała różne „rodzime” nurty spekulacyjne tego kontynentu. Eco poświęca kabalistyczne sporo miejsca w swej książce.

Obok tych trochę magicznych dociekań istniały też próby stworzenia (względnie „odtworzenia”) Języka Idealnego wywodzące się ze źródeł mniej mistycznych. Jednym z nich była filozofia. Eco dość szczegółowo omawia projekty sztucznych języków przedstawianych przez takich myślicieli jak Raimondo Lullo (XIII/XIV w.), John Wilkins, George Delgarno, Gottfried Leibniz (wszyscy trzej XVII w.) i plejadę *les philosophes* okresu Oświecenia (XVIII w.). Większość tych systemów opierała się na idei stworzenia idealnej klasyfikacji pojęć (trochę na wzór botaniki czy zoologii), opatrzenia ich symbolami i znalezienia takich reguł operowania nimi, by rezultaty zawsze prowadziły do zdań prawdziwych. „Odtwórcza” tendencja miała swe źródło w studiach nad nieznanymi dotąd językami, m.in. chińskim. Ubocznym nurkiem — zwłaszcza przed powstaniem naukowego, tzn. porównawczego językoznawstwa w XIX w. — były przedziwne nieraz pomysły na temat „pierwszego” języka ludzkości, zazwyczaj mocno podbarwione przekonaniem, że macierzysty język pomysłodawcy jest w sposób oczywisty „najlepszy”, a pozostałe stanowią jego ubolewania godne deformacje. W tej klasie „prajęzyków” znajdujemy m.in. flamandzki (propozycja renesansowego uczonego Goropiusa, czyli Jana van Gorpa z Antwerpii), węgierski i polski (propozycja bliżej mi nie znanego Johanna Praetoriusa [z domu Jan Wysocki?!]).

Dalszym ciągiem tych zainteresowań i szaleństw były też propozycje „języków międzynarodowych” i Eco poświęca nieco miejsca ważniejszym z nich, w tym naturalnie także esperanto Zamenhafa. Książka sięga aż po nasze czasy i nawet wspomina w biegu niektóre koncepcje związane z komputerowo-algorytmicz-

na dziedziną spod znaku Sztucznej Inteligencji. Jak sam autor w pewnym miejscu nadmienia, do pracy nad tym dziełkiem posłużyły m.in. jego notatki do dwuletniego kursu uniwersyteckiego na ten temat — i to się wyczuwa, mimo niezaprzeczalnego talentu autora do systematycznej i jasnej prezentacji. Niemniej: zakładając, że autor prowadził 2-godzinny wykład co tydzień przez 4 semestry, słuchacze dysponowali 120 godzinami na asymilację tego materiału; książkę czyta się — a przynajmniej zamierza przeczytać — prędej, czyli powstaje rozdział pomiędzy formą a treścią. Innymi słowy: nieprzygotowany czytelnik po pierwszej lekturze będzie miał tylko mgliste pojęcie o całości tematu, a jeszcze bardziej mgliste o jego szczegółach. Nie znaczy to bynajmniej, że książka jest bezużyteczna. Chcę tylko ostrzec potencjalnych czytelników, że nie jest to lektura szybka i łatwa. Jej oczywistą podstawę stanowi 6-tomowa (!) praca Arno Borsta „*Der Turmbau von Babel*” (Stuttgart 1957-63), więc dla zainteresowanych jest to pewna oszczędność czasu.

M. BRONSKI

Tajemnica Beniowskiego

Każda publikacja pana Edwarda Kajdańskiego jest ważnym wydarzeniem dla polskiej historii nauki i dla poznania historii europejskich odkryć dalekowschodnich. Autor posiada wyjątkowe w skali światowej kwalifikacje.

Urodzony w Charbinie, wykształcony na Uniwersytecie Północnomandżurskim i na Politechnice Charbińskiej, kilkadziesiąt lat swojego życia spędził Edward Kajdański w Chinach. Znajomość języków orientalnych i zachodnioeuropejskich, przyrodnicze wykształcenie, doświadczenie zdobyte podczas pobytu w Chinach pozwalają autorowi na korzystanie ze źródeł niedostępnych dla większości historyków nauki i stanowią o unikalności prac tego uczonego. Edward Kajdański jest badaczem bardzo wszechstronnym, z jednakowym znanstwem pisze o problematyce ekonomiczno-politycznej („Chińska Republika. Zarys rozwoju gospodarczego 1949-1969” czy „Chiny a świat zewnętrzny. Zarys rozwoju stosunków handlowych”), artystycznej („Architektura Chin”), historyczno-naukowej (biografia Boyma, publikacje o historii mineralogii w pismach tego podróżnika czy prace o inżynierze Grochowskim). Warto także podkre-

lić, że Edward Kajdański jest badaczem niezależnym, pracującym poza zinstytucjonalizowanymi, uniwersyteckimi czy PAN-owskimi, strukturami nauki polskiej, a przecież od czasów Benedykta Dybrowskiego i Józefa Paczoskiego niewielu było uczonych tej rangi o podobnym statusie. Jest to wreszcie chyba jedyny polski naukowiec, którego prace wzbudzają zainteresowanie i są wykorzystywane przez grupę badawczą historii chińskiej nauki, kierowaną przez Josepha Needhama. Poszukiwaniom Edwarda Kajdańskiego zawdzięczamy odkrycie i opracowanie wielu jakże ważnych dla historii tekstów jak choćby dzienników syberyjskich podróży Kazimierza Grochowskiego.

„Tajemnica Beniowskiego. Odkrycia, intrygi, fałszerstwa” (Oficyna Wydawnicza „Volumen”, Warszawa 1994) jest pracą wieńczącą wieloletnie badania dotyczące postaci Maurycego Beniowskiego, fragmentaryczne rezultaty owych poszukiwań publikowane były w krajowych czasopismach m.in. w *Kwartalniku Historii Nauki i Techniki*. Jest to praca rozstrzygająca definitywnie toczący się od dwustu lat spór dotyczący autentyczności dzienników Beniowskiego. Autor wykonując iście benedyktyńską analizę źródeł angielskich, holenderskich, rosyjskich, niemieckich, polskich, japońskich i chińskich udowodnił prawdziwość relacji uciekinierów z Kamczatki. Edward Kajdański jako pierwszy z biografów Beniowskiego dotarł do rękopisów i pierwszych wydań Pamiętników i przypomniał opuszczone w kolejnych edycjach i przez to praktycznie nieznane fragmenty wspomnień wielkiego podróżnika. Porównanie zapisów Beniowskiego z mapą i relacjami innych podróżników doprowadziły autora do jednoznacznego wniosku, iż na poziomie wiedzy o geografii Pacyfiku w końcu osiemnastego wieku niemożliwe było spreparowanie podobnej relacji. Analizując dzień po dniu etapy żeglugi Edward Kajdański udowodnił prawdziwość całości wspomnień Beniowskiego, nawet tych ich fragmentów, które krytycy tego wielkiego podróżnika zwalczali ze szczególną zjadłością. Zaslugą autora „Tajemnicy Beniowskiego” jest także zwrócenie uwagi na pionierskie znaczenie podróży morskiej z Kamczatki do portugalskiego Makau. Zazwyczaj biografowie znacznie większą wagę przykładają do madagaskarskiego fragmentu życia Beniowskiego. Edward Kajdański wykazał, że to Beniowskiemu, który jako pierwszy w historii żeglarz przepłynął środkowy Pacyfik z północy na południe, należy się palma pierwszeństwa w opisie geograficznym (i odkryciu m.in. Wysp Bezludnych) tej części Oceanu Spokojnego. Podkreśla on także wagę, jaką do Pamiętników przywiązywali przedstawiciele admiralicji brytyjskiej m.in. doradca królewski do spraw nauki Joseph Banks i obaj Forsterowie. Autor porusza zagadnienie związków doświadczeń Beniowskiego z przygotowaniem wypraw kapitana Cooka i z rosyjsko-

angielskim współzawodnictwem na Pacyfiku. Zwraca on także uwagę na to, że Beniowski był jedynym obok de Vriesa żeglarzem, który wylądował w Japonii w okresie izolacji tego kraju tj. pomiędzy 1639 a 1854 rokiem.

Edward Kajdański w mistrzowski sposób opisał i zanalizował mechanizmy akcji prowadzonej przez rosyjskie służby specjalne mające na celu oczernienie Beniowskiego i zanegowanie autentyczności jego Pamiętników. Powodów do aż takiej nienawiści dostarczył Beniowski Katarzynie rzeczywiście bardzo wiele. Oficer Konfederacji Barskiej, zdolny żołnierz wojny partyzanckiej zdołał zbiec z miejsca, z którego ucieczka wydawała się niemożliwością. Maurycy Beniowski opanował uzbrojoną twierdzę i pokazał, że bunt może być skuteczny. Stał się legendarnym bohaterem dla kilku pokoleń kamiczackich tubylców eksploatowanych i niszczonych ze szczególną zaciętością przez carską administrację. Uciekając na opanowanym przez swoich towarzyszy rosyjskim statku wywiózł zdobyte w Bolszeriecku pieniądze, futra i co najważniejsze, tajne archiwum i dokumenty dotyczące najbardziej strzeżonych tajemnic imperium. Był też Beniowski ze względu na skuteczność swoich działań przeciwnikiem szczególnie niebezpiecznym dla imperialnych planów Rosji. Ostrzeżenie i opis przygotowań do ekspansji (m.in. dane dotyczące tajnych wypraw dalekowschodnich) przekazane holenderskiej faktorii w Nagasaki zostało potraktowane bardzo poważnie przez Japończyków i być może było jednym z elementów wpływających na zmianę polityki obronnej tego kraju. Mapy i informacje o pochodzeniu futer z wysp na Pacyfiku i o kilkusetprocentowych zyskach z handlu z Chinami należały również do pilnie strzeżonych tajemnic. Ujawniając te informacje rosyjskim konkurentom Beniowski stworzył podstawy dla powstania konkurencji i zapoczątkował prawdziwą wojnę ekonomiczną z imperium. Nie bez znaczenia było także wywiezienie informacji o wewnętrznych rozgrywkach petersburskiego dworu (wśród uciekinierów znajdowali się także uczestnicy dworskich spisków). Sam fakt ucieczki pokazywał słabość carskiej administracji na Dalekim Wschodzie. Zdobyte podczas podróży informacje geograficzne posiadały wreszcie decydujące znaczenie dla dalekowschodnich konkurentów Rosji: Anglików, Holendrów, Francuzów, Portugalczyków i Hiszpanów. Relacja Beniowskiego była także ważnym świadectwem metod stosowanych przez rosyjską administrację wobec przeciwników politycznych, jeńców wojennych i mieszkańców Syberii. Informacje zawarte w pamiętnikach burzyły obraz carcy, światłej przyjaciółki europejskich, liberalnych intelektualistów. Nic więc dziwnego, że dla zdyskredytowania Beniowskiego carska administracja użyła wszelkich możliwych środków, tortur i zesłań, przekupstwa, zastraszania wydawców,

niszczenia książek, podpaleń, zatajania i cenzury, fabrykacji danych, manipulacji prasowych, deklaracji dyplomatycznych itp. Wysilek dziewiętnastowiecznej rosyjskiej historiografii zmierzał do ukazania Beniowskiego jako blagiera i oszusta oraz do zminimalizowania znaczenia jego ucieczki. Maurycy Beniowski, zarówno żywy jak i legenda jego osoby będąca natchnieniem polskiej myśli niepodległościowej podczas całego wieku dziewiętnastego, otoczony był, nienawiścią rosyjskiej administracji. Sfałszykowane przez tajnych rosyjskich agentów dokumenty stały się oficjalnym źródłem informacji dla historiografii sowieckiej i PRL-owskiej. Dochodzenie prawdy utrudniało zamknięcie archiwów sowieckich (jak uważa Edward Kajdański, ciągle niedostępnych dla historyków). Problem dalekowschodnich podbojów i grabieży rosyjskich ciągle stanowi temat tabu. Propaganda sowiecka (i niestety obecnie także rosyjska) stara się uzasadnić zagarnięcie Wysp Kurylskich racjami historyczno-geograficznymi (stąd twierdzenia o tożsamości Kurylczyków i Ajnów, „wymazanie” nazwiska de Vriesa holenderskiego odkrywcy archipelagu czy negowanie historycznych związków handlowych Ajnów z Japonią). Żegluga Beniowskiego ciągle należy do tematów widzianych przez rosyjskie władze jako posiadające znaczenie strategiczne, co utrudnia pracę historyków.

Edward Kajdański w swojej znakomitej pracy osiągnął wszystkie zamierzone cele, udowodnił autentyczność relacji Beniowskiego i pionierskie znaczenie jego eksploracji tej części Pacyfiku, przypomniał nieznane fragmenty pamiętników, opisał i udokumentował akcję oszczerstw, prowadzonych przez rosyjską administrację wobec polskiego żeglarza. Autor wystąpił z inicjatywą opublikowania całości Pamiętników i utworzenia Towarzystwa Beniowskiego mającego na celu jego rehabilitację.

P. D.

Wydawnictwo Hippocrene

Hippocrene jest znanym na rynku amerykańskim wydawnictwem specjalizującym się w publikacji słowników i przewodników, a także, w mniejszym zakresie, książek o tematyce historycznej. Właścicielem Hippocrene, prezesem i redaktorem naczelnym jest George Blagowidow, z pochodzenia Polak, który po latach pracy w wydawnictwach Doubleday, Macmillan i Readers

Digest 1 stycznia 1970 roku otworzył własną firmę wydawniczą. Hippocrene mieści się w budynku przy Madison Avenue w Nowym Jorku. Nazwa firmy pochodzi od mitologicznego źródła, które wytrysnęło spod kopyta konia Pegaza. Błagowidow założył wydawnictwo zatrudniając kilka osób. Obecnie, w dwadzieścia pięć lat później, na pełnych etatach pracuje piętnaście osób. W początkowych latach wydawano 10-12 książek rocznie, obecnie — około osiemdziesięciu. Firma od początku ustaliła swój profil wydawniczy. Publikuje:

1. Słowniki, które w chwili obecnej obejmują 64 języki, włączając książki i kasety do nauki języków, jak między innymi: francuski, niemiecki, japoński, włoski, hiszpański, arabski, polski, portugalski, serbo-chorwacki, turecki, grecki, duński, albański, bułgarski, białoruski, chiński, jidysz itd.

2. Przewodniki — można z nimi zwiedzać przeszło 150 krajów, miast i regionów, między innymi Węgry, Moskwę, Petersburg, Kijów, Nepal, Jawę i Bali, Polskę, Rzym, Paryż, Tahiti, Dominikanę, Rumunię, Egipt, Afrykę Południową, Meksyk, Wyspy Kanaryjskie itd.

3. Polonika, począwszy od tłumaczenia „Lalki” Bolesława Prusa (dokonanego przez Davida Walsha), poprzez „Historię Polski” Stefana Kieniewicza. „Lalkę” wydano w niewielkim nakładzie 2,5 tysiąca egzemplarzy w 1971 roku i rozprowadzenie tego nakładu zajęło blisko piętnaście lat.

W latach osiemdziesiątych wzrastające zainteresowanie Polską spowodowało ożywienie na rynku wydawniczym i temu zjawisku wyszło naprzeciw Hippocrene, oferując bogaty wybór nowych tytułów.

W 1987 roku dołączył do firmy Jacek Gałązka, podobnie jak Błagowidow, Polak z pochodzenia, z rodziny o bogatych tradycjach wojskowych, sam także był żołnierzem 1 Dywizji Pancерnej generała Maczka. Jacek Gałązka od 1956 roku pracował w firmie wydawniczej St. Martin's Press, następnie w Charles Scribnes and Sons, której prezesem został mianowany w 1984 roku, i skąd odszedł w dwa lata później po zakupieniu firmy przez Macmillana. W okresie swojej pracy w firmach amerykańskich wydał następujące polonika: „Obóz wszystkich świętych” Tadeusza Nowakowskiego (w tłumaczeniu Norberta Gutermana, St. Martin's Press 1961), dwa tomy „Myśli nieuczesanych” Stanisława Jerzego Leca (we własnym tłumaczeniu, „Unkempt Thoughts”, St. Martin's Press 1961 i „More Unkempt Thoughts”, Frank and Wagnalis, 1968). Także: „Katyń — A Crime Without Parallel” Louisa Fitzgibbona (1971), „A Questions of Reality” („Nierzeczywistość” Kazimierza Brandysa (1980), „The Polish Revolution: Solidarity” Timothy Garton Asha (1983), „Poland Under Jaruzelski” Leopold

da Łabędzia (1984), „The Plot to Kill the Pope” Paula Henze (1983), ze wstępem Zbigniewa Brzezińskiego.

W stałej sprzedaży są przewodniki i słowniki Hippocrene. Wydawane są zazwyczaj w nakładzie 10 tysięcy egzemplarzy, w miarę potrzeb dodrukowuje się kolejne partie. Nakłady innych tytułów wahają się między 3-10 tysięcy egzemplarzy. Książka sprzedana w nakładzie trzech tysięcy nie przynosi strat wydawcy. Każdy większy nakład przynosi zysk.

Hippocrene dla „chwały domu” publikuje czasami książki ambitne w nakładzie 1500 egzemplarzy. Obecnie rozpowszechnienie komputerów obniżyło koszty wydania książki. Wydawnictwo stale współpracuje z pięcioma drukarniami.

Złożonym problemem jest reklama i dystrybucja. Ponad sto egzemplarzy każdej nowej pozycji rozsyła się do liczących się pism amerykańskich, jak *New York Times*, *Washington Post*, *Chicago Revue of Books*. Reklama płatna jest droga i nie każdego wydawcę na nią stać. Strona ogłoszenia w *New York Timesie* kosztuje 25 tysięcy dolarów. Inną formą reklamy są katalogi zapowiedzi wydawniczych rozsyłane do większych bibliotek i księgarni w całym kraju. Dla Hippocrene pracuje na prowizji dwudziestu przedstawicieli, którzy docierają do sieci ponad tysiąca księgarni, mających swoje filie w wielu miastach amerykańskich. Katalogi wydawnicze docierają także do klubów, stowarzyszeń. Książki zamawiane są zazwyczaj drogą wysyłkową, bardzo rozpowszechnioną w Stanach Zjednoczonych.

Jak Hippocrene poszukuje nowych pozycji do wydania? Różnie. Prowadzi rozmowy z autorami, zamawia nowe tytuły. Z nadsyłanych do wydawnictwa maszynopisów wybiera się czasami rocznie pięć tytułów, czasami żaden nie wzbudza zainteresowania. Hippocrene nie ma funduszy na tłumaczenia i dlatego nie bierze pod uwagę tekstów nie napisanych lub nie przełożonych na język angielski.

George Błagowidow ma liczne kontakty z autorami i wydawcami w świecie. Uczestniczy w Międzynarodowych Targach Książki we Frankfurcie, także w zjazdach wydawców organizowanych na terenie Stanów Zjednoczonych. Przyjaźni się z wieloma wydawcami, także w Polsce. Ceni swój kontakt z Januszem Podoskim, dyrektorem wielu wydawnictw, obecnie YPSY-LON w Warszawie. Błagowidow skupuje książki, ma w swoich zbiorach unikatowe wydania bibliofilskie. Lubi Nowy Jork, który uważa za centrum świata wydawniczego. Sam jest autorem trzech powieści „Last Train From Berlin”, „In Search of Lady Lontamer”, „Operation Parterre”. Wszystkie mają polskie wątki i, jak autor mówi, oddają atmosferę jego życia. Szczególnym zainteresowaniem i powodzeniem cieszyła się książka opublikowana przez wydawnictwo Doubleday „Last Train From Berlin”,

która była wydana także w Anglii, Szwecji, Niemczech, Rosji, Holandii i Brazylii. Autor chciałby ją wydać po polsku w kraju.

Rok 1987 był dobrym rokiem dla poloników w Hippocrene. Ukazał się między innymi pierwszy kalendarz artystyczny: „The Polish Heritage Calendar”, kolorowy, zawierający reprodukcje obrazów z kolekcji Fundacji Kościuszkowskiej. Jacek Gałązka wydał go w serii „Polish Heritage Publications”, którą to serię zainicjował. Kalendarze polskiego malarstwa z dużym powodzeniem wydawane są co roku.

Napływającym do Stanów Zjednoczonych polskim imigrantom świetnie służą, między innymi, wydawane w Hippocrene słowniki Cypriana Iwo Pogonowskiego. Również z myślą o tej grupie opublikowano „American Phrasebook for Poles”, zbiór rozmówek, którego autorem jest Jacek Gałązka. Wydany w 1990 roku (dotarł także dzięki Składnicy Księgarskiej na rynek polski), zawiera opis 65 sytuacji, z jakimi mogą się zetknąć przyjezdni. Książka napisana jest po polsku z angielskimi rozmówkami i podaną w nawiasie wymową. Każdy rozdział ma osobny słowniczek, dołączona jest także do książki mapa i spis telefonicznych numerów kierunkowych większych miast amerykańskich.

Z końcem 1992 wydana została napisana przez Jacka Gałązkę i Alberta Juszcza „Polish Heritage Travel Guide to U.S.A. and Canada”. Jest to przewodnik po miejscach związanych z Polską w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Obejmuje między innymi muzea, galerie, archiwa, biblioteki, pomniki, domy historyczne, kościoły, polskie księgarnie, towarzystwa i związki, grupy taneczne, polonijną prasę. Jest w nim również spis sportowców polskiego pochodzenia. Książkę ilustruje dziewięćdziesiąt fotografii, a ponadto zawiera ona adresy i telefony wielu instytucji związanych z polonijną działalnością.

Interesujący jest także „Przewodnik po Polsce” przygotowany przez znakomitego tłumacza (między innymi dzieł historycznych Pawła Jasienicy), Aleksandra Jordana Lutosławskiego (syna filozofa Wincentego Lutosławskiego). „Przewodnik po Polsce” prezentuje nie tylko miejsca warte zwiedzania, ale także wiele atrakcyjnych ośrodków, gdzie np. można nauczyć się jazdy konnej czy latania szybowcem. Zainteresowani przeczytają w nim o polskich stadninach, polskiej kuchni z jej przysmakami, o możliwości dokonania zabiegów kosmetycznych, dentystycznych, a nawet o procedurze adoptowania dzieci. Ukazuje codzienność i codzienne sytuacje. Wstęp do „Przewodnika” napisał zmarły w 1991 roku Jerzy Kosiński.

Wśród poloników Hippocrene znajdują się między innymi:

- „The Polish Campaign of 1939”, Victor Madej i Stefan Załoga;
- „Poland in the Second World War”, Józef Garliński;

- „History of Poland” w opracowaniu Stefana Kieniewicza;
- „Ignacy Jan Paderewski”, Marian Marek Drozdowski;
- „Piłsudski — A Life for Poland”, Wacław Jędrzejewicz, wstęp Zbigniewa Brzezińskiego;
- „The Jews and Poles in World War II”, Stefan Korboński;
- „The Polish Underground State”, Stefan Korboński;
- „Polish Genealogy and Heraldry”, Janina Hoskins;
- dwujęzyczne wydanie „Pana Tadeusza” Adama Mickiewicza.

Dużym wydarzeniem lat 1991-1992 było opublikowanie tłumaczenia „Trylogii” Henryka Sienkiewicza. Doszło do tego dzięki inicjatywie Edwarda Piszka, ofiarne filantropa, założyciela Copernicus Society, które sfinansowało wszystkie prace. „Trylogia” ukazała się w tłumaczeniu Wiesława S. Kuniczaka, autora powieści historycznych, w trzech tomach zatytułowanych: „With Fire and Sword”, „The Deluge”, „Fire in the Steppe”. Wstęp do pierwszej części „With Fire and Sword” napisał James Michener. „Trylogia” stała się największym polskim bestsellerem w Stanach Zjednoczonych.

Hippocrene wydaje też książki poświęcone zwyczajom i tradycjom różnych kultur. Wśród opracowań dotyczących religii są między innymi książki o katolikach, metodystach, baptystach i wyznawcach judaizmu.

Interesujący jest dział książek historycznych. Katalog wydawnictwa zawiera między innymi:

- „The Reagan Presidency: An Actor's Finest Performance”, Wilbur Edel;
 - „Presidential Landmarks”, David and Louis Kruh;
 - „Secrets of the Viet Cong”, J.W. McCoy;
 - „The Alamo and the Texas War for Independence, 1835-1836”, Albert A. Nofi;
 - „The Peninsular Campaign. July 1861-1862”, David Martin;
 - „The Midway Campaign. December 1941 — June 1942”, Jack Greene;
 - „The Little Big Horn Campaign March — September 1876”, Wayne M. Sarg;
 - „Hitler's Blitzkrieg Campaign, 1939-40”, J.E. Kaufmann;
 - „Jews in Poland. A Documentary History”, Iwo C. Pogonowski;
 - „A History of Russia”, Joel Carmichael;
 - „Korea: the First War We Lost”, Alexander Bevin;
 - „Alexander I”, M.K. Dziewanowski;
 - „The Murders of Katyn”, Vladimir Abarinow.
- Zainteresowanie szeroko pojętą tematyką polską, które po-

jawilo się w Stanach Zjednoczonych w latach osiemdziesiątych, nie przeminęło. Lata dziewięćdziesiąte przyniosły wiele nowych pozycji. Po sukcesie „Trylogii” wydano kolejne pozycje Henryka Sienkiewicza: „Krzyżacy”, tzw. małą trylogię (opowiadania: „Sługa”, „Hania”, „Selim Mirza”) w tłumaczeniu Mirosława Lipińskiego i w tymże samym tłumaczeniu powieść „Na polu chwały”.

W dużym nakładzie rozchodzi się książka Leszka Szymańskiego poświęcona Kazimierzowi Pułaskiemu (polecana przez *Chicago Tribune*).

Bestsellerem okazała się też nowa pozycja Roberta i Marii Strybel „Polish Heritage Cookery” zawierająca dwa tysiące przepisów kucharskich, rekomendowana przez stację TV NBC jako „jedna z najlepszych książek kucharskich roku” ukazała się w nakładzie ponad 10-tysięcznym.

Kolejno wysokie nakłady osiągnęły publikacje: „Polish Customs, Traditions and Folklore” Zofii Hodorowicz Knab, przewodnik judaików w Polsce „Poland's Jewish Heritage” Jorana Kagana i Iwo Cypriana Pogonowskiego album „Jews in Poland”, dokumentalne podanie faktów i dat.

Na 25-lecie swojego istnienia przypadające w 1995 roku Hippocrene przygotowała dwujęzyczną antologię „Polskiej poezji miłosnej”. Jacek Gałązka ma w planach wydanie encyklopedii poświęconej historii grupy polskiej w USA i zawierającej biografie najwybitniejszych jej przedstawicieli. Dopełniłaby ona przygotowywaną przez *Nowy Dziennik* publikację „Who is Who” obejmującą biografie Amerykanów polskiego pochodzenia.

Aleksandra ZIÓŁKOWSKA-BOEHM

Polnische Buchhandlung

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie

KRAJ — BLOK WSCHODNI

1.01.95

Komitet Badań Naukowych zamierza utworzyć bank danych „Uczni polscy za granicą”. W banku byłyby gromadzone informacje o uczonych i specjalistach polskiego pochodzenia, deklarujących zainteresowanie współpracą z polskimi placówkami naukowymi, szkołami wyższymi i naukowcami. Bank byłby swoistym „Who is Who” nauki polskiej za granicą. Zebrane informacje stanowiłyby bazę umożliwiającą rozszerzenie współpracy wszystkich uczonych polskich, niezależnie od miejsca zamieszkania. Z zasobów informacyjnych banku korzystałby również Komitet Badań Naukowych jako naczelny organ administracji państwowej do spraw nauki. Uczni polskiego pochodzenia byłiby bardzo pomocni jako recenzenci projektów badawczych względnie autorzy opinii i ekspertów naukowych. Uczestnictwo we wspomnianym banku danych pozwoliłoby na wspólne, szersze niż dotychczas, korzystanie z informacji i materiałów dotyczących nauki i techniki, znajdujących się tak w kraju, jak też za granicą. W tym celu rozesłano ankietę informacyjną z prośbą o jej wypełnienie i przekazanie do polskiej ambasady, najbliższego konsulatu lub instytutu kultury polskiej. Ankietę można przysłać również bezpośrednio do Ośrodka Przetwarzania Informacji w Warszawie (Al. Niepodległości 188 B, 00-950 Warszawa, tel. 25 61 78, fax. 48 22/25 33 19).

3.01.95

Nowym redaktorem naczelnym pisma *Słowo — Dziennik Katolicki* został p. Adam Wieczorek. Episkopat podczas ostatniej konferencji w Częstochowie krytykował niski poziom pisma.

17.01.95

Fundacja *Equilibre* przekształciła się w Polską Akcję Humanitarną. Bilans dwuletniej działalności jest imponujący: 11 konwojów do b. Jugosławii, 2 transporty do Kazachstanu. Obecnie przygotowuje ogromny konwój z pomocą dla Czeczenii. Weźmie również udział w obchodach 1000 dni oblężenia Sarajewa. Na tę uroczystość burmistrz Sarajewa zaprosił prezydentów ośmiu polskich miast: Warszawy, Gdańska, Wrocławia, Poznania, Krakowa, Łodzi, Torunia i Piły oraz Marka Edelmana, Jacka Kuronia i Tadeusza Mazowieckiego.

25.01.95

Dr Marek Gawęcki z Instytutu Etnologii Powszechnej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu został mianowany ambasadorem RP w Kazachstanie. Dr Marek Gawęcki od czterech lat prowadził badania nad sytuacją Polaków w Kazachstanie, a obszarem Azji Środkowej interesuje się od dwudziestu lat i jest w tej dziedzinie wybitnym ekspertem.

28.01.95

Bp polowy Sławoj L. Głódź zorganizował pielgrzymkę pięciu generałów do Watykanu. Jan Paweł II przyjął pielgrzymów na prywatnej audyencji,

jak również, później, podczas audycji generalnej. W pielgrzymce brali udział: szef sztabu Wojsk Lotniczych, gen. Henryk Pietrzak, szef Sztabu Marynarki Wojennej, kontradmirał Ryszard Łukasik, szef sztabu Warszawskiego Okręgu Wojskowego, gen. Kazimierz Tomaszewski. Generał Tomaszewski jest ponadto autorem oślawionego „Modlitewnika żołnierskiego”, którego egzemplarz został wręczony papieżowi. O pielgrzymce nie było poinformowane Ministerstwo Obrony Narodowej. Z okazji 4-tej rocznicy ordynariatu polowego bp polowy oświadczył, że przez cały okres PRL-u istniał praktycznie w wojsku Kościół katakumbowy, który obejmował dużą część wojska z generalicją włącznie.

1.02.95

Nagroda miesięcznika *Odra* za rok 1994 została przyznana Andrzejowi Friszchemu za książkę „Opozycja polityczna w PRL 1945-1980” (Wyd. Aneks, Londyn).

Laureatami Nagrody im. Jana Górskiego ufundowanej przez Andrzeja Szczypiorskiego zostali prof. Jerzy Szacki z UW — socjolog, i dr Bartłomiej Kaczorowski z PWN, redaktor „Encyklopedii Warszawy”.

5.02.95

Redaktorem naczelnym miesięcznika *Nowe Książki* została p. Lidia Wójcik na miejsce dotychczasowego redaktora, p. Marka Klecela.

14.02.95

Prochy króla Stanisława Augusta Poniatowskiego zostały pochowane nareszcie w krypcie Archikatedry św. Jana w Warszawie.

ZACHÓD — EMIGRACJA

3.12.94

Konsul generalny RP w Monachium wręczył: Tadeuszowi Chciukowi-Celtowi Krzyż Komandorski Polonia Restituta; Warszawski Krzyż Powstańczy p. Irmie Wysockiej-Zembrzuskiej oraz Anatolowi Kobylińskiemu i Aleksandrowi Menhardowi.

14.12.94

Wicekanclerz Austrii, dr Busek, wręczył Władysławowi Bartoszewskiemu Nagrodę Europy Środkowej za rok 1994. Nagroda ta została ustanowiona w 1994 roku i nadana po raz pierwszy. Przyznawana jest przez międzynarodowe gremium w skład którego wchodzi reprezentanci instytucji naukowych z Wiednia, Bukaresztu, Pragi, Budapesztu, Bratysławy i Opola. Nagroda ta przyznawana jest za „szczególne zasługi dla regionu Europy Środkowej na polu politycznym, naukowym, kulturalnym lub humanitarnym”. Laudatio wygłosił wicekanclerz Busek. Odznaczenie Władysława Bartoszewskiego wywołało liczne komentarze prasowe bardzo pochlebne dla Polski i laureata.

1.01.95

Instytut im. Józefa Piłsudskiego w Ameryce zmienił ostatnio nazwę na Józef Piłsudski Institute of America for Research in the Modern History of Poland, Inc. i przeniósł się do nowej siedziby (180 Second Avenue), gdzie umieszczono biura i całość zbiorów oraz salę odczytową z galerią malarstwa i popiersiem Piłsudskiego. ■ L'Aide à L'Eglise en Détresse przyznała w zeszłym roku 1.353.916 Dol. US na kształcenie 7.879 seminarzystów i nowicjuszy w Polsce. Ponadto przyznano 270.000 Dol. US na kształcenie 727 seminarzystów na Ukrainie.

5.01.95

Zmarł w Londynie w wieku 85 lat Antoni Hubert Cassel-Kokczyński, b. dyplomata, od zakończenia wojny bankowiec w Anglii, działacz społeczny.

19.01.95

W Teatrze Sekcji Polskiej Uniwersytetu Paris IV Sorbony odbyło się przedstawienie sztuki Sławomira Mrożka „Męczeństwo Piotra Ohey'a (Un tigre dans la baignoire)”.

23.01.95

W gmachu Senatu Republiki Francuskiej odbyła się uroczystość wręczenia ambasadorowi Jerzemu Łukaszewskiemu Prix du Civisme 1994. Ambasador Łukaszewski jest pierwszym cudzoziemcem, który otrzymał tę nagrodę istniejącą od 10 lat. Otrzymał ją jako były, wieloletni rektor Collège d'Europe oraz za swoją działalność na stanowisku ambasadora RP we Francji, gdzie przejawiał troskę i odpowiedzialność za wspólnotę cywilizacyjną jednoczącej się Europy.

26.01.95

Staraniem Stowarzyszenia Polskich Kombatantów we Francji Zarząd Koła Paryż odbył się odczyt Aleksandra Dobraczyńskiego pt. „Polska technika lotnicza w obliczu kampanii wrześniowej 1939 r.”

28.01.95

Zmarł w Londynie w wieku 94 lat Marian Bohusz-Szysko, artysta malarz.

1.02.95

W 1994 roku Fundusz Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej przyznał 19 stypendiów (po F. 5.000,00 każde). Wydatki administracyjne wyniosły F. 56.212,00. Stan kasy na 31.12.1994 r. wyniósł F. 175.809,26.

8.02.95

Zmarł we Fryburgu (Szwajcaria) o. Józef Maria Bocheński OP w wieku 92 lat. Był wybitnym logikiem, filozofem, teologiem, znawcą marksizmu oraz publicystą. Wspomnienie o nim ukaże się w jednym z najbliższych numerów *Kultury*.

10.02.95

Towarzystwo Historyczno-Literackie wraz z Instytutem Katolickim w Paryżu zorganizowało odczyty: 31 stycznia „La contribution de la Pologne à

la constitution d'un triangle politique et économique franco-polono-allemand" wygłoszony przez Jerzego Monda; 7 lutego „La bataille de l'information pendant et après l'insurrection de Varsovie d'août-septembre 1944" — wygłoszony przez Aleksandrę Viatteau. Następnie 7.03. zorganizowany wraz z Instytutem Katolickim w Paryżu wygłoszony zostanie odczyt Witolda Zahorskiego „Les socialistes français et la Pologne”. ■ W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się wieczór poetycko-muzyczny francusko-polski „Tendre dynamique” — „Tkliwa dynamika” Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego.

14.02.95

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się odczyt Zbigniewa Barana pt. „Julian Klaczko (1825-1906): portret wygnańca”.

17.02.95

W Centre du Dialogue w Paryżu odbyło się spotkanie z dziennikarzami Polskiej Sekcji radia francuskiego pod egidą pp. Leszka Talki i Kazimierza Piekarca. Poprzednio, 24 stycznia, Krzysztof Potworowski, profesor teologii na Uniwersytecie Concordia w Montrealu, wygłosił odczyt „Autorytet a wolność w Kościele”. Ponadto 3 lutego prof. Michał Heller mówił na temat „Co dzieje się w Rosji?”

24.02.95

W Centre du Dialogue w Paryżu prof. Irena Sławińska wygłosiła odczyt na temat „Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie — Wszechnica Europejska i jej spadkobiercy”.

Kronika kanadyjska

W Toronto zmarł w wieku 78 lat Franciszek Głogowski, jeden z najwybitniejszych działaczy polonijnych. Był jednym z organizatorów i twórców Kongresu Polonii Kanadyjskiej, jego pierwszym sekretarzem generalnym i wieloletnim działaczem i członkiem Związku Polaków w Kanadzie oraz wieloletnim redaktorem naczelnym *Związkowca* do 1964 r. Inicjował szereg akcji pomocy Polsce w tym kampanię „Chleb dla Polski” w 1957 r., przejętą przez Kongres. W 1965 r. został mianowany sędzią Apelacyjnego Trybunału Imigracyjnego w Ottawie, później wiceprezesem. Przybył do Kanady pod koniec 1938 r. z ramienia Harcerstwa Polskiego z zadaniem zorganizowania drużyn, itp. Bieg wydarzeń spowodował iż zajął się nie tylko młodzieżą polską. ■ Parafialna Credit Union (Kasa Pożyczkowo-Oszczędnościowa) św. Stanisława-św. Kazimierza w Toronto przygotowuje się do obchodów 50-lecia. Instytucja powstała przy parafii św. Stanisława z inicjatywy jej proboszcza, ks. Stanisława Puchniaka aby służyć pomocą nowym przybyszom. W 1945 r. Credit Union skupiało 123 członków, kapitał wynosił 2.098 dol.

a pożyczek udzielono na 1.295 dolarów; w 1994 r. członków było 38.530, kapitał wynosił dol. 223.117.644 a pożyczek udzielono na sumę 13.777.246; kapitał w dolarach 3.928.216. ■ Widmo rozbicia państwa przez separację Quebecu wywołało różnorodne akcje publiczne w tym konferencje, spotkania dyskusyjne ekonomistów, specjalistów z różnych dziedzin. University of Toronto zorganizował seminarium publiczne pod tytułem „Etniczność i nacjonalizm”. Profesorowie referowali jak przedstawia się ten problem w różnych krajach — aspekty polityczne, kulturowe, zaplecze religijne, itp. Jedną sesję pt. „Wielokulturowość i rasizm — zmieniające się oblicze kanadyjskiego społeczeństwa” poświęcono Kanadzie.

B.H.

Kronika londyńska

16 listopada zrezygnował ze stanowiska dyrektor naczelny Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie Lucjan Kindlein. Rezygnacji towarzyszyły pomówienia i oskarżenia, że w ciągu trzech lat dyrektorowania doprowadził Fundację do bankructwa. PFK była integralną częścią emigracji politycznej. Jako wydawca dwóch gazet (*Dziennika Polskiego* i *Tygodnia*) oraz książek spełniała zasadniczą funkcję informacyjno-komunikacyjną. W jej Radzie Powierniczej zawsze zasiadali emigracyjni prominenci, łącząc ją nicią personalnych powiązań ze wszystkimi innymi ważnymi instytucjami polskiej diaspory. W skład Rady Powierniczej od dłuższego czasu wchodzi ostatni premier rządu emigracyjnego profesor Edward Szczepanik, a jej przewodniczącym jest były długoletni prezes Stowarzyszenia Polskich Kombatantów — Stefan Soboniewski. Obaj wymienieni panowie byli powiernikami w okresie dyrektorowania L. Kindleina, który według nie potwierdzonych informacji zadłużył PFK na ok. 120 tys. funtów. 88-letni prezes Soboniewski, któremu powiernicy powierzyli tymczasowo funkcję dyrektora naczelnego Fundacji i zadanie jej ratowania, zarzuca Kindleinowi, że nie informował zarządu, kiedy zaczęły się kłopoty. Ponieważ jednak kłopoty zaczęły się co najmniej dwa lata temu można zapytać, dlaczego Rada Powierników nie kontrolowała dyrektora, do czego przecież jest zobowiązana. Odpowiedź jest prosta: gros jej członków nie ma pojęcia o prowadzeniu interesów, a zasiadanie w gremium zarządzającym traktowało jako sprawę prestiżu. Lucjan Kindlein w swej obronie twierdzi, że większość długów powstała w należącej do PFK drukarni Caldrea House, kierowanej przez drugiego z dyrektorów Fundacji T. Filipowicza. Przyczyną była seria niefortunnnych kontraktów z klientami, którzy okazali się niewypłacalni. Znajomość zagadnień technicznych związanych z drukiem daje Filipowiczowi w strukturze PFK znaczną autonomię. Nikt

z powierników nie jest w stanie zweryfikować jego przedsięwzięć. Przez cały okres dyrektorowania Kindleina Filipowicz grał w PFK drugie skrzypce i musiał znać ogólny stan finansowy firmy, a jeśli idzie o drukarnię wiedział więcej od innych. Tymczasem *Polonia Aid Foundation Trust* (PAFT), kurator majątku po dawnym rządzie emigracyjnym, hojną ręką wspomaga inicjatywy i przedsięwzięcia, z których nie wszystkie są ważniejsze od ratowania PFK. Ale powiernikom Fundacji pewnie wstyd prosić, bo może trzeba byłoby przyznać się do błędów, może PAFT zacząłby stawiać warunki, może zażądałby tak niemiłej dla obecnej rady PFK jawności działania, może wreszcie słusznie chciałby rozszerzyć jej skład o swych ludzi. PFK zasługuje na pomoc i pomoc tę pewnie otrzyma, trudno jednak będzie jej przekonać potencjalnych ofiarodawców co do celowości ofiary, jeśli odpowiedzialni za obecny kryzys kierować będą akcją ratowniczą.

Jakub STRZELECKI (pseud.)

Kronika szwedzka

Szwecja jest zainteresowana bezpieczeństwem krajów bałtyckich. Uważa to za rzecz niezmiernie ważną dla wszystkich krajów bałtyckich. Udzielono wsparcia dla straży granicznej oraz na zbudowanie ochrony wybrzeża. Pomoc szwedzka dotyczy w pierwszym rzędzie zakupu instalacji stacji nawigacyjnych i kontroli morskiej. ■ Do Szwecji przybywa coraz więcej uciekinierów z Rosji, Afganistanu, Iraku i Iranu. Tajne transporty są przeważnie organizowane zapewne przez mafie z Kłajpedy. W ciągu ostatnich 2 lat odkryto około 15 takich transportów liczących po 400 osób. ■ W teatrze miejskim w Sztokholmie jest przygotowywana sztuka S. Mrożka „Miłość na Krymie”. ■ Z cyklu programów pt. „Nasz kraj sąsiedzki — Polska” pokazano 17-go stycznia br. w telewizji ogólnokrajowej film Piotra Szulkina „Mięso”, reportaż o bezrobociu w Łodzi oraz zaprezentowano muzykę Jana Kantego Pawluśkiewicza.

Anna RIEDL

Listy do Redakcji

Charenton, 18.1.1995

Szanowny Panie Redaktorze,

Krótką wzmianką w kronice o moim spotkaniu w paryskim Domu Kombatanta (*Kultura*, Nr 568/9) zawierała 2 nieścisłości: *nie był to odczyt, a gawęda o tym „Jak zostałem cichociemnym”, a nie „Jak zostałem kombatantem”*.

Kombatantem zostałem w jednej chwili, gdy w czasie ćwiczeń podchorążackich zatrzymano mnie w pułku, naturalnie za moją zgodą. Kartę „mob” wysłano na mój warszawski adres, tak jakby nie wiedzieli gdzie spędzam sierpień 39 r. I nigdy do mnie nie dotarła. Na ten temat wystarczyłoby 30 sekund.

A tymczasem o mojej rekrutacji do cichociemnych, historii tej niekonwencjonalnej formacji, przygotowaniach do służby w kraju i losach ekipy z którą leciałem — opowiadałem przez półtorej godziny. Miałem tylko kilka kartek z planem prelekcji, z nazwiskami, datami i cyframi, aby się nie omylić.

Wyrazy szacunku łączę

Andrzej BOGUSŁAWSKI

Warszawa, 9.02.1995

Szanowny Panie Redaktorze,

W listopadowym numerze *Kultury* (11/566) pan W.S. Adamus proponuje przetłumaczenie książki Johna Barrona „KGB Today”, aby obecni decydenci w Polsce dowiedzieli się, kogo mianowali na jedno z najbardziej odpowiedzialnych stanowisk w polskim wywiadzie.

Na rynku księgarskim można znaleźć wiele opisów operacji, prowadzonej przez p. Zacharskiego w barwach peerelowskiego wywiadu.

W 1989 roku oficyna Polonia Book Fund wydała książkę Erica Laurenta „Moskwa na Wall Street”. Autor ocenił działalność Zacharskiego w USA jako wymarzoną dla sowieckich wywiadowców.

W 1994 roku dwaj dziennikarze, Krzysztof Kaszyński i Jacek Podgórski, opublikowali książkę „Szpieczy, czyli tajemnice polskiego wywiadu”, w której Zacharskiemu poświęcają odrębny rozdział.

Wreszcie wspomniana książka Johna Barrona ukazała się w Polsce już w 1991 roku pod tytułem „KGB dzisiaj — niewidzialna ręka”.

Po aresztowaniu Zacharskiego, CIA przedstawiła Podkomisji Dochodzeniowej Senatu USA raport o rozmiarach szkód, wyliczając tajne materiały, które dostarczył KGB. Długa lista zdekonspirowanych sekretów zawierała m.in.: system radarowy „look-down, shoot-down”, tzw. cichy radar dla bombowców B-1 i Stealth, czołgowy system radarowy, doświadczalny system radarowy marynarki amerykańskiej, radarowe oprzyrządowanie myśliwca F-15; rakietę powietrze-powietrze PHOENIX, rakietę sterowaną ziemia-powietrze PATRIOT, wiązkowy sonar, udoskonalony pocisk ziemia-powietrze HAWK, wreszcie plany obrony powietrznej NATO.

Specjaliści są zgodni, że Polska w owym czasie nie była w stanie samodzielnie „skonsumować” tych informacji. Pozwoliły one Moskwie zaoszczędzić miliony dolarów na pracach badawczo-rozwojowych w przemyśle zbrojeniowym.

Były szef CIA William Webster w kontaktach z „solidarnościami” kierownictwem MSW ponoć wypowiadał się bardzo pochlebnie o swoim dawnym przeciwniku.

Opinię Webstera wypada uznać za komplement profesjonalisty dla niekwestionowanych talentów dawnego przeciwnika. Jednak w ostatnim czasie na łamach *The New York Times* ukazał się znamienny komentarz byłego podsekretarza stanu w rządzie prezydenta Reagana. Prezentowana opinia jest waszyngtońskiemu establishmentowi z pewnością bliższa. Fred Ikle ostrzega, że przyjęcie byłych krajów sowieckiego bloku do NATO byłoby wielkim nieporozumieniem. Jako dowód na realność zagrożeń przytacza dwa polskie przykłady: właśnie nominację Zacharskiego (wycofaną na skutek krytyki w kraju i za granicą), oraz pomysł powierzenia Ministerstwa Obrony p. Longinowi Pastusiakowi.

Komentarz Freda Ikle nosi tytuł „Jak zniszczyć NATO”, i nie jest to odosobniona reakcja na oryginalną politykę kadrową w Warszawie.

Łączę wyrazy szacunku

Andrzej MIETKOWSKI

Kraków, 14.XII.1994

Do Redakcji „Kultury”,

Nawiązując do artykułu A. Korbońskiego o Powstaniu Warszawskim, opublikowanego w zeszycie 10/1994 chciałbym zwrócić uwagę na pewien szczegół, jaki pozostaje — jak się wydaje — dotychczas niezauważony.

Otóż gen. T. Bór-Komorowski, przedstawiając — z pewnymi zresztą

istotnymi opuszczeniami — historyczne popołudnie 31 lipca 1944 r., na którym zapadła decyzja o poderwaniu Warszawy do Powstania, napisał (cytuje):

„Wczesnym popołudniem komunikat niemieckiego O.K.W. powiadomił: Dnia dzisiejszego Rosjanie rozpoczęli generalne natarcie na Warszawę od południowego wschodu” („Armia Podziemna”, Londyn 1951, s. 232; to samo w późniejszych wydaniach).

Powyższe zdanie to jedyna poważna podstawa do podjęcia decyzji o Powstaniu gdyż dwie inne, jakie przytoczył gen. Bór-Komorowski w swej książce (o wzięciu do niewoli przez Rosjan niemieckiego generała oraz ogólne wezwania Polaków „Do broni!” radia „Kościszko”), nie miały żadnego wojskowego znaczenia dla tej decyzji.

Przytoczony przez gen. Bora-Komorowskiego fragment „komunikatu OKW” wszedł na stałe do literatury przedmiotu. Zamieścił go nawet J. Ciechanowski w swej jakże bogato udokumentowanej i obiektywnej książce „Powstanie Warszawskie” (1984, s. 388) bez żadnych zastrzeżeń, chociaż redakcja fragmentu i nienaganna polszczyzna nasuwają wątpliwości chyba każdemu, kto miał okazję regularnie i dokładnie wczytywać się w komunikaty niemieckiego *Oberkommando der Wehrmacht*.

Otóż takiego zdania o „natarciu Rosjan na Warszawę”, jakie zamieścił w swej książce gen. Bór-Komorowski, nie było wcale ani w komunikacie O.K.W., ani w uzupełniających wiadomościach frontowych agencji „Telepress” z dn. 31 lipca 1944 r., ani też z dni sąsiednich, zarówno w wersji polskiej opublikowanej w dziennikach okupacyjnych, jak i w wersji oryginalnej w dziennikach niemieckich (np. w „*Völkischer Beobachter*”).

Podane tam wiadomości brzmią wręcz przeciwnie, zgodnie zresztą z prawdą, o odparciu rosyjskiego uderzenia.

Skąd więc znalazł się ten rzekomy „fragment komunikatu O.K.W.” w książce gen. Bora-Komorowskiego, kto i kiedy go wprowadził, czy to ostatnie lipcowe popołudnie 1944 r., czy dopiero przy pisaniu książki?

Jerzy PIASKOWSKI

Stockholm, 30 stycznia 1995

Szanowny Panie Redaktorze!

Na marginesie obchodów 50 rocznicy wyzwolenia obozu oświęcimskiego trudno powstrzymać się od gorzkiej refleksji. Wynika ona głównie z postawy niektórych naszych rodaków wobec uroczystości jak i tragedii narodu żydowskiego, holocaustu. Zła aura zatargów, często otwartej niechęci i niczym nie usprawiedliwionej nieustępliwości strony polskiej w stosunku do żyćców czy oczekiwani żydowskich boleśnie zatrzała rocznicę. Znalazło to szeroki oddźwięk nie tylko w zagranicznych mass mediach. Obrazy nadawane przez polską telewizję satelitarną TV POLONIA potwierdzają naganne zachowanie Polaków. Rabin wywlekany przez policję z przedsionka kościoła, niedostrzeganie przez księdza wyciągniętej do zgody ręki działacza żydowskiego, plugawe antysemickie plakaty wywieszono

ne wokół obozu w przeddzień uroczystości (o usunięcie których, nikt ze strony organizatorów nie zadbał!), to tylko nieliczne ze scen które pojawiły się na ekranach TV w Europie.

Pominę historyczną ignorancję, wynikającą z nieznaności planów nazistowskich, według których Polacy byli przewidziani jako następni do pieców krematoryjnych (zaledwie parę milionów miało przeżyć w roli niewolników Trzeciej Rzeszy). Pominę indywidualną pamięć ludzką, która dotąd przechowuje obrazy holocaustu w okupowanej Polsce, także osobiste wstrząsające świadectwo tych, którzy sami przeżyli obozy, w tym Oświęcim (wielu z nich było, przez dziesięciolecia, moimi pacjentami na Śląsku). Sam fakt, że na terenie zniewolonej i także eksterminowanej Polski według najnowszych ocen zostało zamordowanych co najmniej 2 700 000 Żydów, zobowiązuje do większej pokory i szacunku w stosunku do pamięci pomordowanych, a także tych Żydów, którzy postrzegają Oświęcim jako główny symbol Holocaustu. Oświęcim jest miejscem kaźni Polaków i wielu tysięcy więźniów innych narodowości, ale prawdą jest że ponad milion Żydów zostało zamęczonych i zamordowanych w tymże obozie, i fakt ów wyraźnie określa znaczenie Auschwitz-Birkenau w zbiorowej świadomości i pamięci żydowskiej. Jest niedopuszczalne, wręcz karygodne pomijanie tej strasznej prawdy, ze względu jak się zdaje, jedynie na chęć uwypuklenia — przez nikogo zresztą nie kwestionowanej — martyrologii Polaków w czasach hitlerowskiej okupacji. Nie powinno w zasadzie dziwić, że ze strony żydowskiej odzywają się głosy i uwidaczniają postawy będące wyrazem żalu, protestu czy nieraz, co również godne pożałowania, bezpodstawnych oskarżeń wysuwanych pod adresem Polaków. Jest jednak paradoksem, że w czasach gdy działają na świecie ludzie którzy „naukowo” zaprzeczają istnieniu obozów zagłady, dwa narody będące ofiarami tego samego systemu ludobójstwa rozdziela konflikt spreczny z racją stanu, przeciwny zasadom cywilizacji europejskiej i godzący w poczucie sprawiedliwości i historycznej prawdy.

Łączę wyrazy szacunku

Dr Zygmunt STANKIEWICZ

Szanowny Panie Redaktorze,

artykuł prof. Kołakowskiego „Nasza sprawa z Jezusem” przeczytałem z zainteresowaniem i sympatią. Jego stanowisko w stosunku do wiary w Jezusa (jego „sprawa z Jezusem”) jest co najmniej godne zastanowienia, zwłaszcza, jeśli się pamięta jego punkt wyjścia z czasów młodości. Jak na przykład, gdy przypomina za Jacquesem Duquesne (dodając: „nie on pierwszy to podkreśla”), że im więcej wiadomo o czasach Jezusa, tym bardziej wiarygodne stają się Ewangelie. Jeszcze ważniejsze wydaje mi się rozróżnienie między wiarą racjonalistów, według której „cudów nie ma”, a więc być nie może, a wiarą chrześcijan w Boga, który „nad biegiem spraw ludzkich jakoś czuwa”. Tutaj jednak prof. Kołakowski (czy też może Jacques Duquesne, bo polecając go czytelnikom *Kultury* pisze chwilami tak, że nie wiadomo czy cytuje

Duquesne'a czy wypowiada własną opinię) nie jest całkiem konsekwentny. Bo jeśli Duquesne „powiada wprost, że w zmartwychwstanie wierzy”, a więc wierzy w cud największy i do uwierzenia najtrudniejszy (a dla racjonalistów najbardziej nieprawdopodobny), to wydaje się dziwne, że nie wierzy w poczęcie za sprawą Ducha Świętego, a więc w cud o tyle — jeśli można się tak wyrazić — mniejszy, a dla Boga, który „nad biegiem spraw ludzkich czuwa”, równie możliwy. Tym bardziej, jeśli nie wierzy dlatego, że — jak pisze prof. Kołakowski — św. Paweł o nim nie słyszał. Trochę przykro to wypominać, ale mamy tu całkiem banalny błąd w rozumowaniu, zwany przez tradycyjną logikę *non sequitur*. Święty Paweł mianowicie *nie pisze* o poczęciu z Ducha Świętego. Z tego jednak nie wynika, że o nim nie słyszał. Piszcie on zresztą przede wszystkim o Chrystusie zmartwychwstałym, tym, który ukazał mu się w drodze do Damasku. I pisze właśnie w sensie największego cudu („bo jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, to daremne jest nasze nauczanie i próżna wiara wasza”).

Równie niekonsekwentne, choć w nieco inny sposób, jest nazwanie Jacquesa Duquesne (zapewne też za nim samym) wierzącym katolikiem. Bo jeśli Duquesne nie wierzy w bóstwo Chrystusa i w poczęcie Jego z Ducha Świętego, to jest może wierzącym chrześcijaninem (np. antytrynitarzem), ale na pewno nie jest wierzącym katolikiem. Już Credo niecisłe, przyjęte na soborze r. 325, które w tej formie albo w jeszcze starszej formie Składu Apostolskiego znane jest chyba każdemu katolikowi, wierzącemu czy niewierzącemu, głosi: „Wierzę w jednego Boga Ojca... i w Jezusa Chrystusa Syna Bożego, [który] za sprawą Ducha Świętego przyjął ciało z Maryi Dziewicy...”. Nie ma to nic wspólnego ze „strażnikami badań” (skąd prof. Kołakowski wziął ten dziwny zwrot? Mówimy przecież co najwyżej o strażnikach wiary). Ostatecznie nie trzeba chyba być wyznawcą Islamu, by zdawać sobie sprawę, że ktoś kto nie wierzy w Mahometa jako proroka nie jest muzułmaninem.

Tak więc z jednej strony chwali się prof. Kołakowskiemu, że sformułował w swym tekście z godnym podziwu obiektywizmem alternatywę „racjonalistyczna wiara, że cudów być nie może” — „wiara chrześcijan w Boga, który nad biegiem spraw ludzkich jakoś czuwa”, szkoda jednak że nie wyciągnął z tej alternatywy dalej idących konsekwencji. Proponowałbym mu więc następujący eksperyment myślowy: wyjść z założenia, że Bóg nad biegiem spraw ludzkich czuwa. I prześledzić konsekwentnie to czuwanie poczynawszy od powołania Abrahama przez Boga na przodka Narodu Wybranego i dalej przez cały Stary i Nowy Testament. Byłaby to ogromna praca, wymagająca odpowiedniej wiedzy historycznej i teologicznej. Na szczęście została już wykonana, i to także przez Francuza, o. R.-L. Bruckbergera, i ogłoszona pt. „L'histoire de Jésus-Christ” (Grasset 1965). Wystarczy ją tylko przeczytać.

Bardzo byłoby ciekawe, gdyby prof. Kołakowski książkę tę zechciał wziąć do ręki i swymi wrażeniami podzielił się z czytelnikami *Kultury*.

Zechce Pan przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy prawdziwego szacunku

Andrzej VINCENZ

PO TRAGEDII W GDAŃSKU, A PRZED NASTĘPNĄ TRAGEDIĄ W...

Straszliwy pożar w Hali w Gdańsku i tragedia setek ludzi skłania do smutnej refleksji: przyczyną tego nieszczęścia (jak i wielu innych podobnych) są powtarzające się uporczywie te same zjawiska; są nimi brak wyobraźni i brak poszanowania przepisów karnych i bhp u organizatorów podobnych imprez, a ponadto z reguły nie wyciąga się wobec nich konsekwencji prawnych uważając, że są to wyjątkowe przypadki, które się wszędzie zdarzają. Do tego dochodzi typowe polskie przekonanie, że „jakoś to będzie” — jakby uspokajanie swego sumienia i usprawiedliwienie dla własnej lekkomyślności czy też niechęci do przewidywania ewentualnych niepowodzeń.

Jest w tym znaczna wina naszej prasy, która nie uwypukla w sposób znaczący zaniedbań organizacyjnych i lekceważenia prawa u organizatorów i wykonawców imprez i innych przedsięwzięć (typowy przykład zawalenia się masztu w Gąbinie na skutek lekkomyślności ekipy remontowej). Nawet tak poważne pismo jak *Polityka* odmawia publikowania listów, poruszających tę stronę naszego życia (np. odmowa opublikowania mojej krótkiej notatki, nawiązującej do listu czytelnika „Skalpelem po oczach”, w której to notatce wskazałem na jedyną przyczynę utraty wzroku przez w/w. czytelnika: złą organizację pracy w szpitalu).

Sprawa warta zastanowienia, gdyż zbyt wiele — moim zdaniem — poświęcamy uwagi rozwiązaniom systemowym a zbyt mało jakości ludzi, ich pracy i odpowiedzialności osobistej.

Z.T. WIERZBICKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętać, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawet pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

E.B., Polska — Nie skorzystamy z *Haiku*. Sekretem tej formy poetyckiej jest aforystyczna mądrość. Nie znajdujemy jej w Pana próbach.

U.K., Polska — Na pytanie, czy Pani wiersze są „warte zachodu” odpowiadamy: jeszcze nie. Trzeba popracować i unikać „wierszy z puentą”.

M.B., USA — Niezbyt udane wydają nam się trzy przysłane wiersze. Rozczarował nas zwłaszcza *Tren dla Marguerite Yourcenar*.

W.J.B.; P.B., Polska; A.Z.; M.S.-B., Francja; A.B., Polska — Z wierszy nie skorzystamy.

M.G.J., Polska — Wydanie Pani tomu wierszy nie wchodzi w grę, od kilku lat wydawanie książek polskich za granicą stało się ze względów finansowych niemożliwe. W pani wierszach uderza żywa reakcja na ota-

czający nas świat, szczególnie wrażliwość na problematykę społeczną, niestety są dość ubogie i konwencjonalne w swojej formie poetyckiej.

E.S. — *Imponderabilia* („psychodrama w pięciu scenach”) są bardzo trudne do zrozumienia.

M.M.R., Kanada — Dziękujemy za obszerny list, pisany z pozycji „liberalnego feminizmu”. W *Kulturze* kryterium płci nie odgrywało nigdy żadnej roli, podobnie jak kryteria rasy i wyznania.

P.K., Polska — Opisane przez Pana stosunki w wojsku są koszmarnie. Gdyby zainteresował się nimi Prezydent (kapral) Wałęsa, zrobiłby rzecz pożyteczniejszą od „sejmiku generałów” w Drawsku. Ale Pana tekst, jeśli ma się przyczynić do poprawy sytuacji, powinien się ukazać w dzienniku wysokonakładowym, np. w *Gazecie Wyborczej*.

J.K., Polska — Oba opowiadania wydają nam się, niestety, słabe. Wina tematu. Wojna, opisywana w ciągu półwiecza na wszelkie możliwe sposoby, zamyka się przed pisarzami (chyba że okażą się autorami arcydzieł).

W.B., Polska — Pana krótkie opowiadania, pełne cudowności i poezji, świadczą o niewątpliwym talencie. Wybraliśmy do druku dwa: *Świątynia* i *Singer*.

KSIAŻKI POLSKIE ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE
POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI

4, rue Frédéric Sauton 75005 Paris

Telefon (1) 40 51 76 40

Fax (1) 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Teodor Müller, Bad Homburg (Niemcy) — po raz 6-ty	F.	200,00
Bronisław Partyka, Port Orange, FL (USA), po raz 13-ty — Dol. 31,00	F.	165,00
Teresa Romer, Saint Eustache, Que (Kanada), po raz 23-ci — Dol. can. 51,00	F.	188,00
Christina i Aleksander M. Schenker, Hamden, CT (USA), po raz 21-szy — Dol. 50,00	F.	265,00
Henryk Siewierski, Brasilia — DF, Brazylia	F.	900,00
Dr W.W. Socha, Upper Grandview, NY (USA), po raz 16-ty — Dol. 34,00	F.	180,00
Julitta Szytar, New York, NY (USA), po raz 11-ty — Dol. 100,00	F.	525,00
W. Szynalski, St. Agathe, MB (Kanada), po raz 16-ty — Dol. can. 40,00	F.	150,00
Jadwiga Ungar, Maplewood, NJ (USA), po raz 3-ci — Dol. 69,00	F.	365,00
W dziesiątą rocznicę śmierci mego Męża i Przyjaciela śp. Edwarda Puacza, założyciela Księgarni „Polonia” w Chi- cago. Mira Puaczowa — Dol. 500,00	F.	2.625,00
W trzecią rocznicę śmierci Julka Brysza — Wanda i Irena (Szwajcaria)	F.	500,00
Tadeusz Żaba, Gennet-Baden (Szwajcaria) — po raz 4-ty	F.	400,00
●		
Longin E. Sztachanski, St. Petersburg, FL (USA) dwa razy po Dol. 40,00:		
— na Fundusz Kultury Dol. 40,00	F.	210,00
— na pomoc dla Polaków w Rosji — Dol. 40,00	F.	210,00
Maria Grynberg i Paweł Dąbrowa-Kostka, Kopenhaga — dar na fundusz pomocy Polakom w Kazachstanie — DKK 3.200,00	F.	2.782,61
Jan Zalewski, Chester (W. Brytania) — dwa razy po £ stg 20,00 na pomoc dla Polaków w Rosji	F.	320,00

DZIĘKUJEMY

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 1^{er} trimestre 1995.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.

42, av. de Wagram, 75008 Paris

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04
FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.

Prenumerata

1/2-roczna

roczna

Ceny na rok 1995

AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Flh 20,00	Flh 110,00	Flh 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv, tel. i FAX: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115	\$ can. 13,00	\$ can. 75,00	\$ can. 140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstrasse 39/41, Postfach 340108, D 80328 München. Tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I. Tel.: 0221/24-61-60 NORWEGIA: Zh. Tyszkowski, Toppenghaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE, tel.: 343 05 84	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWECJA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» lub na konto pocztowe jak poniżej U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Mil- waukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 594-2386	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna — F. 600; półroczna — F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 485 — WACŁAW IWANIUK

MOJE STRONY ŚWIATA

Poezje

Str. 76

Cena F. 20,00



TOM 488 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO JEDENASTY

zawiera opracowania: A. Paczkowski: „*Wielki historyczny eksperyment*” czyli koniec realnego socjalizmu (w Polsce); A. Grzywacz, G. Mazur: *Raport o pracach Oddziału II Sztabu Głównego w zakresie dyplomacji wojskowej*; Wł. Zajewski: *Tradycja i współczesność w sporach o model ustrojowy*; J. P. Horzelski: *Notatki z 1939 r.*; J. Rakowski: *Kulawa analogia i zaniedbane doświadczenie*; G. Mazur: *O wileńskiej Armii Krajowej. Na marginesie artykułu Z.A. Siemaszki*; P. Wandycz: *Nowa wersja „Kroniki Życia” Piłsudskiego*; T. Wyrwa: *Wojna 1920 roku z perspektywy lat*; E. Halicz: *Armia ze skazą*; K. A. Kuczyński: *Uchodźstwo polskie w Rumunii 1939-1940*; Katsuyoshi Watanabe: *Historia Polski w Finlandii*; OKRUCHY HISTORII I LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 90,00.

Cena 55 F